

Colas Breugnon



ROMAIN ROLLAND

Colas Breugnon

ŻYJE JESZCZE CZŁOWIEK POCZCIWY

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

*Święty Marcin pije wino,
Wodę pozostawia młynom*

(Przysłowie francuskie z XVI w.)

Świętemu Marcinowi, patronowi Clamecy

PRZEDMOWA Z POWOJENNYCH CZASÓW

Książka ta była wydrukowana i zupełnie gotowa do wydania przed wojną jeszcze. Nie czynię w niej zmian żadnych. Krwawa epopeja, której bohaterami i ofiarami zostali wnukowie Colasa Breugnon, postawiła sobie za zadanie przeprowadzenie dowodu, że „żyje jeszcze człowiek poczciwy”.

Sądzę, że okryte sławą i posiniaczone ludy Europy, rozcierające sobie teraz potłuczone żebra, odnajdą jakiś zdrowy sens w refleksjach, które czyni sobie nasz „baranek swojski” żyjący pomiędzy wilkiem a pasterzem”.

PRZESTROGA CZYTELNIKOWI

Czytelnicy *Jana Krzysztofa* nie spodziewali się pewnie takiej nowej książki. Zdziwiła ona w równej mierze mnie samego.

Pracowałem nad dramatem i powieścią na tematy współczesne — utworami w tejże samej co *Jan Krzysztof*, nieco tragicznej atmosferze wyrosłymi. Nagle musiałem rzucić w kącie wszystkie notatki i przygotowane sceny i jałem się tej niewinnej książki, o której nie myślałem jeszcze dnia poprzedniego.

Jest to reakcja przeciw dziesięcioletniemu przymusowi trwania w rymsztunku *Jana Krzysztofa*, która to zbroja, zrazu wygodna i na moją zrobioną miarę, stała mi się z czasem przyciasna. Uczułem nieprzewidywane pragnienie swobodnej wesołości galickiej¹, posuniętej aż do nieprzystojności. Jednocześnie powrót do ziemi ojczystej, nieoglądanej od lat młodocianych, pozwolił mi wznowić kontakt z moją Burgundią niwernejską, przywiódł mi przed oczy przeszłość uśpioną, zdawało się, na zawsze, oraz zbudził wszystkich Colasów Breugnon, których noszę w zanadrzu. Musiałem zabrać głos w ich imieniu. Te przeklęte gaduły nie wygadały się dostatecznie za życia. Skorzystali z okoliczności, iż jeden z wnuków dostał zaszczytnego przywileju zostania pisarzem (zawsze tego zazdrościli), i uczynili ze mnie swego sekretarza. Daremnie się broniłem:

— Dziadziu, zważ, proszę, że miałeś dość czasu na gadanie, dajże mi się teraz wyęzyczyć. Każdy winien mieć swoją kolej!

Odparli:

— Słuchaj, smarkacz! Powiesz swoje, gdy ja skończę. Zresztą wiedz, że bajanie twe mojego niewarte. Siadaj i słuchaj, nie tracąc jednego słowa... Chłopcze drogi, uczyni to dla

¹galicki (z łac. *gallicus*) — galijski, odnoszący się do staroż. Galii; przen.: francuski. [przypis edytorski]

twego dziadzia. Przekonasz się, gdy znajdziesz się na naszym miejscu... Wierzaj, najgorszy w śmierci jest przymus milczenia.

Cóż było robić? Musiałem ustąpić i pisać pod dyktando.

Nareszcie skończyłem i odzyskałem swobodę (tak mi się przynajmniej wydaje). Po-
dejmem tedy wątek myśli własnych, o ile któryś z mych starych gadulów nie nabierze
ochoty wychylenia się z grobu, by mi dyktować listy skierowane do potomności.

Nie mam śmiałości przypuszczać, by mój Colas przyniósł tyleż radości czytelnikom
co autorowi. Niechże przynajmniej przyjmą tę książkę, jaka jest, z całą tchnącą z niej
szczerością, prostotą, bez pretensji do ulepszenia świata ni wyjaśnienia go, wolną od po-
lityki, metafizyki, książkę „w dobrym francuskim guście”, która śmieje się życiu w twarz,
bowiem uważa je za dobre, a zdrowie posiada jak należy. Krótko i węzłowato, jak powia-
da dziewica Joanna² (wezwać wszak należy jej imienia, poczynając rzecz zgoła galicką),
„przyjmijciez to miłościwie”...

Romain Rolland

Maj 1914 r.

I SKOWRONEK MATKI BOSKIEJ GROMNICZNEJ

2 lutego

Chwała bądź wielka świętemu Marcinowi³! Zupełny zastój w interesach. Nie ma
zresztą za czym się uganiać, dosyć się napracowałem w życiu, odpocząć pora. Siedzę sobie
tedy⁴ spokojnie przy stole, kubek wina po prawej, kałamarz po lewej ręce, przede mną zaś,
rozwarłszy ramiona jakby do uścisku, spoczywa nowiutki, czyściutki zeszytek. Zdrowie
twoje, synku, teraz pogadamy! Na dole baba moja hałasuje jak zwykle. Wicher skowyczy
za oknami, znowu coś się chmurzy horyzont polityczny. Mniejsza z tym! O, co za radość,
co za wielka radość znaleźć się tak sam na sam z sobą. (Do ciebie się zwracam, uważasz,
gębo pijacka, okraszona pięknym karmazynem, gębo ciekawa, roześmiana, przystrojona
trąbiastym, burgundzkim w każdym calu nosem, siedzącym na bakier między oczami,
niby kapelusz z fantazją na ucho nadziany).

Do licha, sam nie wiem, czemu lubuję się w sobie, czemu mnie ciągnie do wpatrywa-
nia się w twarz własną, liczenia z wesołym uśmiechem zmarszczek, do grzebania w głębi
serca, niby w piwnicznym lochu, za fłaszczyną starych wspomnień.

Nie sztuka marzyć! Ale napisać to, o czym się marzy! Zresztą, czy to marzenia? Oczywiście,
szeroko otwarte, widzą jasno. Snuje się, co prawda, sieć zmarszczek na skroniach, ale
spojrzenie mam pogodne, przekorne. Niech inni gonią za majakami! Ja opowiadam po
prostu, com widział, mówił, czynił. A może to głupstwa, bo dla kogóż, u licha, piszę?

Dla sławy? Ooo, nie! Nie jestem naiwny, znam swą wartość, Bogu dzięki! Dla wnu-
ków? Phii! I coż zostanie z papierzyśków mych za jakieś lat dziesięć? Moja baba jest
zazdrosna jak sam diabeł i rzuca do pieca, co jej tylko pisanego wpadnie w szpony. Dla
kogóż tedy piszę?

Dla siebie! Dla własnej uciechy piszę. Dlatego że gdybym nie pisał, szlag by mnie po
prostu trafił! Ho, ho, trzeba wiedzieć, że to żyłka dziedziczna! Śp. dziad mój nie byłby

²Joanna d'Arc (1412–1431) — bohaterka narodowa Francji, zwana Dziewicą Orleańską; podczas wojny stu-
letniej poprowadziła armię francuską do kilku ważnych zwycięstw (m.in. oswobodziła oblegany przez wojska
angielskie Orléan), twierdząc, że działa kierowana przez Boga; zginęła spalona na stosie. [przypis edytorski]

³Marcin z Tours (316/336–397) — pustelnik, założyciel pierwszych wspólnot zakonnych w Kościele zachod-
nim, biskup Tours; święty chrześcijański, patron Francji. W jego żywocie opisano, że kiedy w młodości służył
w Galii jako kawalerzysta armii rzymskiej, zimą pod murami miasta napotkał półnagiego żebraka, któremu
oddal połowę swojej żołnierskiej opończy (płaszcz podróżnego), rozcinając ją mieczem. W nocy po tym zda-
rzeniu we śnie zobaczył Chrystusa odzianego w tę samą połówkę płaszcza i mówiącego aniołom, że Marcin go
nią okrył. Według jednej z opowieści usłyszał też, że podarowana część należy do niego, a kiedy się zbudził,
jego opończa znów była cała. [przypis edytorski]

⁴tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

za nic w świecie zasnął, nie zanotowawszy bodaj — leżąc w łóżku — liczby wypitych i... oddanych kubków wina. Musiał zapisać wszystko po porządku, i basta.

Otóż sprawa tak stoi. Muszę się wyładować, bo w moim Clamecy⁵ nie mogę gadać tyle, ile bym pragnął! Muszę się odszpuntować⁶, inaczej jestem jak ów balwierz⁷ króla Midasa⁸. Przy tym język mam nieco za długi, gdyby mnie tak przypadkiem usłyszano, miałbym się z pyszna! Trudno, już jestem taki! Zresztą gdyby człowiek czegoś nie ryzykował, zdechłby chyba z nudów.

Lubię, jak nasze wielkie cisawe⁹ woły, przeżuwać wieczór strawę połkniętą z rana. O, jakże miło oglądać, przewracać, mieszać to wszystko, co się myślało, obserwowano, zbierało, jakże przyjemnie rozdziobiwać, kosztować, smakować, pozwalać, by się rozpływało na języku, i pomалу... pomалу połykać. Tych rozkoszy doznaje człowiek, opowiadając sobie od początku wszystko, co się pośpiesznie chwyciło w przelocie, nie mając czasu na należytą, spokojną ocenę.

Jakże miło przechadzać się po swoim własnym wszechświecie, powtarzając sobie po sto razy: to moje, to wszystko moje, jestem tu panem i władcą. Ni grad, ni mróz, ni susza nie mają nad tym żadnej mocy. Ni papież sam, ni król, ba, nawet moja sekutnica nie dadzą temu rady. Muszę was, drodzy państwo, oprowadzić po moim skarbcu.

*

Przed wszystkim zwróćcie uwagę na klejnot najdrogocenniejszy. Mam tutaj oto siebie, Colasa Breugnon! Chłop to — że przyłóż do rany, Burgund rzetelny, okrągławy nieco, ale mu się oczy świecą, już nie pierwszej młodości, bo choć są w kupie kości, zęby zdrowe, gęsta mina, toć¹⁰ przyprószona czupryna... ha, trudno... pięćdziesiątka z okładem!

No, nie będę przeczył, że wołałbym, by klejnot mój był blondynem. Tak samo zgodziłbym się ostatecznie zrzucić z ramion jakieś dwadzieścia czy trzydzieści lat. Zważcież, moi państwo, że pięćdziesiątka to wcale ładny wiek. Śmiejecie się, młodziki? Ha? Sądziecie, że to nic tłuc się po tym świecie, a choćby po całej Francji, i to w czasach jak nasze, przez lat pięćdziesiąt? Mój Boże! Ileż to deszczu spadło człowiekowi na plecy, ile nasmażył skóry na słońcu! Można powiedzieć, że człowieka przez ten czas gotowano niby mięso, przygrzewano, przysmażano, a potem dla odmiany moczono w wodzie. Jak wór zbladłem po wierzchu, ale ileż w tym worku zbytków¹¹, facecji¹², doświadczeń, szaleństw, ileż słomy i siana, fig i winogron, niedojrzałych i słodkich owoców, ileż głogu i róż, ile rzeczy widzianych, czytanych, wyuczonych, posiadanych i przeżytych! Wszystko to pomieszane jak groch z kapustą. Co za radość dobrać się do tego śmietnika i grzebać... grzebać...

Dość, mój Colasiu! Jutro rozpoczniemy grzebaninę. Gdybym się wziął do niej dzisiaj, nie skończyłbym nawet pobieżnego inwentarza towarów, które mam na składzie.

A więc: posiadam dom, żonę, czterech synów, córkę wydaną za mąż (dzięki Bogu), zięcia (ha... trudno, bez tego się nie obejdzie), osiemnastoro wnucząt, szarego osła, psa, sześć kur i prosię. Jakżem bogaty!

Poprawiwszy okulary, przystępuję do bardziej szczegółowej analizy skarbów.

⁵Clamecy — miejscowość w centralnej Francji, w hist. regionie Burgundii, u zbiegu rzek Yonne i Beuvron; miejsce urodzenia Romain Rollanda. [przypis edytorski]

⁶odszpuntować — otworzyć beczkę, wyciągając z niej szpunt (kołek zatykający otwór). [przypis edytorski]

⁷balwierz a. cyrulik — fryzjer wykonujący również proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

⁸Midas (mit. gr.) — król Frygii, bohater różnych mitów i legend. Ukarany przez boga Apollina oślimi uszami, ukrywał je pod nakryciem głowy. O jego sekrecie wiedział jedynie nadworny fryzjer, któremu władca zabronił go wyjawiać. Sługa nie mógł się jednak powstrzymać, więc wykopał dołek na łące, krzyknął do niego: „Król Midas ma ośle uszy!”, i zasypał dołek. Po pewnym czasie w tym miejscu wyrosła kępa trzciny, które gdy powiał wiatr, powtarzały słowa wypowiedziane do dolka, i wkrótce cały kraj dowiedział o wstydlivej tajemnicy króla. [przypis edytorski]

⁹cisawy — o sierści zwierzęcia, zwłaszcza konia: czerwono-brunatny. [przypis edytorski]

¹⁰toć (daw., gw.) — przecież; to przecież. [przypis edytorski]

¹¹zbytki (daw.) — figle, żarty. [przypis edytorski]

¹²facecja (przestarz.) — anegdota, dowcip, krótkie zabawne opowiadanie; facecji: dziś D. lm: facecji. [przypis edytorski]

O tych ostatnich, prawdę powiedziawszy, wspominam jeno¹³ dla pamięci. Bo oto mi-
nęły wojny, żołnierze, wrogowie, a także przyjaciele. Oczywiście, prosię nasolone i zje-
dzone, osioł ochwacony¹⁴, piwniczka do dna wypita, kury dawno oskubane.

Co do żony, to, do stu tysięcy starych diabłów, posiadam ją dotąd... Oo, słyszycie,
jak wrzeszczy? Nie sposób zapomnieć o tym szczęściu; mam ją, tę uroczą ptaszynkę,
mam ją, mam, jestem jej niezaprzeczalnym właścicielem! Ha, Breugnon, nie lada z ciebie
ziółko! Wszyscy ci zazdroszczą. Panowie, proszę uprzejmie, nie jestem samolubem —
porozumiejmy się! Kto ma ochotę wziąć sobie moją turkaweczkę? Posiada mnóstwo zalet:
jest oszczędna, czynna, trzeźwa, uczciwa. Co prawda, nie utyla z tych cnót. Jako grzesznik
zatwardziały wyznaję, że wolę jeden tłusty grzeszek od siedmiu cnót chudych...¹⁵ (Ale
dość tego, trzeba uszanować cnotę, skoro inaczej być już z woli nieba nie może!)

Hej, hej, jak się ta czarownica rozbija po całej chałupie! Pełno jej wszędzie, choć taka
szczapa. Przewraca graty do góry nogami, burczy, beszta, klnie, drepcze ciągle ze strychu
do piwnicy i z powrotem, tępiąc kurz i ciszę z zaciekłością niepojętą.

Już trzydzieści lat minęło od naszego ślubu. Diabli wiedzą, po co ją brałem! Kochałem
się w innej, ale drwiła ze mnie; ta znowu uparła się wyjść za mnie, chociaż jej nie chciałem.
Wówczas była bladolicą brunetką i wierciła mnie błyszczącymi ślepiami. Byłaby mnie
chciała pożreć, przegryźć, jak woda stał przeżera. Kochała mnie do szaleństwa, na śmierć!
Prześladowała mnie tak długo, aż wreszcie (o, jakże głupi są mężczyźni!), po trochu ze
współczucia, a także skutkiem tego, że pochlebiła mej próżności, po trochu ze znużenia
(ładny sposób odpoczynku!), na koniec w chęci pozbycia się natarczywości, zostałem (Jan
de Vrie zanurza się do wody, aby nie przemoknąć na deszczu)... zostałem jej mężem! Od
tego czasu posiadam skarb cnoty wcielonej, a ona, pocziwa gołąbeczka, mści się, mści
od lat trzydziestu. Jakiż powód zemsty? Oto mści się za to, że mnie kochała. Doprowadza
mnie do wściekłości, a raczej pragnie to uczynić, ale niedoczekanie! Ho, ho, zanadto
miłuję spokój i niegłupim wpadać w melancholię z powodu jakichś tam głupich kilku
słów. Deszcz dudni po szybach? Niechże sobie pada do woli... Gdy ona grzmi, Colas sobie
z tego kpi! Gdy ona gniewa się, to mnie się śpiewać chce! I czemuż, u diaska, mam jej
bronić wrzeszcze? Skądże prawo? Nie życzę jej przecież nagłej a niespodziewanej śmierci!
Baba w progi, cisza w nogi! Stara bajka! Każdy sobie nuci własną piosenkę. Niech tylko
nie ośmiela się zamykać mi gęby (o, wie dobrze, co by ją to kosztowało), a chętnie zgodzę
się, by rozdziawiała swoją od ucha do ucha. Każdy gra na swojej nutę!

Zresztą, mimo że instrumenty nasze nie bardzo są dostrojone do siebie, odegrali-
śmy wcale, wcale ładne kawałki: córkę i czterech synów. Wszystkie sztuki zrobione na
urząd, wykończone jak należy; nie szczędziłem materiału ani pracy. Najlepiej mi się udało
dziewczyna i w tym plonie odnajduję własne nasienie... Bestyjka bo ta Martynka, szel-
ma kochana! Miałem krzyż pański, zanim dożeglowałem z nią do małżeńskiego portu!
No! Nareszcie stoi na kotwicy, nienadwerżona po drodze! Ha... i tak przecież trudno
dowierzać kobiecie... ale to już nie moja sprawa! Dosyć miałem czuwania, dreptania. Te-
raz kolej na drogiego zięciaszka mego, Florymonda. Dostał ciasto jak się patrzy, niechże
baczy, by się nie przypaliło w piecu.

Dysputujemy z Martynką za każdym spotkaniem i rozumiemy się doskonale. Dzielna
dziewczyna, wie, co robi, nawet robiąc głupstwa, i uczciwa — z warunkiem, by uczciwość
miała uśmiech na twarzy. Największym występkiem jest dla niej nuda. Nie lęka się trosk.
Troska to walka, a walka to przyjemność! Kocha życie i wie, co dobre, zupełnie jak ja. To
moja krew! Tylko dałem jej w tym wypadku za wiele...

Gorzej wypadli chłopcy. Matka wtrąciła swoje trzy grosze i ciasto dostało zakalca.
Dwaj z nich to bigoty¹⁶ zatracone, a w dodatku każdy siedzi w innej kruchcie. Jeden nie
wyłazi spod księżej kapoty i obraca się wśród dewotek i innych obłudników, drugi jest
hugenotem¹⁷. Wysiedziałem kukulcze jaja! Trzeci jest żołnierzem, wojuje, włóczy się; i nie

Żona, Cnota

Żona, Gospodyni

Małżeństwo

Córka

¹³jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

¹⁴ochwacony — o koniu lub osle: cierpiący na ochwat, tj. ostre zapalenie kopyta. [przypis edytorski]

¹⁵wolę jeden tłusty grzeszek od siedmiu cnót chudych... — żartobliwe nawiązanie do chrześcijańskich siedmiu grzechów głównych i siedmiu cnót głównych, a jednocześnie do biblijnej opowieści z *Księgi Rodzaju*, w której faraonowi przyśniło się siedem krów tłustych, które zostały pożarte przez siedem krów chudych, co miało oznaczać, że po siedmiu latach urodzaju nastąpi siedem lat nieurodzaju i głodu. [przypis edytorski]

¹⁶bigot (z fr.) — pobożniś. [przypis edytorski]

¹⁷hugenoci — protestanci francuscy w XVI i XVII w., wyznawcy kalwinizmu. [przypis edytorski]

wiem doprawdy, gdzie się obraca. Czwarty wreszcie jest po prostu niczym: jakimś cichym, rozlazłym sklepiarką. Ziewam, ile razy o nim wspomnę! Rasa wylazi ze wszystkich dopiero, gdy siedzimy pospołu przy stole nad pełną misą. Żadne z sześciorga nie śpi wówczas i wszyscy żywią jedno przekonanie. Cudne to widowisko! Sześć par szczęk pracuje dzielnie, gęby pochłaniają kromy chleba, a wino spuszcza każdy do piwnicy brzucha bez pomocy bloka i sznura.

Ruchomości spisane, teraz kolej na chałupę. To moja druga córka. Budowałem ją z wolna, starannie, gruntownie, wprost rozrzutnie szafując materiałem, a w dodatku budowałem nie raz, ale kilka razy. Stoi na brzegu Beuvronu, nieforemna, przysadkowata, tonąc w zieloności, otoczona gnojówkami, u krańców przedmieścia, po drugiej stronie niskiego, zapadłego na poły mostu, moczącego nogi w wodzie.

Wprost domu wznosi się dumna, strzelista wieża św. Marcina¹⁸ o haftowanym rzeźbą cokole i rozkwieconym sztukaterią portalu, do którego, niby do raję, wiodą czarne, starorzemie, strome schody. Moje penaty i lary¹⁹ znajdują się już za murami miasta. Toteż ile razy warta dostrzeże z wieży nieprzyjaciela, zamyka bramy, a nieprzyjaciół zachodzi prosto do mnie w gościnę. Lubię wprowadzić pogawędkę, ale obyłbym się chętnie bez takich wizyt. Zazwyczaj odchodzę, zostawiając klucz w drzwiach. Za powrotem²⁰ nie zastaję zwykle ani klucza, ani drzwi, tylko gołe ściany bez dachu. Zaczynam wówczas budować na nowo. Mówią mi ludzie:

— Ośle, pracujesz dla wroga! Porzuć to kretowisko i przeprowadź się do miasta, będziesz bezpieczny.

Odpowiadam:

— Mój drogi, dobrze mi w kretowisku. Wiem, naturalnie, że co mur, to mur. Ale cóż bym widział ukryty za wysokim murem? Szlag by mnie trafił z nudów. Tymczasem nad brzegiem mego Beuvronu widzę mnóstwo rzeczy i mam gdzie się rozeprzeć swobodnie. W wolnych od pracy chwilach widzę wprost z ogródka refleksy na leniwie płynącej wodzie, koła rozchodzące się za każdym pluśnięciem ryby, nawet włochate porosty na dnie. Mogę tam zarzucać wędkę, moczyć nogi, wylewać nocnik... słowem — czynić, co dusza zapagnie. A zresztą, widzisz, bracie, siedzę tam od lat i już nie pora mi przenosić się na inne miejsce. Chyba nie spotka mnie nic gorszego niż dotąd. Powiadasz, że raz jeszcze dom zostanie zniszczony? Być może. Przecież nie mam pretensji, by przetrwał wieki. Ale niełatwo przyjdzie wydrzeć mnie z miejsca, gdzie się zakorzeniłem, niełatwo, do stu diabłów, powiadam! Odbudowywałem już dwa czy trzy, odbuduję jeszcze dziesięć razy. Co prawda nie zaliczam tego do przyjemności, ale przenosiny sprawiłyby mi wielką przykrość. Czulbym się jak odarty ze skóry. Proponujesz mi dom inny, nowszy, piękniejszy, bielszy? Nie, nie, nie pasowałby do mnie, musiałbym uciekać... nie, nie... wolę swoją chałupę!

A więc stresćmy się. Opisałem żonę, dzieci, dom... Czyż to już wszystko, co posiadam?

Nie, zachowałem na koniec najlepszą rzecz... mianowicie moje rzemiosło. Jestem członkiem cechu stolarzy pod wezwaniem św. Anny²¹. Noszę podczas pochodów i procesji godło nasze, wyobrażające cyrkiel z główką w kształcie liry, a na nim babcia Boga uczy czytać maleńką, nie większą od pantofla, Marię łaski pełną. Uzbrojony w hebel, dluto i pilkę, króluję w warsztacie, władając żyłastym dębem czy połyskliwym orzechem. Co z nich wytworzę, to rzecz mojej fantazji i pieniędzy klienta. Ileż przedziwnych form drzemie ukrytych w każdym z owych kłoców! Wystarczy jedynie wniść²² do pałacu z czarowanego, by zbudzić śpiącą królową. Ale piękna dama, którą chcę przywrócić do życia, to nie jakaś strojna lala. Ani chuda dama, bez piersi i pośladków, jaką prezentują nam czasem Włosi. Wolę kształty nasze, burgundzkie, połyskujące patyną brązu, pełne siły, dostatnie, obciążone owocami niby winnica. Cieszę się, robiąc brzuchaty kufer czy

¹⁸wieża św. Marcina — wieża kościoła św. Marcina w Clamecy, pochodzącego z XIII–XVI w. [przypis edytorski]

¹⁹penaty i lary (mit. rzym.) — bóstwa opiekuńcze domu; tu żart.: dobytek. [przypis edytorski]

²⁰za powrotem (daw.) — po powrocie. [przypis edytorski]

²¹Anna, święta — żona Joachima, matka Marii i babka Jezusa z Nazaretu; święta chrześcijańska, patronka m.in. matek, rodziny oraz stolarzy; znana z pozakanonicznych pism wczesnochrześcijańskich: *Protoewangelii Jakuba* i *Ewangelii Pseudo-Mateusza*. [przypis edytorski]

²²wniść (daw.) — wejść. [przypis edytorski]

sepet²³ lub szafę rzeźbioną podług zdrowych, mocnych wzorów takiego mistrza jak nasz Hugues Sambin²⁴. Przystrajam ściany domów boazerią, roztaczam spiralne skręty schodów. Wyczarowuję ze ścian, niby jabłka ze szpaleru jabłoni, meble szerokie, wygodne, mocne, dostosowane do miejsca, dla którego je przeznaczyłem.

Ale największa dla mnie uciecha, jeśli mogę zanotować na papierze to, co śmieje się w mej wyobraźni: ruch, gest, jakiś pochylony grzbiet, wzniesioną pierś, ukwieconą kolumnę, girlandę, karykaturę, albo jeśli uda mi się chwycić w locie i przygwoździć do rysownicy głębę przechodnia. Wszak to ja sam wyrzeźbiłem — dla własnej przyjemności i uciechy proboszcza — stalle²⁵ kościoła w Montreal²⁶ (najlepsze to z moich dzieł), gdzie widać dwu mieszczuchów opowiadających sobie facecje i popijających z ogromnego dzbana oraz dwa rozniewane lwy bijące się o kość.

Popić przed pracą, popić po pracy — piękne życie. Widzę wkoło siebie ludzi gniewnych i słyszę wyrzekania²⁷. Wypominają mi, że nie w porę wybrałem ze śpiewaniem w tak smutny czas. Nie ma żadnego smutnego czasu, są tylko smutni ludzie. Nie zaliczam się do tej bandy, Bogu dzięki!

Urywają sobie wzajem głowy? Grabią? Oczywiście, tak było zawsze i zawsze będzie! Dam sobie uciąć rękę, jeśli się mylę, ale twierdzę, że za jakieś czterysta lat wnuki i prawnuki nasze, z takim samym upodobaniem co my dziś, będą sobie zdzierać skórę z grzbietu i obcinać nosy. Myślę, nawet, że dojdą do większej doskonałości i wynajdą co najmniej czterdzieści nowych sposobów przenoszenia się wzajem na tamten świat. Ale wiem i twierdzę stanowczo, że nikt nie wynajdzie nowej, lepszej metody picia, i nie wierzę, by ci następcy nasi umieli to czynić lepiej ode mnie.

Licho wie zresztą, do czego doprowadzą idioci za lat czterysta! Może dzięki cudotwórczemu zielu proboszcza z Meudon²⁸, zwanemu pantagruelionem, będą mogli podróżować na księżyc, może udadzą się jeszcze dalej, do owej fabryki, skąd lecą pioruny i deszcz, może zamieszkają w niebie i będą sobie popijać z bogami...

Dotrzymam im towarzystwa. Z mojej wszak będą krwi i z mojego siewu. Ale tu, gdzie siedzę, tu dużo bezpieczniej. Przy tym ktoś mi zaręczy, że za lat czterysta wino będzie jeszcze tak dobre jak dzisiaj?

Moja sekutnica zarzuca mi, że nadmiernie lubuję się w pohulankach. Nie pogardzam niczym. Lubię wszystko, co dobre, więc dobre mięso, wino, pełne ciało i skórę mięciuteńką, puszystą, o której śni się tak słodko, dalej — boskie próżniactwo, kiedy to robi się tyle różnych rzeczy (leżąc do góry brzuchem, wiadomo, jest się panem świata, młodym, pięknym, zdobywcą, przewraca się świat do góry nogami, i słyszy się, jak trawa rośnie, gada się z drzewami, zwierzętami i bogami).

I ciebie kocham, stary towarzyszu, wierny, pewny, skarbie mój, praco moja! O, jakże przyjemnie wziąć w rękę narzędzie i stanąć przy warsztacie. Piłujesz, wycinasz, przecinasz, heblujesz, wydrążasz, wygładzasz, łączysz, kruszysz, robisz, co chcesz, z opornym materiałem, który wreszcie poddaje się, drży pod ręką, aż z tłustego i gładkiego orzechowego kłosa wyłaniają się, jakby czarem wywołane, ciała naszych nimf leśnych, mlecznoróżowe, to znów śniadozłote, oswobodzone wreszcie uderzeniem siekiery z niekształtnego pnia. Co za radość, kiedy spod grubych a posłusznych palców, kiedy spod ręki uważnej wychodzą te dzieła sztuki! Co za radość, gdy moc ducha bierze odwet nad siłami natury, zapisuje się w drzewie, żelazie, kamieniu, idąc za godziwym kaprysem fantazji. Czuję się monarchą królestwa złud. Pole moje daje mi ciało swe, winnica krew swoją. Na użytek mego rzemiosła siewka drzewna rozrasta się w kształtne członki drzew, które będę pieścił;

Smutek

Kondycja ludzka

Praca, Sztuka

²³sepet — skrzynka z szufladkami na kosztowności lub dokumenty. [przypis edytorski]

²⁴Sambin, Hugues (1518–1601) — francuski snycerz (rzemieślnik specjalizujący się w rzeźbieniu w drewnie) i dekorator, aktywny głównie w Burgundii. [przypis edytorski]

²⁵stalle — ozdobne ławy kościelne z wysokimi oparciami, ustawiane wzdłuż ścian blisko głównego ołtarza, przeznaczone dla dostojników, zwł. duchownych, a. dla zakonników. [przypis edytorski]

²⁶Montréal — wioska we Francji, w hist. regionie Burgundii; ok. 50 km na wsch. od Clamecy. [przypis edytorski]

²⁷wyrzekać (książk.) — narzekać. [przypis edytorski]

²⁸proboszcz z Meudon — François Rabelais (ok. 1484–1553), francuski pisarz, lekarz, były zakonnik; autor arcydzieła francuskiego renesansu, pełnej rubasznego humoru, obszernej powieści satyryczno-fantastycznej *Gargantua i Pantagruel*; ziele zwane pantagruelionem opisywane jest w rozdz. 49–52 trzeciej książki tej powieści. [przypis edytorski]

smukleje, zaokrąglą się, nabiera gładkości. Moje ręce to pracownicy posłuszni, którymi kieruje stary mózg mój. Mózgiem znowu władam ja sam, tak że musi spełnić każdy kaprys czy marzenie. Któż był kiedy lepiej obsłużony? Czy nie jestem osobą dostojną? Któż mi śmie zabronić wypić za własne zdrowie oraz — nie jestem niewdzięcznikiem — za zdrowie mych poddanych?

Błogosławiony dzień mego przyjścia na świat! Ileż na tej kuli ziemskiej wspaniałych rzeczy, do których śmieją się oczy i wyciągają ręce! Mój Boże, jakżeż dobrą rzeczą jest życie! Choćbym się nie wiedzieć jak napchał, głodny jestem, zawsze mi idzie ślinka, muszę być chyba chory, bo nie ma takiej chwili przez cały boży dzień, bym nie pragnął zasiąść do stołu zastawionego darami ziemi i słońca...

*

Ale zdaje mi się, sąsiedzie, że przeholował trochę z tym słońcem, nie bardzo grzeje, a we wszechświecie moim panuje mróz. Ta szelma zima wcisnęła się do mego pokoju. Chwieje się pióro w skostniałych palcach.

Na miłość Boga — kryształ lodu w szklance z winem! I nos mi pobladł. Ohydna ta barwa przypomina barwy cmentarne. Nienawidzę błądności.

Hola, otrząśnijmy się z tego bezruchu! Dzwony św. Marcina biją i śpiewają. To dziś akuratnie Matki Boskiej Gromnicznej²⁹. Dziś się zima traci albo się bogaci... A, łobuzica! Bogaci się najwyraźniej!

Trudno, trzeba wyjść i spojrzeć wrogowi prosto w twarz. Może mu dam radę!

Siarzysty mroźnik. Tysiące szpilek kłuje mnie po policzkach. Zza rogu ulicy wypada wiatr i porywa mnie za brodę. Uuu! Ale, Bogu dzięki, wracają mi rumieńce na twarz. Lubię pod nogami tętnienie zmarzłej ziemi. Czuję się młody. Ha... cóż za miny kwaśne i wstrętne mają ci wszyscy ludzie?

— No cóż wam to, sąsiadeczko? Czemu nos na kwintę? Oho! Wiatr podwiewa spodniczkę... oo, jak wysoko! Ma rację, jest młody, szkoda, że ja nie taki... Wie dobrze, szelma, gdzie dobre miejsce, to smakosz, zna się na tym! Nic nie szkodzi, sąsiadeczko, nic nie szkodzi, i wiatr musi mieć swoje przyjemności! A gdzież to tak śpieszycie, matusiu? Diabeł wam wygląda zza kołnierza. Na mszę? *Laus Deo!*³⁰ Odniesie on zawsze zwycięstwo nad złością. Będzie się śmiał ten, który płacze, a ogrzeje się zziębnięty! Śmiejecie się? Tego właśnie chciałem! Tak, tak, i ja śpieszę się także, idę jak wy na mszę, ale nie tę, którą odprawia proboszcz w kościele. Idę w pole. Tam sam Bóg celebduje.

Wstępuję naprzód do córki, by zabrać moją małą Głodzie. Codziennie odbywamy wspólne przechadzki. To moja najlepsza przyjaciółka ta żabusia, ten skrzacik maleńki. Minęło jej dopiero pięć lat, ale ma rozum... ho, ho! Sprytna jak mały szczurek, a uprzykrzona jak musztarda na języku. Biegnie, gdy mnie tylko zobaczy. Wie dobrze, że mam zawsze pełne kieszenie różnych historyjek, lubi je podobnie jak ja. Biorę ją za rączkę.

— Chodź, dziecino! Pójdziemy na spotkanie skowronka, może już przyleciał.

— Skowronka?

— Tak, dziś Gromnicznej. Czyż nie wiesz, że dziś właśnie wraca z nieba?

— A co on tam robił?

— Poleciał po ogień.

— Po ogień?

— Tak, po ogień, który sprawia, że słońce grzeje i gotuje potrawy na ziemi.

— Więc go nie było?

— Naturalnie! Odleciał jeszcze na Wszystkich Świętych³¹. Co roku jesienią odlatuje do nieba, by rozgrzewać gwiazdy.

— A czemu wrócił?

— Trzy ptaszki poleciały powiedzieć mu, że już czas.

— Opowiadaj.

²⁹dzień Matki Boskiej Gromnicznej — obchodzone 2 lutego katolickie święto, podczas którego wierni przynoszą do kościoła świece do pobłogosławienia, zwane gromnicami. [przypis edytorski]

³⁰*Laus Deo!* (łac.) — chwała Bogu! [przypis edytorski]

³¹dzień Wszystkich Świętych — obchodzone 1 listopada katolickie święto ku czci wszystkich zbawionych, treściowo połączone z przypadającym następnego dnia świętem zmarłych (Zaduszki). [przypis edytorski]

Drepcze po drodze. Nie boi się zimna. Zresztą ciepło ubrana w biały trykot i błękitną kapuzę. Wygląda jak sikorka. Tłuste policzki przybrały barwę karmazynu, z małego zadartego noska kapie obficie.

— Ano... raz, dwa, siąkaj! Mocno!

Już dobrze. Idziemy.

— Opowiadaj... opowiadaj, dziadziu! Trzy ptaszki...

Lubię, by mnie proszono.

— Trzy ptaszki wybrały się w drogę, trzy śmiałki co się zowie: mysikrólik, gil i skowronek. Mysikrólik, żywy i ruchliwy jak Tomcio Paluch, a dumny jak nie wiem co, pierwszy spostrzegł w powietrzu ogień podobny do fruwającego, świecącego ziarnka pszenicy. Rzuca się tedy na owo ziarnko i krzyczy:

„Mam! Chwyciłem ogień! Ja pierwszy!”

„I ja, i ja!” — wołają inne, ale mysikrólik już pochwycił ogniste ziarenko i leci w dół, ku ziemi.

„Ratunku, ratunku! Pali mnie!” — krzyczy biedak i przesuwając ogień w tę i w tę stronę dzióbka. Ale nie może wytrzymać, bo piecze go w język, tedy wypływa ziarnko i chowa je pod skrzydełko.

„Ojej! Ratunku! Skrzydło mi się pali” — woła (widziałas przecież plamy opalenizny pod skrzydełkami mysikrólika i skręcone od gorąca piórka).

Gil pośpiesza mu z pomocą. Chwyta ziarnko i kładzie je na podgardlu, na kamizelce puchowej.

Naraz: „Dość tej zabawy!” — krzyczy gil. „Spaliło mi się ubranie... cóż teraz pocznę?”

Ale wtem pocziwy skowronek przyleciał i chwycił prędko w dzióbek ziarnko ognia, które, upuszczone przez gila, wracało już do nieba. Potem bez namysłu, z szybkością strzały spada prosto na ziemię i zakopuje ziarnko starannie w stężonym od mrozu zagonie, a zagon od gorąca odmarza, pulchnieje...

Skończyłem swoją historijkę. Teraz zaczyna Głodzia skrzeczeć jak sroczka. Za miastem, chcąc dostać się na wzgórze, wziąłem ją na plecy. Niebo szare, śnieg chrzęści pod nogami, krzaki i wychudłe, jakby szkieletowate drzewa pootulane białymi materacami. Dym wznosi się z kominów prosto w górę i ma szafirowy kolor. Nie słychać nic prócz rechotania mojej małej żabki. Jesteśmy na szczycie. U stóp mamy miasto przepasane, niby dwiema wstęgami, leniwym nurtem Yonne'y i krętym Beuvronem. Wszystko ma czapki ze śniegu. Mimo że miasto przemarzłe jest do szpiku kości, skulone i drżące, rozgrzewa mi serce, ile razy obejmuję je spojrzeniem.

Miasto łagodnymi liniami otaczają piękne wzgórza, porośnięte lasem, podobne do brzegu słomianego gniazda. Za wzgórzami w kilku szeregach garbią się góry, falują wokół i błękitnieją w oddali niby morze. Ale nie ma w nich nic z owego chytrego żywiołu, który zagrażał Ulissesowi³² i jego okrętom. Nie ma burz ni przepaści. Wszystko trwa w pokoju. Gdziekolwiek tylko jakby lekki oddech poruszał łonem pagórka. Drogi ścięły się prosto z jednego garbu fali na drugi, płyną z wolna, bez pośpiechu, zostawiając pas biały, niby ślad łodzi na morzu. W dali na najwyższym grzbiecie fal góruje, niby maszt okrętu, katedra św. Magdaleny w Vézelay³³. A bliżej na skrawku Yonne'y wyszczerzają swe kły spośród gęstej sierści lasów skaliste zbocza Basseville'u. Pośrodku zatoczy wzgórze, w niedbałej pozie, zwieszona nad wodą, przybrane w ogrodę, kępy drzew, różne błyskotki i łachmanki, spoczywa miasto uwieńczone koronką, cudną wieżą.

Podziwiam ślimaczą skorupę, która służy mi za mieszkanie. Dzwony biją uroczyście. Krystaliczny dźwięk niesie się jasną falą po czystym i mroźnym powietrzu. Wsluchuję się — niepomny na nic — w tę muzykę, a wtem promień słońca, przebiwszy oponę³⁴ chmur, rozbłyska na ziemi, oblewając nas światłem.

Moja mała Głodzia zaczyna klaskać w rączka i woła:

— Dziadziu, dziadziu! Słysz, słysz, to skowronek!

Roześmiałem się radośnie, zdejmuję moją drogą żabusię z pleców, całuję serdecznie i zapewniam:

³²Ulisses (łac.; mit. gr.) — Odyseusz, bohater słynny ze sprytu król Itaki, bohater *Odysei* Homera, która opisuje jego długą i pełną niebezpieczeństw podróż morską spod Troi na ojczystą wyspę. [przypis edytorski]

³³Vézelay — wioska w Burgundii, ok. 20 km na wsch. od Clamecy. [przypis edytorski]

³⁴opona (daw.) — zasłona; okrycie, powłoka. [przypis edytorski]

Zima

Natura

— I ja go słyszę, i ja. To skowronek, co głosi wiosnę...

II OBŁĘŻENIE, CZYLI PASTERZ, WILK I JAGNIĘ

*Starczy naszych owieczek kilka,
by zgładzić wilka.*

Połowa lutego

Smutno! Piwniczka moja niebawem pokaże dno. Zaczne żołnierzyki, przysłane nam ku obronie przez Jaśnie Oświeconego Księcia naszego, Imć pana de Nevers³⁵, wybiły szpunt ostatniej beczki. Dalejże pić wraz z nimi, nie tracąc ani sekundy! Ruina? I owszem, niech będzie! Ale musi się to odbyć wesoło. Zresztą nie pierwszy to raz i z pomocą boską... nie ostatni!

Dobrzy z nich chłopcy! Zasmucili się bardziej niż ja, posłyszawszy, że płyn wysycha. Mówili mi to sąsiedzi, którzy zresztą wszystko biorą tragicznie. Ja tego nie mogę, nic już sobie z niczego nie robię. Zbyt często bywałem w teatrze i dlatego byle głupstwa traktować serio nie umiem.

Ileż przesunęło mi się od urodzenia przed oczyma tych masek! Byli Szwajcarzy, Niemcy, Gaskończy, Lotaryńczycy, cała menażeria wojenna z tornistrem na plecach, z bronią w ręku. Znam tych pożeraczy prochu o brzuchach bez dna, gotowych połknąć każdego pocziwca cywila razem z butami. Któż zgadnąć zdoła, za co i o co się biją? Wczoraj pono³⁶ za króla, dziś za Ligę³⁷. Czasem są papistami, czasem hugenotami. Wszystkie stronnictwa diabła warte, w każdym zaś razie szkoda porządnego postronka, by tych hycłów wywieszać po kolei. Drań w drania!

Mieszą przy tym Pana Boga w swoje sprawy! Kroćset starych chodaków! Zostawcie Stworzyciela w spokoju, smarkacze! To osobistość w poważnym wieku. Jeśli was skóra swędzi, skrobć się wzajem do woli. Pan Bóg poskrobie się sam, jeśli taka będzie jego wola.

A najgorsze to to, że i mnie chcą zmusić do tego niecnego procederu. Panie Boże, szanuję cię i — bez przechwałek — sądzę, iż spotykamy się po kilkakroć na dzień, jeśli prawdą jest, co mówi przysłowie galickie³⁸: Kto dobre wino pije, za pan brat z Bogiem żyje! Ale, u diaska, przecież nie przyjdzie mi nigdy do głowy twierdzić, jak powiadają ci obwiesie, że cię znam na wylot, że jesteś moim krewniakiem i że uczyniłeś mnie wykonawcą swej woli. Musisz przyznać, Panie Boże, że ci pokoju nijak nie zakłócam, i proszę tylko, byś mi taką samą miarką odplacił. Mamy obaj po uszy roboty z trzymaniem w ryzach naszych domów, ty się borykasz z wielkim wszechświatem twoim, ja z moim małym. Dałeś mi, Panie, wolność. I ja ci twojej nie odbieram. A ci nicponie każą mi się mieszać w twoje sprawy. Chcą, bym przemawiał w twym imieniu i decydował, w jaki sposób należy pożywać twój chleb. Każdego zaś, co by pożywał go inaczej, mam uznać za wroga twojego i mojego. Ani myślę! Nie mam wrogów.

Wszyscy ludzie są mymi przyjaciółmi. Biją się, ponieważ sprawia im to przyjemność, a że ja się tym nie zajmuję, przeto chowam do kieszeni stawkę i wstaję od stołu. Te łobuzy nie pozwalają mi odejść, powiadają: „Nie chcesz być jego wrogiem, to masz nas dwu przeciw sobie!”. Tak więc muszę oberwać po łbie od tego lub od tego? Co? Ano, to dobrze, będę grał także... i owszem! Mam być kowadłem? Niedoczekanie wasze, będę młotem, a wy kowadłem.

³⁵Karol I Gonzaga de Nevers (1580–1637) — syn Ludwika Gonzagi de Nevers i Henrietty de Clèves, książę Nevers w Burgundii, od 1627 książę Mantui i Montferratu; Nevers było stolicą prowincji Nivernais, której głównymi miejscowościami były Pouilly, Clamecy, Vézelay, Château-Chinon, Decize, Donzy, La Charité-sur-Loire i Pougues-les-Eaux. [przypis edytorski]

³⁶pono (daw.) — ponoć, podobno. [przypis edytorski]

³⁷Liga Katolicka — francuskie stronnictwo katolickie działające w XVI w. w celu wykorzenienia protestantyzmu z Francji; założona w 1576, wspierana przez Hiszpanów i Państwo Kościelne, opanowała w 1588 Paryż, zmuszając króla Henryka III Walezjusza do ucieczki; kwestionowała legalność władzy jego następcy, hugenockiego Henryka IV z Nawarry; rozwiązana, gdy Henryk IV w 1593 oficjalnie przeszedł na katolicyzm. [przypis edytorski]

³⁸galicki (z łac. gallicus) — galijski, odnoszący się do staroż. Galii; przen.: francuski. [przypis edytorski]

A kto mi, u stu diabłów, powie, po co świat wydał wszystkich tych cymbałów, tych gentlej daków, polityków, tych wielmożów, którzy z naszej Francji wytoczyli krew? Opiewają nieustannie jej sławę, a opróżniają jej kieszeń. Pożerają nasze własne denary³⁹, twierdząc, że niszczą wrogie mocarstwa. Napastują Niemcy, wciskają się do Włoch, wtykają nos do haremu Turka, chcieliby zagarnąć pół świata, a nie potrafiliby nawet obsadzić go kapustą.

Basta, drogi przyjacielu. Nie psuj sobie zbyt wiele krwi! Dobrze jest, jak jest... aż przyjdzie czas, że świat uczynimy lepszym (weźmiemy się do tego przy pierwszej zaraz okazji). Nie ma tak głupiego bydlęcia, które by się jakoś nie przydało!

Słyszałem raz, że pewnego dnia Pan Bóg (o, Stworzycielu, ciągle dziś gadam o tobie!), przechadzając się ze św. Piotrem⁴⁰ po Betlejem (to przedmieście Clamecy) zobaczył siedzącą na progu domu kobietę, która była wielce znudzona i smutna. Dobry Stwórca, współczuciem tknięty, sięgnął do kieszeni, wyjął całą garść (około stu) wszy, rzucił jej na kolana i powiedział: „Oto zabawka dla ciebie, droga córko moja!”. Kobięcina ocknęła się z odrętwienia i zaczęła polowanie. Ile razy udało jej się schwycić i zamordować zwierzątko, wybuchała wesołym śmiechem.

Widać, że wojna to taki sam dowód współczucia boskiego. Chcąc dostarczyć nam rozrywki, niebiosa zesłały nam na kark dwunożne wszy, byśmy się mogli czochrać i oganiać; śmiejmyż się wesoło. Robactwo jest, jak mówią, znakiem świętości (robaki to nasi ostatni władcy). Radujmyż się tedy w Panu, bracia moi, bo nikt pod tym względem nie jest od nas lepiej zaprowiantowany.

A teraz powiem wam (na ucho): cierpliwości! Jesteśmy na dobrej drodze. Mrozy i śniegi nie trwają długo, kanalie wojenne i dworskie pójda sobie precz! Zostanie pocziwa ziemia i my zostaniemy... a to grunt! Będzie rodziła dalej, po staremu. Tymczasem pijmy, pijmy, póki starczy ostatniej beczki; trzeba zrobić miejsce na przyszłe winobranie.

*

Moja córka, Martynka, rzekła mi pewnego dnia:

— Jesteś blagier, papo drogi! Słuchając cię, każdy by myślał, że nic nie robisz, tylko leżysz pod beczką. Gadasz o tym ciągle, dzwonisz na wszystkie strony, jakby ci wszystkim były pohulanki i pijatyki, jakbyś chciał przepić ostatnią koszulę. A przecież nie możesz jednego dnia wytrzymać bez pracy. Udajesz lekkoducha, rozrzutnika, wartogłowa⁴¹ niewiedzącego, co wpada do kieszeni i co z niej ucieka, a rozchorowałbyś się, gdyby dzień cały, godzina po godzinie, nie był najskrupulatniej uregulowany, gdyby wszystko nie szło jak w zegarku. Masz zapisany każdy grosz wydany od zeszłorocznej Wielkiej Nocy⁴² i nie znajdzie się spryciarz, który by cię wziął na kawał. Jesteś szalona pałka! Patrzcie na to jagniątko! Jak mówi przysłowie: Starczy naszych owieczek kilka, by zgłodzić wilka!

Roześmiałem się wesoło i nie odpowiedziałem nic weredycze⁴³. Ona przecież ma rację, mogłaby jednak nie mówić głośno takich rzeczy. Ale prawda, kobieta i sroka zataja tylko to, czego nie potrafi wyskrzeczć. Zna mnie... o, zna! Cóż dziwnego, wszakże to mój produkt! Tedy przyznaj się, Colasie, możesz czynić głupstwa do woli, głupcem nigdy nie zostaniesz. Masz szaleństwo w rękawie, a pokazujesz je, gdy ci przyjdzie ochota. Chowasz je przecie, gdy trzeba mieć obie ręce i trzeźwą głowę do pracy. Podobnie jak wszyscy Francuzi, masz w zanadrzu nieomylny instynkt porządku i tak dobrze jesteś osadzony na kotwicy rozsądku, że możesz sobie pozwolić udawać wariata. Nie ma ryzyka, chyba dla durniów, którzy patrzą na ciebie z otwartą gębą i próbują cię naśladować.

Kobieta, Słowo

³⁹denar — tu: denier, dawna srebrna moneta francuska. [przypis edytorski]

⁴⁰Piotr Apostoł (zm. ok. 64 n.e.) — jeden z grupy dwunastu najbliższych uczniów Jezusa (apostołów), przywódca pierwotnego Kościoła w Jerozolimie; jeden z głównych świętych chrześcijańskich; w opowieściach ludowych niekiedy jest towarzyszem wędrowek Jezusa (lub Boga) po okolicach bliskich opowiadającemu i słuchaczom. [przypis edytorski]

⁴¹wartogłów (daw.) — osoba lekkomyślna, niezbyt zrównoważona, lekkoduch. [przypis edytorski]

⁴²Wielkanoc — najstarsze i najważniejsze święto chrześcijańskie, obchodzone na pamiątkę męki, śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa; od 325 święto ruchome, obchodzone w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni Księżyca, przypadające pomiędzy 22 marca a 25 kwietnia. [przypis edytorski]

⁴³weredyczka (z łac.) — kobieta, która mówi prawdę prosto w oczy, bez względu na konsekwencje. [przypis edytorski]

Mowy patetyczne, wiersze na poczekaniu, pomysły karkołomne, oto co ci do smaku! To ludzi rozplomienia i palą się na obu końcach. Ale my... my kładziemy na stos tylko suche konary, grube zaś drzewo mamy porządnie poskładane na zimę pod dachem. Fantazja daje uciészne widowiska rozumowi, który siedzi sobie w wygodnym fotelu i kiwa uprzejmie głową. Wszystko mnie bawi. Teatr mój to świat cały. Z fotela śledzę przebieg komedii, oklaskując uciésznych śmiałków; biorę udział w igrzyskach rycerskich i królewskich fetach i krzyczę bis tym, którzy karki kręcą na scenie. Czasem dla zwiększenia przyjemności udaję, że biorę to wszystko na serio, i staję się na chwilę aktorem. Ale nie tracę nigdy świadomości, iż to tylko farsa. W takim samym nastroju słucham opowieści o boginkach... i nie tylko o boginkach. To samo dzieje się, gdy idzie o owego wielkiego pana, który żyje w niebie. Gdy patrzymy, jak kroczy w procesji, wśród pomruku oremusów⁴⁴, przybieramy w biel ołtarze i stroimy ściany domów. Ale prawdę mówiąc... Cicho bądź, gaduło, to pachnie konfiskatą!... Panie, nie rzekłem nic złego! Zdejmuję kapelusz... Cicho, szal!

*

Koniec lutego

Osiół, wyskubawszy wszystką trawę na łące, oświadczył, że nie ma tu co robić, i poszedł sobie na łąkę sąsiada. Garnizon księcia de Nevers odmaszerował dziś rano. Radość była patrzeć na tych draniów: każdy spaśny, ciężki, tłusty i czerwony. Byłem dumny z mojej kuchni. Ucałowaliśmy się z dubeltówki⁴⁵ na pożegnanie. Życzyli nam gorącym sercem, by nam się darzyło zboże, by winnice nasze nie doznały szkody od mrozu.

— Weź się ostro do pracy, wujaszku! — radził mi specjalnie gość mój, sierżant, który najdłużej stał kwaterą. (Zasłużyłem na to szacunkowe miano, chociaż nie przyznaję się do pokrewieństwa z tą kanalią). — Weź się do pracy i fatygi nie żałuj, zwłaszcza w winnicy. Na świętego Marcina⁴⁶ przyjdziemy z powrotem i popijemy wesoło!

Pocziwi to ludzie, gotowi zawsze przyjść z pomocą człowiekowi, gdy wiedzie zacięty bój z dzbanem.

Jakoś mi ulżyło, gdy sobie poszli. Sąsiedzi otwierają pomału swoje skrytki. Ci, którzy wczoraj jeszcze wyglądali jak po wielkim poście, jęcząc z głodu i wyrzekając na nędzę, odnajdują dziś tu i ówdzie pod słomą w spichrzu lub też pod ziemią w piwnicy, a wreszcie pod warstwą cegieł w ścianie różne różności dla pokrzepienia ciała. Nawet największym safandułom udało się, za pomocą doskonale wyuczonych żalów na głód i pragnienie, utrzymać w całości baryłki najlepszego wina.

Ja sam (doprawdy nie wiem, jak się to mogło stać), gdy tylko rozstałem się z moim sierżantem (odprowadziłem go aż za miasto), nagle palnąłem się pięścią w czoło i przypomniałem sobie, że została w stajni, postawiona tam umyślnie w cieple, spora baryłka doskonałego, wytrawnego chablis⁴⁷. Jak sobie każdy może wystawić⁴⁸, byłem w pierwszej chwili ogromnie zasmucony. Ale skoro zło już się stało, trzeba się pogodzić z koniecznością i przyznać, że ostatecznie stało się dobrze. Jestem zgodliwy. Sierżancie, siostrzeńcze drogi, ach, nie wiesz, coś stracił! Co za nektar, jak to pachnie! Ale nie poniesiesz straty, chłopcze... Zaręczam ci słowem, bo tę beczułkę wypiję wyłącznie za twoje zdrowie!

Sąsiedzi odwiedzają się wzajem. Jeden pokazuje drugiemu, co znalazł w piwnicy, wszyscy mrugają oczyma niby augurowie⁴⁹ starożytni i składają sobie gratulacje. Oczywiście, jeden opowiada drugiemu, jakie poniósł straty, jakich doznał gwałtów (w tej materii rozmowy toczą się często na ucho), szukają pocieszenia we wspólnym losie. Wszyscy czę-

Wojna, Kobieta,
Poświęcenie

⁴⁴oremus (łac.) — módlmy się, początkowe słowa niektórych modlitw; tu żart. oremusy: modlitwy. [przypis edytorski]

⁴⁵całować z dubeltówki (fraz.) — całować w oba policzki. [przypis edytorski]

⁴⁶dzień św. Marcina — obchodzone 11 listopada święto katolickie ku czci Marcina z Tours; w regionach winiarskich Europy tradycyjną częścią obchodów jest picie młodego wina. [przypis edytorski]

⁴⁷chablis — cenione wytrawne białe wino burgundzkie z regionu Chablis w departamencie Yonne. [przypis edytorski]

⁴⁸wystawiać sobie (daw.) — wyobrażać sobie. [przypis edytorski]

⁴⁹augur — kapłan w starożytnym Rzymie, wieszcz, który wyczytywał wróżby z lotu ptaków. [przypis edytorski]

sto pytają ze współczuciem Wincentego Pluviaut o stan zdrowia jego małżonki. Jest to dzielna kobiecina, a posiada też tę właściwość, że po każdym pobycie wojsk musi przydłużać pasek, gdyż staje się dziwnie krótki. Składamy życzenia szczęśliwemu małżonkowi i ojcu, podziwiamy jego ochotność w służbie ojczyściej sprawy, a ja żartem, bez złej myśli, klepię go po brzuchu pełnym, nieposzkodowanym, podobnie jak gospodarstwo tego spryciarza, które wśród ogólnej katastrofy jakoś nic nie ucierpiało. Wszyscy śmieją się wesoło a dyskretnie, nie czyniąc przykrych aluzji. Ale Pluviaut czuje się urażony moim żarciem i udziela mi rady, bym lepiej pilnował własnej żony. Odpowiadam, że szczęśliwy posiadacz tego skarbu może spokojnie chrapać całą noc, nie obawiając się złodzieja. Naturalnie wszyscy mi przyznają słuszość.

Żart

*

Ale zbliżają się dni sytości. Chociaż obecnie nie bardzo obfite, to jednak: zastaw się, a postaw się! Idzie o reputację obywateli i całego miasta! Cóż by powiedziano o Clamecy, słynnym ze smakoszostwa, gdyby Mięsopest⁵⁰ zastał je bez frykasów? W każdym domu skwierczą rondle, a cudny zapach przyrumienionego tłuszczu napelnia wszystkie ulice. Skwiercz, skacz, naleśniczku, dla małej Głodzi na uciechę!

Nagle... ra-ta-ta... ra-ta-ta! Słychać bębny, flety, trąbki, śmiechy, wykrzykniki. To goście z Judei przybywają do Rzymu⁵¹.

Na czele pochodu kroczy muzyka, a za nią halabardnicy, torując sobie nosami drogę wśród tłumu. Czegóż tu nie ma: nos jak trąba słonia, coś w rodzaju piki, dalej nos-róg myśliwski, nos-dmuchawka, nos najeżony cierniami, nos inkrustowany kasztanami, z małymi jakby ptaszętami na końcu. Nochale rozpychają gapiów i klepią kobiety po pośladkach, aż piszczą. Ale wszystko znika przed królem nosów, który niby taran, niby kusza potężna toczy się z rozpędem na wyniosłej lawecie.

Święto, Zabawa

Pośrodku tłumu na wysokim wozie widnieje Wielki Post, król rybkojadów. Otaczają go postacie wybladłe, zielone, wychudłe, wypatroszone, oblaźłe, dygocące, w kapturach lub czapach o kształcie rybich łbów. A co ryb dokoła! Ten trzyma w jednej garści po karpiku i okoni; tamten wymachuje różnem z nadzianymi nań kielbikami, trzeci wystawia olbrzymiego szczupaka z płotką w pysku i rozprutym brzuchem, pełnym rozmaitej drobnicy wodnej. Łatwo o niestrawność od tego widowiska! Inni pakują sobie palce do otwartej na oścież gęby, by przepchnąć przez oporną gardziel jaja kurze, krztusząc się przy tym i dławiąc.

Po prawej i lewej stronie rydwanu stoją maskary, jedne w kształcie puszczyków, inne w sukienkach mniszek, zarzucając w tłum długie wędki obładowane przynętami w postaci lukrowanych orzechów i łakotek; co zręczniejsze łobuzy próbują chwycić je w locie, podskakując jak młode kozłeta. Na końcu płąsa diabeł w fartuchu kucharza, z patelnią w jednej, a chochlą w drugiej ręce. Wtyka on co chwila sześciu bosym i spętanym męczennikom kęsy jakiejś osobliwej stawy do gąb wykrzywiających się spoza drabinek wozu.

Ale oto triumfatorowie dnia. Jawi się Królowa Kielbas, siedzi na wysokim tronie z szynek, otoczona wieżami ozorów. Na głowie ma salceson, na szyi długi różaniec serdelków, którymi bawi się z gracją. Z prawej i lewej strony maszerują kiszki krwawe i pasztetowe, specjalność Clamecy, a prowadzi je na pole chwały pułkownik Smakowęch. Przyozdobione frykasami z ciasta i arabeskami z sadła, wyglądają wspaniale, potężnie, połyskliwe, świetnie.

⁵⁰*mięsopest* (daw.) — ostatki; w kościele katolickim: ostatnie dni karnawału przed czterdziestodniowym postem poprzedzającym wiosenne święto Wielkanocy; nazwa pochodzi od „mięsa opust”, czyli opuszczenie, pożegnanie na czas postu. [przypis edytorski]

⁵¹*goście z Judei przybywają do Rzymu* — Betlejem, przedmieście Clamecy, nazywamy Judeą, a miasto Rzymem, nawiązując do starożytnych schodów wiodących od kościoła św. Marcina do Beuvronu. [przypis autorski]

I ja, przyznaję, lubię tych dostojników, których brzuch wygląda jak garnek i którzy przynoszą jak magowie⁵²: ten smakowitą szynkę, ten doskonałe wino, ten musztardę z Dijon⁵³.

Wtedy właśnie przy dźwiękach rondla, cymbałów, przetaków⁵⁴, patelni oraz wrzasków nieludzkich nadjeżdża wierzchem na osie Król Rogali, nasz Wincenty Pluviaut we własnej osobie. Został wybrany jednogłośnie. Siedzi na swym kłapouchu twarzą do ogona, w wysokim turbanie na głowie, w ręce trzyma kubek i przysłuchuje się wrzaskliwej owacji swej swity, która prozą, wierszem i pieśnią opiewa jego historię i sławi go wymownie. Jako wytrawny mędrzec, nie okazuje pychy. Zachowując równowagę umysłu, popija raz po raz. A tylko gdy pochód mija jakiś dom wslawiony podobną przygodą, wznosi puchar i woła: „He, he, kolego! Za twoje zdrowie!”.

Pochód zamyka Wiosna. Jest to śliczna, świeża dziewczyna, rumiana i roześmiana. Jasne włosy, gładko zaczesane, zdobią pęki żółtych pierwiosnków. Taki sam wianuszek spływa jej z szyi ku zielonemu staniczkowi, w którym, niby jajka w gniazdku, kryją się krągłe piersiątki. W ręku trzyma koszyczek pełen kwiecia. Śpiewa, wznosząc w górę brwi, wytrzeszczając swe modre, wielkie ślepki i robiąc „o” z usteczek. Nieco piskliwym głosem zapowiada wszystkim, że jaskółki wnet nadlecą.

Za nią duży wóz zaprzężony w cztery siwe woły, pełen młodych, pulchnych, kształtnych, wesołych, nawet za wesołych, dziewcząt. Jest tam też kilkanaście podlotków w przejściowym wieku, które tkwią po kątach, przyćmione zupełnie, niby młode, wątłe drzewiny wtulone pomiędzy wyrosłe należycie siostry. Tej i owej brakuje jakiegoś kawałka, trafi się brzydula, ale wszystkie młode i ochotne, przeto wilk nie będzie narzekał na te owieczki. Trzymają klatki z ptakami przelotnymi, a sięgając często gęsto do koszyka Królowej Wiosny, rzucają chłopcom, tłoczącym się wokoło wozu, ciastka, pakieciki i zawiniątka, w których szczęśliwcy znajdują szlafmyce⁵⁵, pończochy, czekoladki, wróżby, wiersze miłosne, a czasem — rogi.

Wóz przybył do stóp wieży i zatrzymał się u schodów. Dziewczęta zeskakują i zaczynają tańczyć z chłopcami na placu katedralnym. Ale Królowa Kielbas, Wielki Post i Król Rogali odbywają dalej swój marsz triumfalny. Zatrzymują się co chwila, by objawić tłumowi jakąś wzniosłą prawdę albo poszukać jej na dnie szklanki.

Pijmy wino! Pijmy wino!
Nie odjedziem z kwaśną miną...
Żaden Burgund nie zbłąźni,
By nie wypić po przyjaźni.

*

Gdy się pije nad miarę, język kołczeje⁵⁶ i werwa roztopia się na nic. Zostawiam tedy zacnego Wincentego wraz z jego eskortą na najbliższej stacji pijackiej, w cieniu beczki, i idę sobie. Dzień jest zbyt piękny, by go spędzić w ścisku. Trzeba odetchnąć świeżym powietrzem pól.

Dawny przyjaciel mój, proboszcz Chamaille, przyjechał ze swej wioski na przyjęcie do kanonika⁵⁷ katedry św. Marcina i zaprasza mnie, bym go odprowadził kawałek drogi. Zabieram moją Głodzie i pakujemy się do malej, trzęsącej biedki⁵⁸ zaprzęgniętej w osła. W drogę! Osliczka jest tak maleńka, że można by ją pomieścić w biedce pomiędzy mną a Głodzią. Przed nami ściele się biała, równa droga.

Słońce drzemie. Samo się grzeje u własnego kominka, dla nas nie pozostaje dużo

⁵²magowie — tu: postacie z biblijnej *Evangelii wg Mateusza* (Mt 2, 1–12), zw. w Polsce częściej Trzema Królami: uczeni kapłani ze Wschodu, którzy mieli podążać za gwiazdą, przybyć do Betlejem i przekazać dary nowo narodzonemu Jezusowi. [przypis edytorski]

⁵³Dijon — miasto we Francji, historyczna stolica Burgundii. [przypis edytorski]

⁵⁴przetak — rodzaj dużego, okrągłego sita. [przypis edytorski]

⁵⁵szlafmyca (z niem.) — nakrycie głowy zakładane na noc, do snu. [przypis edytorski]

⁵⁶kołczeć — drętwieć, zamieniać się w kolek. [przypis edytorski]

⁵⁷kanonik — dawniej: duchowny żyjący przy katedrze według reguł kanonicznych. [przypis edytorski]

⁵⁸biedka — mały dwukołowy powóz konny. [przypis edytorski]

Młodość, Kobieta, Wiosna

Młodość

Ksiądz, Zwierzę, Podróż

Słońce

ciepła. Ośliczka także zapada co krok w drzemkę czy zadumę. Proboszcz przywołuje ją do porządku głosem oburzoną, podobnym do brzęczenia dużego trzmiała:

— Madelon! A to co?

Ośliczka wzdryga się, strzyże uszami w odpowiedzi, potem wlecze się zygzakiem od rowu do rowu. Ale po chwili staje i дума, nie zważając na wymyślanie.

— Niechże cię! — woła proboszcz, okładając jej zad łaską. — Gdybyś nie miała krzyża na grzbiecie, dalibóg, połamałbym ci kości!

Zatrzymujemy się na odpoczynek w pierwszej napotkanej oberży na skrócie drogi, która stąd stacza się lekkim spadkiem ku bielejącej w dali wiosce Armes, przeglądającej się w krystalicznych nurtach rzeki. Pośrodku pobliskiego pola stoi wielki orzech i wznosi ku niebu sękatę, nagie, czarne ramiona. Łysy jest jeszcze zupełnie. Wokoło drzewa tańczą dziewczęta. Chodźmy do nich. Dzisiaj właśnie zanosły, wedle obyczaju, kumosze-sroce ciastko świąteczne.

— Głodziu, patrz no! Tam na drzewie siedzi srocza, srocza-plotkarka, srocza-złodziejka! Widzisz? Ma białą kamizelkę i wychyla się, by nas zobaczyć. Straszna z niej ciekawska. Jej gniazdo nie ma drzwi ni okien, ledwo trzyma się gałęzi i wiatr hula po nim, jak chce. To umyślnie, gdyż srocza boi się, że coś ujdzie jej okrągłym, ciekawym ślepiom i nie będzie mogła wypaplać. Bardzo często przemarznie do kości lub przemoknie do nitki... Ale nic sobie z tego nie robi. Główna rzecz to zaspokoić ciekawość. Strasznie zła. Wydaje się, jakby mówiła: „Cóż mi tam po darach waszych? Zabierzcie je sobie z powrotem. Czy myślicie, że gdybym miała ochotę na te wasze głupie ciastka, nie umiałabym sobie poradzić? Ukradłabym, i basta! Nie sprawia mi przyjemności jeść rzeczy, które mi kto pod nos podsunie. Smakuje mi tylko kradzione!”.

— Więc po cóż, dziadziu, dawać tej głupiej złodziejce ciasteczko przystrojone w śliczne wstążeczki? Po cóż jej życzyć wszystkiego dobrego?

— Bo widzisz, moja dziecinko, w życiu rozsądniej jest być ze złymi w przyjaźni niż w nieprzyjaźni!

— Ładnych ty ją uczysz rzeczy! — oburzył się proboszcz.

— Nie mówię, że to pięknie, powiadam tylko, że tak każdy czyni, a ty sam pierwszy, drogi księżu, nie przewracaj tak oczyma. Powiedz, czy nie zatkałbyś ciastkiem gęby dewotce, która przychodzi cię dręczyć, klekotać, która wie wszystko, wszystko słyszy, wtyka nos wszędzie?

— Boże, byle tylko chciała poprzestać na ciastku! — wykrzyknął proboszcz.

— Ale sroka i tak więcej warta od kobiety. Język jej czasem przydaje się na coś!

— A na co, dziadziu? — spytała Głodzia.

— Gdy się wilk pokaże, srocza krzyczy na całe gardło.

Ledwo padły te słowa, ptaszysko zaczęło się drzeć wniebogłosy. Bila skrzydłami, piszczała, miotała kłutwy, podlatywała i widoczne było, że złości się na kogoś będącego w dolinie wioski Armes. Żerujący na skraju lasu towarzysze sroki: kawka i kruk, odpowiadali tym samym wrzaskiem, niecierpliwym i poirytowanym. A ludzie śmieli się i wołali:

— Wilk, wilk?! Nikt w to nie wierzy.

Mimo to ludzie się rozglądają. (Zawsze lepiej sprawdzić). I co się okazuje? Do kroćset starych diabłów! Kupa uzbrojonych ludzi zjawiała się na wzgórzu. Posuwają się biegiem. Poznajemy ich. To te łajdaki, żołnierze z Vézelay. Wiedząc, że miasto nasze nie ma załogi, postanowili widocznie zaprowiantować się u nas. Mogę zaręczyć, że nie marnowaliśmy czasu na podziwianie ich. Rozległ się krzyk:

— W nogi! W nogi!

Uczyniło się kotłowisko, ludzie zaczęli się pchać, popychać. Wszyscy uciekali co sił drogą, na przełaj przez pola, jedni dotykając brzuchem ziemi, inni dotykając jej odwrotną stronę swego ciała.

Wskakujemy do biedki. Jakby zrozumiała, o co idzie, Madelon rusza galopem i pędzi niby strzała, a pocziwy proboszcz okłada jej boki łaską, zupełnie zapominając o respekcie dla istoty mającej wyobrażenie krzyża na grzbiecie.

Jedziemy otoczeni tłumem uciekających, wydających przeraźliwe okrzyki, i dopadamy Clamecy, okryci kurzem i słomą, jedni z pierwszych, a za nami cisną się spóźnieni. W pełnym galopie przebiegamy przedmieście na bryczce podskakującej co chwila. Madelon unosi się w powietrzu, proboszcz nie przestaje bić, a wszyscy wołają na całe gardło:

Obyczaje, Ptak

Ptak, Niebezpieczeństwo

— Nieprzyjaciół nadchodzi!

Ludzie, patrząc na nas, śmiali się z początku, ale wnet zmiarkowali⁵⁹, o co idzie. Zaroiło się niby w mrowisku, gdy wetknąć w nie kij. Rejwach powstał, każdy zjawiał się, znikał, wracał, wychodził. Mężczyźni uzbrajali się, kobiety pakowały na gwałt rzeczy do koszów i wózków, a cała ludność przedmieścia, opuszczając domy, ciągnęła w stronę miasta, pragnąc co prędzej dostać się za mury. Szli, jak kto stał, w kostiumach, w maskach — ten z przyprawionymi pazurami, ten w rogatej czapce, inny z wypchanym brzuchem, jeszcze inny przebrany za Belzebuba⁶⁰ czy Gargantuę⁶¹; wszyscy biegli do bastionów, zbrojni w proce i harpuny.

Gdy awangarda wojska z Vézelay znalazła się pod murami, mosty zwodzone były już podniesione, a po drugiej stronie rowu znalazło się ledwo kilku biedaków, którzy, nie mając nic do stracenia, nie starali się ukrywać, oraz nasz przeznacny Król Rogali, Pluviaut, opuszczony przez eskortę, pełny wina aż po dziurki w nosie, napęczniały jak beczka i chrapiący na swym ośle, którego ogon ścisnął oburącz.

I oto zaraz okazało się, jak to dobrze mieć za nieprzyjaciół ziomków swych, Francuzów. Inni to tępe lby. Niemiec, Szwajcar czy Anglik pojmie dopiero na Wilię⁶² to, co słyszy na Wszystkich Świętych, i wziąłby za oczywiste kpiny ową awanturę z biednym Pluviaut; wtedy zaś nie dałbym złamanego szeląga za jego skórę. Lecz Francuzi rozumieją się bez słowa. Czyś z Lotaryngii, czy z Tours, Szampanii czy Bretanii, czyś gęś z Beauce⁶³, czy zając z Vézelay — wszystko jedno! Możemy się między sobą bić, rabować, to inna sprawa, gdy jednak trafi się dobry żart, wszyscy się zaraz na tym poznają.

Ujrawszy tego naszego Sylena⁶⁴, cała armia nieprzyjacielska wybuchła szczerym, głośnym, wesołym śmiechem. Śmiali się jak wszyscy Francuzi, a więc: oczyma, ustami, nosem, gardłem, twarzą, sercem, brzuchem, a nawet nogami drgającymi w takt śmiechu.

Na świętego Rigoberta⁶⁵! Widząc, jak się śmieją, ryknęliśmy w odpowiedzi i śmiech huczał wśród murów.

Potem wymieniliśmy poprzez bastiony połajanki utrzymane w tonie żartobliwym, wzorowane na klasycznych enuncjacjach⁶⁶ Ajaksa i Hektora⁶⁷. Tylko nasze były pulchniejsze i bardziej tłuste. Rad bym je zanotować, ale nie ma czasu. W każdym razie nie zaniedbam włączyć ich do zbioru najlepszych facecji, powiedzeń, przysłów i dowcipów burgundzkich (szkoda naprawdę, by poszły w niepamięć!), zasłyszanych czasu pobytu mego na tym padole łez, który to zbiór kompletuję od dwunastu lat. Brzuch się trzęsie na samo ich wspomnienie i robią się kleksy na rękopisie.

*

Skończywszy wymianę obelg, należało się wziąć do roboty (dobrze wygadać się przed pracą). Ale ani my, ani oni nie mieliśmy ochoty posuwać sprawy za daleko. Oni czuli, że się interes nie udał, gdyż zamknęliśmy na czas bramy, a leżąc na mury nikt nie miał ochoty: można spać i połamać sobie kości. Należało jednak coś zrobić, cokolwiek bądź, bo jakże tak pójść bez zakończenia? Tedy zaczęto marnować proch, rzucać petardy... Ale chyba wróble ucierpiały od tej pukaniny. Siedząc oparci o mury parapetów, czekaliśmy spokojnie, aż śliweczki przelecą, i wówczas posyłaliśmy im garstkę naszych orzeszków,

⁵⁹miarkować (daw.) — domyślać się, wnioskować; orientować się. [przypis edytorski]

⁶⁰Belzebub (bibl.) — w biblijnych księgach *Nowego Testamentu* demon, władca złych duchów (Mk 3, 22; Mt 12, 24; Łk 11, 15). [przypis edytorski]

⁶¹Gargantua — dobroduszny olbrzym, żarłok i opój ze średniowiecznej francuskiej tradycji ludowej, bohater powieści *Gargantua i Pantagruel* (1532–1564) François Rabelais'go. [przypis edytorski]

⁶²Wilia a. Wigilia — tu: wigilia Bożego Narodzenia, obchodzona świątecznie 24 grudnia, w dniu poprzedzającym chrześcijańskie święto Bożego Narodzenia; daw. ogólnie: przeddzień, dzień przed ważnym wydarzeniem. [przypis edytorski]

⁶³Beauce — żyzny region w płn. Francji, pomiędzy rz. Sekwaną a Loarą. [przypis edytorski]

⁶⁴Sylen (mit. gr.) — towarzysz boga vegetacji i wina Dionizosa, przedstawiany jako tłustawy mężczyzna z końskimi uszami, nogami i ogonem, często nadużywający wina. [przypis edytorski]

⁶⁵Rigobert z Reims (zm. ok. 750) — frankijski mnich benedyktyński, biskup Reims; święty katolicki; jego święto obchodzone jest 4 stycznia. [przypis edytorski]

⁶⁶enuncjacja (książk.) — wypowiedź, oświadczenie, deklaracja. [przypis edytorski]

⁶⁷Ajaks (a. Ajas) i Hektor (mit. gr.) — bohaterowie *Iliady* Homera: Ajas był najdzielniejszym po Achillesie z wojowników achajskich oblegających Troję, zaś Hektor najdzielniejszym obrońcą Troi. [przypis edytorski]

ale nie bardzo mierząc (nie trzeba się nadto odsłaniać); ten i ów wyrzał dopiero wtedy (tknięty ciekawością), gdy doleciały wrzaski ujętych za rowem naszych jeńców. Był tam z jakiś tuzin mężczyzn i kobiet, stali w szeregu zwróceniem twarzy do muru, i żołnierze chłostali ich. Darli się wniebogłosy, chociaż ból nie był znów tak wielki.

Aby się zemścić, ponabijaliśmy na piki szynki, salcesony i kielbasy i wzniosłszy je w górę, defilowaliśmy, bezpiecznie osłonięci, wzdłuż murów. Na widok owych smakochów nieprzyjaciele wydali okrzyk wściekłości i pożądania.

Postanowiliśmy dogodzić sobie tego pierwszego dnia oblężenia (dobra farsa i pieczeń musi być podłana): ustawiliśmy pod murami, gdy nadszedł wieczór, wielkie stoły, a na nich spoczęły góry wiktuałów i baterie flaszek. Bankietowaliśmy hałaśliwie, wznosząc toasty na cześć wiosny. Oblęgający mało się nie powściekali ze złości. Tak upłynął pierwszy dzień bez wielkich strat. Zginął, co prawda, jeden z naszych, tłusty Gueneau. Uparł się spacerować po wierzchu murów ze szklanką w ręku, by wroga do jeszcze większej pasji pobudzić. Był podпиты, a ledwo się ukazał, gruchnęła salwa — i szklanka oraz jego mózg poszły w kawałki. Ze swej strony rozciągnęliśmy też jednego czy dwu. Ale nie popsulo to nam humoru, bo wiadomo, nie ma uczty, by się coś nie stłukło.

Proboszcz Chamaillé czekał nocy, by wyjechać z miasta i wrócić do siebie. Daremnie tłumaczyliśmy mu:

— Przyjacielu, narażasz życie. Zaczekaj lepiej, aż się skończy ta awantura. Pan Bóg zajmie się twymi parafricanami.

— Nie mogę opuszczać owieczek moich. Jestem prawicą Boga, a jeśli mnie zabraknie, Pan Bóg zostanie mańkutem. Wóz albo przewóz. Jakoś sobie dam radę.

— Wiem, wiem — rzekłem. — Pokazałeś, co potrafisz, gdy hugenoci obiegli twój kościół. Wówczas zakatrupiełeś własnoręcznie kamieniem ich dowódcę, papistożercę.

— Ogromnie się zdziwił! — odrzekł proboszcz. — Nie mógł, hycel, pojąć zrazu, co się stało. Ja również nie wierzyłem sobie samemu. Jestem człek spokojny i nie pragnę rozlewu krwi. To ohydna rzecz. Ale gdy się człowiek znajdzie pośród szaleńców, sam dostaje bzika. W wilczej norze każdy przemienia się w wilka.

Odpowiadam:

— Racja. Wystarczy być w tłumie, by stracić rozum. Stu mędrców razem jest durnia jednego obrazem, baranów kilka daje jednego wilka. Ale powiedz mi, mój drogi, jak sobie radzisz, by pogodzić z sobą dwa rodzaje zasad etycznych, mianowicie etykę człowieka pojedynczego, który żyje sam na sam ze swoim sumieniem i domaga się pokoju dla siebie oraz dla bliźnich, a z drugiej strony, etykę stada ludzkiego, państwa, które z wojny i zbrodni robi cnotę. Któż moralność pochodzi od Boga?

— Ładne pytanie! Oczywiście jedna i druga! Wszakże wszystko pochodzi od Boga!

— Tedy Pan Bóg sam nie wie, czego chce. Chociaż zdaje mi się, że wie, tylko sobie nie może dać rady, Pół biedy jeszcze, gdy ma do czynienia z pojedynczym człowiekiem. Nietrudno takiego samotnego nieboraka zmusić do posłuszeństwa. Ale niech się tylko ludzie zbiorą w kupę... ho, ho, niełatwa sprawa z tą bandą! *Nec Hercules contra plures*.⁶⁸ W kupie się trzymając, człowiek słucha raczej podszeptu rodzicielki ziemi, która mu mięsożerne instynkty podsuwa. Znasz przecież nasze opowieści ludowe, w których ciągle o tym mowa, że w pewnych okresach czasu ludzie stają się wilkami, a potem włożą we własną skórę. Te legendy to coś realniejszego, coś bardziej związanego z życiem niż twój brewiarz⁶⁹, kochany przyjacielu! W państwie każdy człowiek przybiera manieri wilka. Niech tam sobie państwa, królowie i ich ministrowie stroją się w kostiumy pastuszków, niech sobie gadają, że są powinowatymi czy krewnymi Wielkiego Pasterza, twój Dobrego Pasterza — to wszystko wilki krwiożercze, byki, nienasyceńcy, gardła i brzuchy bez dna. I po cóż to czynią? By podsycać wieczysty głód świata.

— Pleciesz, mój drogi! — zawołał Chamaillé. — Pan Bóg stworzył wilka jak wszystko inne. A uczynił to dla naszego dobra. Czyż nie wiesz, że właśnie sam Pan Jezus powołał do życia wilka — tak mówi legenda — a to, by bronił przed kozami i baranami kapusty rosnącej w ogródku Dziewicy, matki swojej. I dobrze uczynił. Złożmy mu hołd. Narzekamy ciągle na silnych. Zważ jednak, mój drogi, że gdyby ci tak zwani słabi zostali władcami

Książdz, Walka

Tłum

Bóg, Dobro, Zło

Władza, Religia

Władza, Siła

⁶⁸*Nec Hercules contra plures* (łac., przysł.) — ani Herkules (nie sprosta) przeciw wielu. [przypis edytorski]

⁶⁹*brewiarz* — książka zawierająca zbiór obowiązkowych modlitw dla duchownych katolickich. [przypis edytorski]

świata, byłoby nierównie gorzej! Z tego wynika wniosek: wszystko jest potrzebne, zarówno wilk, jak owieczka. Owcom potrzeba wilka, by pilnował i uczył przezorności; wilkowi potrzebne owce, bo przecież musi żyć. Skończyłem, drogi Colasie, a teraz idę pilnować mojej kapusty.

Podwinął sutannę, ścisnął w garści laskę i ruszył wśród ciemnej, bezksiężycowej nocy, powierzywszy naprzód ze wzruszeniem mej opiece małą ośliczkę Madelon.

Następny dzień miał przebieg mniej wesoły. Mnóstwo jadła poszło pierwszego wieczora. Ucztowaliśmy bez oglądania się na przyszłość, przez lekkomyślność, pyszałkowatość, wreszcie przez głupotę. A zapasy nasze były więcej niż skromne. Trzeba było ściągnąć brzuch paskiem i tak też się stało. Bufonowaliśmy dalej. Gdy brakło kielbas, zaczęto fabrykować namiastki. Napelniono kiszki rozmaitym śmieciem i spuszczo je na harpunach pod nos nieprzyjacielowi. Te draby wzięły się na sposób. Kula trafiła ową kielbasę, tak że spadła wśród wojsk oblegających. Można sobie przedstawić, kto się śmiał wówczas.

Mało tego, napastnicy zobaczywszy, że łapiemy ryby w rzece, spuszczały z muru wędki wprost w wodę, pozarzucali w tych miejscach sieci o małych oczkach i cała zdobycz wpadała odtąd w ich ręce. Daremnie kanonik zaklinał owych pogańskich synów, by nam nie wzbraniali dochowywać postu. Tedy z braku rybek przymuszeni byliśmy nadziewać się sadłem.

Mogliśmy, naturalnie, prosić o pomoc księcia de Nevers, ale prawdę powiedziawszy, nie bardzo nam się uśmiechała myśl goszczenia jego wojsk. Taniej kosztowało mieć pod murami nieprzyjaciela niż przyjaciół w mieście. Toteż obchodzono się bez obrońców, jak się tylko dało najdłużej. Nieprzyjaciel zresztą zachowywał się dyskretnie, tak że nie byliśmy zmuszeni uciekać się do tej ostateczności. Obie strony wołały raczej porozumieć się bez pośrednictwa, zaczęto tedy z wolna, bez pośpiechu pertraktować.

W obu obozach płynęło życie spokojnie i było ściśle uregulowane. Kładziono się spać wcześniej, wstawano późno, a przez resztę dnia grano w kości, w korki i ziewano raczej z nudów niż z głodu. Zresztą i wśród dnia drzemano, tak że koniec końcem mimo postu tyliśmy wszyscy...

Staraliśmy się zachowywać jak najspokojniej, ale trudno było sobie dać radę z dziećmi. Ta banda rozwrzeszczana, rozbiegana, roześmiana doprowadzała nas nieraz do rozpacz. Dzieciska wylażyły na mury, narażając się na pociski, pokazywały języki oblegającym, bombardowały ich kamieniami. Chłopcy posiadali całą artylerię proc, katapult, rozszczepionych patyków i innych miotaczy kamieni. Zabieraliśmy im te przyrządy, gdzie kto dopadł, ale czyż to co pomagało? Smarkacze ryczeli z uciechy. Oblegający przysięgali, że ich wybiją do nogi, a każdy malec, który wystawi nos za mury, zostanie zastrzelony.

Przybiecaliśmy czuwać nad tą hałasą, ale daremnie ciągnęliśmy ich za uszy i obtłukiwali pośladki: znikali jak duchy i pojawiali się tam, gdzie nie trzeba. Do tego doszło, że pewnego dnia (drżę jeszcze dotąd) słyszę krzyk: to Głodzia, ta cicha woda, to niewiniątko (kto by to powiedział, ach, niewdzięcznica!), wdrapawszy się wraz z chłopcami na mury, spadła jak tłumoczek prosto w rów forteczny. Byłbym ją obił w tej chwili. Miotalem się po murach, a cała załoga wychyliła się, patrząc, co się dzieje. Gdyby nieprzyjaciel skorzystał ze sposobności, nikt by żywy nie uszedł. Ale oblegający również spoglądali w rów, na którego dnie siedziało sobie spokojnie dziecko. Spadła jak kociak w trawę i nawet się nie przestraszyła. Siedziała i wzniosłszy głowinę, uśmiechała się do dwu szeregów twarzy spoglądających na nią. Potem zaczęła zrywać kwiatki.

Wszyscy śmiali się z przygody, a zacny kapitan napastników de Raguy dał nawet małej pudełeczko z miętówkami, które miał przy sobie, zapowiedziawszy naprzód, by jej nikt palcem nie śmiał tknąć.

Ale czyż kto poradzi z babami? Podczas gdyśmy byli zajęci Głodzią, Martynką, chcąc jej także spieszyć z pomocą, ześliznęła się również z murów, a podniesiona aż do samej szyi spódnica ukazała biegającym wszystkie doczesne skarby jej ciała od wschodu do zachodu, w ogóle z czterech stron świata, oraz wszystkie gwiazdy i konstelacje w całym blasku. Odniosła niesłychany sukces. Niezmieszana wcale, podeszła do Głodzi, pocałowała ją, a potem dała dziecku w skórę.

Pewien żołnierz, podniecony tym, co widział, nie zwracając uwagi na wołanie kapitana, rzucił się biegiem i skoczył do rowu. Czekala nań nieustraszona. Rzuciliśmy jej z góry miotłę. Chwyciła ją i ruszyła mężnie na nieprzyjaciela. Szła ostro do ataku, machając

Wojna

Ciało

bronią i wymierzając ciosy, a zalotnik rejterował⁷⁰ ciągle, aż wreszcie opuścił pole walki sromotnie pobity.

Wyciągnęliśmy na linie triumfatorkę wraz z dzieckiem wśród obustronnych śmiechów. Sam ciągnąłem, dumny jak paw, ów sznur, na końcu którego wisiała moja Martynka, ukazując nieprzyjacielowi księżyc w pełni.

Przez cały jeszcze tydzień trwały narady (dobra każda okazja do pogawędki), potem zaś wobec głuchych wieści o zbliżaniu się księcia de Nevers nastąpiła ugoda, i to na bardzo korzystnych dla nas warunkach. Przyrzekliśmy przeciwnikom dziesięcinę z przyszłego winobrania. Nie bardzo to obciąża obiecać coś, czego się nie ma, a co ma się mieć dopiero w przyszłości. Może wcale nie nastąpić konieczność dotrzymania umowy, tymczasem dużo wody upłynie w rzece, a więcej jeszcze przeleje się wina do żołądków.

Obie strony były zadowolone ze siebie wzajem, a my osobno jeszcze z nas samych. Ale niestety, ledwośmy obeschli z deszczu, dostaliśmy się na nowo pod rynnę. W nocy, która nastąpiła po dniu, kiedy zawarliśmy traktat pokojowy, ukazał się na niebie znak.

Około godziny dziesiątej kometa wzniosła się od strony Sembert⁷¹ i sunąc pośród gwiazd ku Saint-Pierre-du-Mont⁷², wydłużała się na kształt olbrzymiego węża. Podobna była do miecza o klindze jak płonąca pochodnia. Za płomieniem wlokła się długa wstęga dymu. Rękojeść owego miecza trzymała potężna dłoń o palcach zakończonych czymś w rodzaju głów ludzkich. Kometa miała kolor krwistofioletowy, przy końcu rudawy, niby jęcząca się rana.

Oczy wszystkich utkwione były w niebo, wszystkie usta rozwarły się od ucha do ucha, słychać było, jak zęby szczękają. Obie strony spierały się o to, do kogo odnosi się proroctwo i co oznacza. My byliśmy pewni, że jest to znak zagłady przeciwnika, ale drżeliśmy mimo to na całym ciele. To znaczy drżeli wszyscy prócz mnie. Ja się nie bałem wcale, albowiem spałem właśnie. A spałem dlatego, że czas ten wyznaczony był w moim kalendarzu jako pora do zażycia lekarstwa i spoczynku. Nie odważyłbym się nigdy sprzeciwić temu, co nakazuje mój kalendarz, i wykonuję jego zlecenia święcie, uważając go za ewangelię. Ale opowiedziano mi wszystko szczegółowo, przeto zapisuję dla dokładności te fakty.

*

Po podpisaniu traktatu pokojowego nastąpiła wspólna uczta, a że właśnie nadszedł Mięsopest, przeto można było podjeść godnie. Na święto wyzwolenia miasta nadciągnęły z sąsiednich wiosek posiłki w postaci obfitych wiktuałów i licznej bandy obżartuchów. Był to w całym tego słowa znaczeniu piękny dzień! Wzdłuż murów ustawiono stoły. Podano trzy młode dziki upieczone w całości, nadziane podróbkami i pasztetem z czystej wątróbki — dalej wonne szynki, wędzone w dymie jałowcowym, pasztety z dziczyzny i wieprzowiny pachnące czosnkiem i liśćmi laurowymi, potem szczupaki, ślimaki w skorupkach, kielbasy, flaczki, wędzonkę przerastałą⁷³, czarną potrawkę z zająca, główki baranie rozpluwające się wprost na języku, całe kupy purpurowych, pieprznych raków, od których w gardle piecze, a do tego sałatę z cebulą i octem. Oczywiście polewano jadło gorliwie winkiem: chaptotte, mandre i vauvilloux, a są to, jak wiadomo, trunki szlachetne. Deser stanowiło cudne, tłuste, krystaliczne, chłodzące kwaśne mleczko i sucharki, które włożone do wina, niby gąbka, wypijały całą szklankę do dna.

Nikt się z miejsca nie ruszył, póki starczyło jada. Chwała bądź Bogu, który w niewielkim brzuchu, w tak małej przestrzeni, utaił tak wielką zdolność wchłaniania jada i napitku. Nade wszystko piękny był pojedynek pomiędzy pustelnikiem, zwanym Krótkouchem, z St. Martin de Vézelay, który przybył wraz z wezelenczykami (ten wielki mąż dokonał pierwszy spostrzeżenia, że osioł nie może ryczeć, nie podniósłszy w górę ogona) — a naszym czcigodnym don Henneguinem (ani słowa więcej o osle!), który twierdził, że musiał być w poprzednich swych wcieleniach szczupakiem lub karpem, gdyż tak się opił wodą, że teraz pić może tylko wino.

Ostatecznie, gdyśmy wstali od jedzenia, okazało się, że mamy dla wezelenczyków, a oni

Uczta

Jedzenie

Jedzenie

⁷⁰rejterować — uciekać, wycofywać się. [przypis edytorski]

⁷¹Sembert — wzgórze w Burgundii, ok. 3,5 km na płn.-wsch. od Clamecy. [przypis edytorski]

⁷²Saint-Pierre-du-Mont — wioska w Burgundii, ok. 10 km na pld. od Clamecy. [przypis edytorski]

⁷³przerastała (daw.) — o mięsie: przerośnięty tłuszczem, zawierający wrośnięte kawałki tłuszczu. [przypis edytorski]

wzajem dla nas, dużo więcej szacunku i miłości, niż to się wydawało przy zupie. I tak przy jedzeniu człowiek dowiadyuje się o wartości drugiego człowieka. Kto kocha to, co dobre, tego ja kocham, gdyż jest on dobrym Burgundem.

Właśnie trawiliśmy w najlepszej zgodzie pochłonięte dary niebios, gdy zjawiała się odsiecz w postaci oddziału księcia de Nevers. Śmiechu było co niemiara i obie strony poprosiły ich zgodnie i uprzejmie, by zawrócili, skąd przyszli. Nie śmieli napierać i odeszli z nosami na kwintę, ulegli jak owieczki. A my rzuciliśmy się sobie w objęcia, wołając:

— Cóż za głupstwo bić się między sobą, gdy to wychodzi na korzyść naszych obrońców! Zaprawdę, gdybyśmy nie mieli wrogów, oni stworzyliby ich niewątpliwie, w tym celu, by nas móc brać w obronę. Dziękujemy bardzo! Niechże Bóg wybawi nas od naszych zbawców! Z nieprzyjaciółmi damy sobie radę sami! Biedne owieczki! Gdybyż miały jeno bronić się od wilka, jakoś by to poszło. Niestety, muszą strzec się własnego pasterza!

III PROBOSZCZ Z BRÈVES

1 kwietnia

Gdy tylko drogi opustoszały po nieproszonych gościach, postanowiłem udać się, nie zwlekając, do mego drogiego proboszcza Chamaillé. Nie bardzo się o niego niepokoiłem. Wiedziałem, że pocziwiec ten potrafi się obronić. Ale zawsze jakoś człowiek czuje się spokojniejszy, gdy na własne oczy ujrzy przyjaciela. Zresztą chciałem sobie rozprostować nogi.

Przyjaźń

Ruszyłem tedy, nic nikomu nie mówiąc, i pogwizdując, wędrowałem wzdłuż brzegu rzeki wijącej się u stoku lesistego pagórka. Na młodych bladziutkich listeczkach błyszczały drobne kropelki deszczu, onej⁷⁴ błogosławionej rosy wiosennej, która pada z nieba, zatrzymuje się na chwilę, a potem poczyną sączyć się znowu. Zakochana wiewiórka krzyczała w gęstwie, po łąkach kiwały się niezdarne gęsi, kosy darły się na całe gardło, a mysikrólik trzepał swe nieustanne: titipit!

Natura

W drodze przyszedł mi pomysł odwiedzenia drugiego przyjaciela, mieszkającego w Dornecy⁷⁵, notariusza Paillard. Podobnie jak Gracje⁷⁶, tworzyliśmy nierozłączną trójkę. Znalazłem go, jak zwykle, przy biurku. Korzystając z każdej wolnej od zajęcia chwili, zapisywał pilnie stan pogody, swoje sny oraz spostrzeżenia polityczne. Na stole obok kodeksów widniały otwarte *Proroctwa Nostradamusa*⁷⁷, zwane także *Centuriami*. Bywa tak, że gdy człek dusi się ciągle w czterech ścianach mieszkania, natenczas umysł mści się i wybiega na szerokie doliny marzeń i w wąwozy wspomnienia — i nie mogąc sam pokierować ową kulistą machiną, czyta w księdze przyszłości losy świata.

Wszystko stoi napisane naprzód — tak mówią. Chętnie w to wierzę, ale sam nie mogłem nigdy wyczytać w *Centuriach* nic naprzód, aż dopiero wówczas, gdy się stało.

Pocziwy Paillard, ujrawszy mnie, rozpoznał oblicze i zaraz cały dom od góry do dołu zatętnił naszym wesołym śmiechem. Z przyjemnością wpatrywałem się w tego młodego, krągłego człowieka pomarszczonej twarzy, dużych szczękach, ubarwionym świetnie nosie, oczkach ukrytych w fałdach skóry, ale żywych i chytrych. Paillard miał minę kąśliwą, narzekał ciągle na czasy i ludzi, ale w gruncie rzeczy przepadał za żarcikami i facecjami jeszcze bardziej ode mnie. Miał zwyczaj rzucać uciężne kalambury z miną grobową i cieszył się z nich, a gdy zasiadł u stołu przy flasce, wielbiąc świętych Komusa i Momusa⁷⁸, i zaintonował ulubioną piosenkę, miło było nań spojrzeć.

Praca

Długo ścisnął me ręce w swych wielkich, wyziębłych od wiosennego chłodu dłoniach. Cóż to były za ręce! Zwinne, zręczne, potrafiły wszystko: wodzić piórem, gestykulować, grać na rozlicznych instrumentach, piłować, szyc, oprawiać książki, rzeźbić, kleić. Zrobił

⁷⁴ona, onej (daw.) — owa, owej; ta, tej. [przypis edytorski]

⁷⁵Dornecy — wioska w Burgundii, ok. 7 km na zach. od Clamecy. [przypis edytorski]

⁷⁶Gracje (mit. rzym.) — trzy boginie wdzięku, piękna i radości. [przypis edytorski]

⁷⁷Nostradamus właśc. Michel de Nôtre-dame (1503–1566) — francuski lekarz i astrolog, autor rymowanych przepowiedni *Les vrayes centuries et propheties* (1555). [przypis edytorski]

⁷⁸święty Komus i Momus — żartobliwe; komos: w starożytnej Grecji wesoły pochod ze śpiewem, element świąt na cześć boga wina Dionizosa; od tego słowa pochodzi termin komedia; Momos (łac. Momus): grecki i rzymski bóg krytyki, satyry i szyderstwa, uosobienie żartów i kpin. [przypis edytorski]

sam wszystko, co miał w domu. Nie było to wprawdzie piękne, ale — piękne czy brzydkie — pochodziło od niego, było jego wizerunkiem.

By nie stracić wprawy, uważał się na to czy tamto, ja zaś na przekór chwaliłem wszystko. On był pan Tymgorzej, a ja pan Tymlepiej. Takeśmy się zawsze zabawiali. Nade wszystko skarżył się na swych klientów i tutaj miał zupełną rację. Nie bardzo się śpieszyli z uregulowaniem rachunków, tak że miał należności sprzed trzydziestu pięciu lat. Ale nie czynił kroków sądowych, by je odzyskać. W ogóle płacono mu tylko przypadkiem, gdy komuś przyszło na myśl, i to zawsze w naturze. Otrzymywał czasem koszyk jaj lub parę kurcząt. Taki był już zwyczaj i obrażano się, gdy się czasem upomniał. Wyrzekał, ale zostawiał sprawę naturalnemu biegowi rzeczy, a myślę, że będąc na miejscu owych klientów, postępowałby tak samo.

Na szczęście, to, co posiadał, wystarczało mu w zupełności. Miał ładny mająteczek przynoszący dochody, a potrzeb niewiele. Stary kawaler, nie biegał za spódniczkami, co się zaś tyczy jadła, to, Bogu dzięki, wszystko dają nasze pola, winnice, sady, lasy i rzeki w ilości aż nadto dostatecznej. Najwięcej wydawał na książki. Pokazywał je tylko z daleka (szelma, nigdy nie pożyczył nikomu). Miał też drugą manię. Sprowadził sobie z Holandii jakąś nowo wynalezioną lunetę i obserwował księżyc. Sporządził na szczycie dachu pomiędzy kominami dziwną ruchomą platformę i stamtąd starał się wyczytać w gwiazdach zasady, na których opiera się los rodzaju ludzkiego.

W gruncie rzeczy nie miał pojęcia o astronomii czy astrologii, ale lubił to zajęcie. Rozumiem go doskonale. Miło spoglądać z okna na spacerujące po niebie, niby panienki po ulicy, ciała niebieskie. Można z nimi flirtować, intrygować je, nawiązywać stosunki, a choćby to wszystko było głupstwem, bawi jednak człowieka.

Rozprawialiśmy, naturalnie, długo o cudzie, o ognistym mieczu, który się w zeszły czwartek pojawił na niebie, a każdy tłumaczył ten znak po swojemu i upierał się przy swym zdaniu. W końcu jednak zorientowaliśmy się, że żaden z nas nie widział komety, gdyż właśnie tego wieczora zdrzemnął się astronom przy swym teleskopie. Z chwilą gdy się człek dowie, że nie sam jest głupcem, doznaje ulgi i przyznaje rację drugiemu głupcowi. Przeto dyskusja zakończyła się wesoło.

Wyszliśmy razem, postanowiwszy nic o tym nie mówić proboszczowi. Wędrując przez pole, patrzyliśmy na świeże pędy zieleni, czerwone witki krzewów, ptaki krzątające się koło budowy gniazd i zawieszono na jasnym niebie jastrzębia.

Wspominaliśmy też ze śmiechem dobry figiel, któryśmy niedawno splatali proboszczowi Chamaille. Długie miesiące wysilaliśmy się, by szpaka w klatce wyuczyć hugenockich hymnów. Gdy już umiał, co trzeba, puściliśmy go w ogrodzie proboszcza na wolność. Czuł się tam bardzo dobrze i śpiewał po całych dniach, a w dodatku stał się nauczycielem innych szpaków w całej miejscowości. Chamaille, słysząc ten chorał, nie mógł odmawiać brewiarza, żegnał się, kłął, miotał egzorcyzmy, wściekał się, aż nareszcie zakradł się cichaczem i zza okiennicy palnął w łeb złemu duchowi, po czym spożył go w kruchym cieście, ze słoninką. Taki to był spryciarz z naszego proboszcza.

*

Rozmawiając bez przerwy, przybyliśmy na miejsce. Całe Breves⁷⁹ było jakby wymarłe. Drzwi domów stały otworem, słońce wpadało snopami do środka. Nigdzie ludzkiej twarzy, tylko w jednym miejscu nad rowem widać było pośladki jakiegoś smarkacza od-
dającego się z zapalem znanym funkcjom fizjologicznym.

Ale w miarę jakieśmy się wraz z Paillardem posuwali do środka wioski, ku placowi kościelnemu, idąc drogą zasłaną gnojem i słomą, wpadał nam w uszy coraz to wyraźniejszy szum, jakby brzęczenie rozgniewanych pszczoł.

Na placu pełno było ludzi, a wszyscy krzyczeli, wymachiwali rękami, piszczeli, gwizdali, słowem — zachowywali się jak szaleńcy.

Pośrodku tłumu, stojąc w furtce ogrodu plebanii, proboszcz Chamaille, purpurowy ze złości, potrząsał obiema rękami, pokazując pięści swym drogim parafianom. Chcieliśmy się dowiedzieć, o co idzie, ale nie mogliśmy pochwycić nic prócz gwaru zmieszanych

Niebo

Głupiec

Natura

Żart, Ptak, Książd, Słowo

Ciało

Książd, Tłum

⁷⁹ Breves — wioska w Burgundii, ok. 10 km na pld. wsch. od Clamecy. [przypis edytorski]

głosów, spośród którego wyrwały się słowa: „Poczwarki! Chrabąszcze! Myszy polne!... *Cum spiritu tuo!*”⁸⁰.

Chamaille krzyczał:

— Nie, nie, nie pójdę!

A tłum odpowiadał:

— U diabła! Jesteś ksiądz proboszczem czy nie? Gadaj raz: tak czy nie? Jeśli jesteś, to musisz nam służyć.

— Bogu służę, nie wam, obwiesie!

Wrzasku było co niemiara. Wreszcie proboszcz zatrasnął furtkę przed nosem swych pupilów i przeszedł do plebanii. Tam przez zakratowane okno przedsionka wystawił jeszcze ręce. Prawa — z przyzwyczajenia — z namaszczeniem kreśliła znaki błogosławieństwa, lewa zaś miotała na całą wieś i cały świat pioruny zagłady. Potem mignął jeszcze w oknie domu jego brzuch i kwadratowa twarz. Nie mogąc mówić skutkiem wrzasku, pokazał swym owieczkom figę, potem kiwał rozcapierzonymi palcami przyłożonymi do nosa na znak lekceważenia. Na koniec zatrasnął okiennice wewnętrzne i znikł sprzed oczu zebranych.

Ludzie widocznie dość mieli krzyków, bo niebawem plac się opróżnił, a my poza plecami gapiów, łączących tu i tam, prześliznęliśmy się i zapukaliśmy do drzwi plebanii.

Długo musieliśmy kołatać. Uparciuch nie myślał otwierać.

— Księżę proboszczu!

Umyślnie zmienialiśmy głos, by mieć większą uciechę.

— Księżę Chamaille, czy jegomość jest w domu?

— Nie ma mnie, do kroćset diabłów! — odkrzyknął wreszcie.

A gdyśmy nastawali, zawołał:

— Idźcie sobie do kroćset! Już was tu nie ma, łobuzy! Inaczej prześwięcę was, jak należy!

O mały włos, a byłby nam wylał dzban wody prosto na głowy.

— Chamaille! — zawołałem. — Lej przynajmniej wino!

Na te słowa burza przycichła jakby cudem. Przez uchylone okno wyjrzała czerwona, uradowana już twarz zacnego Chamaille’a.

— Do kroćset! To ty, Breugnon! To ty, Paillard! A tom was ładnie przyjął! Przekłęci figlarze, czemużście nie powiedzieli, że to wy?

Pędem zbiegł ku drzwiom.

— Chodźcie! Chodźcie! Niech was Bóg błogosławi! Dajcież pyska! Nie uwierzycie, jak mi miło widzieć ludzkie twarze i móc zapomnieć o tych małych mordach. Wdzieliście tę hecę? Ładne przedstawienie, prawda? Niech się powściekają, nie ruszę się z miejsca! Chodźcie na górę! Musimy popić. Pewnieście zmęczeni. Chcieli, bym wyszedł z Przenajświętszym Sakramentem, a tu deszcz wisi w powietrzu, zmoklibyśmy do nitki, ja i Pan Jezus. Czyż mamy im służyć obaj, co? Czyż jestem lokajem? Jak te kanalie traktują osobę duchowną? Jestem pasterzem ich dusz, a nie stróżem pól.

— Cóż ty gadasz? — pytaliśmy na przemian. — Czy cię diabeł opętał?

— Chodźmy na górę, tam pomówimy obszerniej! — nalegał proboszcz. — Ale przede wszystkim musimy się napić. Już mi sił nie staje⁸¹, duszę się! Jakże wam smakuje to wino? Prawda, bywa gorsze? To coś niesłychanego! Ci idioci chcieliby mnie zmusić, bym codziennie, od samych Trzech Króli⁸² do Wszystkich Świętych, włóczył się po polach i urządzał modły błagalne albo egzorcyzmy... Ha! I to z powodu tych głupich chrabąszczy!

— Chrabąszczy? — zawołaliśmy zdumieni. — Niezawodnie musiał ci jeden wleźć do mózgu! Tyś zwariował, Chamaille.

— Nie zwariowałem! — ryknął oburzony. — Ha, to coś niesłychanego! Ja, który jestem ofiarą ich szaleństw, mam być wariatem?

— Tedy wytłumacz nam, jak przystało człowiekowi rozsądnemu.

⁸⁰*Cum spiritu tuo* (łac.) — z duchem twoim. [przypis edytorski]

⁸¹*nie staje* (daw.) — nie wystarcza; brakuje. [przypis edytorski]

⁸²*dzień Trzech Króli* — potoczna nazwa katolickiego święta obchodzonego 6 stycznia, w związku z opowieścią z *Ewangelii wg Mateusza*, wg której magowie, czyli uczeni kapłani ze Wschodu (w późniejszej tradycji: królowie) przybyli do Betlejem, aby złożyć hołd i przekazać dary nowo narodzonemu Jezusowi; oficjalnie: święto Objawienia Pańskiego. [przypis edytorski]

— Nazwaliście mnie wariatem! — zawołał, ocierając zroszone potem czoło. — Więc jakże miałem zachować spokój, gdy oni znieważają przez cały dzień mnie i Pana Jezusa, Pana Jezusa i mnie, nalegają, byśmy się przychyłili do ich wariackich żądań. Słuchajcie! (Szlag mnie trafi, szlag mnie trafi!) Ci poganie, niedowiarki, którzy nie myją swych dusz ani nóg i nie mają wyobrażenia o życiu wiekuistym, żądają od swego proboszcza, by sprowadzał deszcz i pogodę stosownie do ich woli. Muszę wydawać polecenia słońcu i księżycowi: „Troszkę ciepła, troszkę wody, dosyć już, ojoj, za dużo! Teraz promyk słońca, ale łagodny, słodki, poprzez mgłę, teraz trochę wiaterek; nie chcemy słyszeć o mrozie! Jeszcze trochę polej, Panie Jezusie... Tu, tu, na moją winniczkę! Dosyć, dosyć tego siania! A teraz znowu ciepła...”. To niesłychane! Czyż Pan Bóg jest — daruj mi, Chryste, porównanie — czy Pan Bóg jest czymś w rodzaju osła rozwożącego wodę po polu? Czyż nie ma nic innego do roboty, jak znosić to wieczne batożenie za pomocą modłów i żebrań? A w dodatku (i to jest najlepsze) nie wszyscy godzą się na jedno! Ten chce deszczu, a tamten słońca! Każdy rzuca się na innego świętego. Jest tam w niebie trzydziestu siedmiu specjalistów od spraw atmosferycznych. Na czele kroczy wielki sikacz święty Medard⁸³. Przeciwdziała mu święty Rajmund rozpraszacz chmur. Śpieszą mu z pomocą święty Błażej tłumiwiatr, święty Krzysztof mrozopęd, Walerian burzołyk, Aurelian grzmotobójca i święta Klara⁸⁴ autorka pogody. W samym niebie nie ma zgody. Kłóć się dostojne osoby i wymyślają sobie, a święte: Zuzanna, Helena i Scholastyka, wydierają sobie wzajemnie włosy. Sam Pan Bóg nie wie, do którego świętego się zwracać, a cóż dopiero ja, mizerny proboszcz. Zresztą to nie moja sprawa. Mam tylko przedkładać prośby, wykonanie zawisło od samego patrona. Dlatego też nic bym nie miał przeciw temu (choć bałwochwalstwo tych kretynów napawa mnie wstrętem... Panie Jezu, szkoda, żeś za nich cierpiał mękę krzyża!), tylko po co oni mieszają moją osobę do owych sporów niebieskich? Chcą używać mnie i krzyża jako talizmanu przeciw rozmaitemu robactwu, które niszczy ich pola. Jednego dnia mam egzorcyzmować szczury wyjadające ziarno ze spichrza. Procesja, wyklinania, modły do świętego Nikazego⁸⁵. Dobrze, ale że to był grudzień, mróz i śnieg po pas, więc nabawiłem się kataru oskrzeli. Potem to samo z poczwarkami. Modły do świętej Gertrudy⁸⁶ i procesja. Był to marzec: roztopy, chlapa; oczywiście przeziębilem się i kaszlę do teraz. A dziś ta sama historia z chrabąszczami! Chcieli znowu procesji. Musiałbym łązić po wszystkich winnicach, śpiewając werset: „*Ibi ceciderunt... gwałciciele sprawiedliwości... atque expulsi sunt* i nie mogli *stare*”⁸⁷. Pewnie zostałbym oporzędzony jak się patrzy!... *Ibi cecidit*⁸⁸ proboszcz Baptysta Chamaille o przydomku *Dulcis*⁸⁹ (wszakże słońce praży, przelatują czarne, gęste chmury, burza wisi w powietrzu... wróciłbym z udarem mózgu). Nie, nie, dziękuję, nie śpieszy mi się na drugi świat, każdy żart ma swój koniec. Czyż ja mam odpoczwarczać ich pola lub odchrabąszczać ich winnice? Niech się sami wezmą do roboty, a Pan Jezus im pomoże. Bardzo łatwo założyć ręce i rozkazać proboszczowi: „Proboszczu, zrób to czy tamto!”. Nie ma głupich. Będę robił to, co się spodoba Panu Jezusowi i mnie: popiję. A wy pijcie ze mną. Niechaj zdobywają plebanie szturmem! Nie dbam o to i przysięgam na wszystkie świętości, że nie wstanę z tego fotela, choćby podpalili dom! Pijmy!

Napił się, wyczerpany przygodą i elokwencją. My również podnieśliśmy szklanki i parzyliśmy na złoty płyn pod światło, jakby chcąc odcyfrować tajemnicę własnego losu.

Wino

⁸³Medard z Noyon (ok. 457–545) — biskup Noyon i Tournai we Francji; święty Kościoła katolickiego, w średniowieczu czczony w całej Europie jako związany z pogodą, wzywany dla wywołania deszczu i przeciw złej pogodzie, patron osób pracujących przy uprawach i zbiorach. [przypis edytorski]

⁸⁴Klara z Asyżu, właśc. *Chiara Offreduccio* (1194–1253) — włoska zakonnica, uczennica Franciszka z Asyżu, współzałożycielka klarysek; święta katolicka, patronka m.in. praczek i hafciarek, sprowadzająca dobrą pogodę, bezchmurne, jasne niebo (łac. *clara*: jasna, przejrzysta, por. klarowny). [przypis edytorski]

⁸⁵Nikazy z Reims, fr. *Nicaise*, łac. *Nicasius* (zm. 407 lub 451) — biskup Reims we Francji; święty katolicki, którego święto obchodzone jest 14 grudnia; w dawnych wierzeniach francuskich jego imię występuje w zaklęciach przeciw szczirom, skutecznych szczególnie w dniu jego święta. [przypis edytorski]

⁸⁶Gertruda z Nivelles (ok. 626–659) — współzałożycielka i przeorysza opactwa w Nivelles (w ob. Belgii); święta chrześcijańska, której święto obchodzone jest 17 marca, patronka podróżnych i ogrodników, przywoływana dla ratowania zbiorów podczas plag szcziurów i myszy. [przypis edytorski]

⁸⁷*Ibi ceciderunt...* — Tam padli gwałciciele sprawiedliwości, zostali powaleni i nie mogli powstać (biblijny Psalm 36, 13 wg łacińskiej Wulgaty, z fragmentami przełożonymi). [przypis edytorski]

⁸⁸*Ibi cecidit* (łac.) — tam padł. [przypis edytorski]

⁸⁹*dulcis* (łac.) — słodki. [przypis edytorski]

Wydawał się tak różowy. Milczeliśmy przez kilka minut. Słysząc było tylko mlaskanie Paillarda i bulgot wina w gardle proboszcza pijącego wielkimi łykami. Wychylił całą szklankę od razu. Paillard ciągnął z wolna. Proboszcz, wławszy porcję w otchłań brzucha, pomrukiwał z cicha i wznosił oczy w niebo. Paillard przyglądał się swej szklance z góry, z dołu, z boku, pod słońce, w cieniu, cmokał, wachał, pił nosem, okiem i podniebieniem.

Ja rozkoszowałem się jednocześnie napitkiem i pijącymi i zadowolenie me zdawało się. Widzieć i pić to uczta luksusowa, uczta królewska. Ale nie zaniedbywałem szklanki. Wszyscyśmy szli zgodnym tempem, nie było pośród nas opieszalców. I wiecie, państwo, któż by pomyślał? Gdyśmy stanęli u mety i zrobili rachunek, okazało się, że właśnie powolny Paillard wziął nas o kilka długości.

Gdy rosa piwnicy zwilżyła z lekka nasze gardła i skrzepiła siły animalne, dusze nasze popadły w błogostan, a twarze przybrały wyraz szczęścia.

Oparci o uszak⁹⁰ otwartego okna, spoglądaliśmy rozrzuwieni na pola owiane podmuchem wiosny, na czuby topoli ozłoczone słońcem i rozbłyskające jasnym listowiem i na roztocz⁹¹ doliny Yonne'y — pomykała żwawo przez pola jak rozbawiony psiak; dochodził stamtąd łoskot kijanek kobiet piorących bieliznę, a Chamaille, rozpogodzony zupełnie, mówił:

— O, jakże słodko żyć w tym kraju! Składam dzięki Bogu, iż pozwolił nam trzem tu się urodzić. Czyż jest na świecie coś rozkoszniejszego, weselszego, ponętniejszego, bardziej wzruszającego, apetyczniejszego, pulchniejszego, smakowitszego? Patrząc, czuje się lży w oczach! Rad byś to zjeść, połknąć!

Przytakiwaliśmy jego słowom, kiwając głowami. Nagle zaczął znów głosem twardszym:

— Ale po jakiegoż diabła ten sam Pan Bóg wpadł na nieszczęsny pomysł zapaskudzenia tego rajy chłopami? Niewątpliwie miał rację, niewątpliwie wiedział, co czyni. Ale ja bym wołał myśleć, że się omylił, że palnął głupstwo, bo wówczas można by mych parafian przepędzić stąd na cztery wiatry, gdzieś do kraju Inkasów czy Turcji, w ogóle na koniec świata, byle tu po nich ślad nie został.

Odparliśmy:

— Chamaille! Ludzie wszędzie są do siebie podobni na całym świecie. Nie warto zamieniać jednych na drugich.

— Tak, tak... widzę — odrzekł proboszcz — że nie na to ich Bóg stworzył, by przy mojej pomocy osiągnęli zbawienie, ale na to, abym przy ich pomocy odbył pokutę za grzechy na tej ziemi. Przyznajcie, drodzy przyjaciele, że nie ma podlejszego zawodu niż urząd proboszcza na wsi, który w pocie czoła stara się, by w te lby baranie wpakować coś niecoś z prawd świętych. Daremnie ich poję słodkością ewangeliczną, daremnie są katechizm. Mleko, ledwo się znalazło w ustach, wychodzi zaraz nosem, te mordy ordynarne domagają się podlejszej strawy. Mielą czas jakiś w gębie zdrowaśki, potem litanie, a wreszcie, radzi, że mogą pobeczeć, śpiewają nieszpory i nowennę. I tyle! Ani jedno święte słowo nie włoży im do czerepu. Są w dalszym ciągu pogańskim pomiotem, i tyle. Ani w sercu, ani w brzuchu nie pozostało nic z całego nabożeństwa. Od wielu już wieków z lasów, pól i rzek wypędzamy duchy i boginki; daremnie tchem własnych piersi gasimy te szatańskie ogniska gusiel, aby wśród ciemności świata tym jaśniej zabłysła i sama jedna się ukazała światłość prawdziwego Boga. Nie udało się dotąd wygubić tych plugawych przesądów, duchów pogańskich. W każdej suchej wierzbie, w każdym czarnym kamieniu ciągle siedzi nasienie szatana. Ileżemy się namozolili, natłukli, nagramolili, napalili, nakarczowali! Trzeba by przekopać chyba każdą pięćdziesiątą ziemi galickiej, przewalić każdy kamień, strato- wać całą kochaną ojczyznę naszą, aby wypędzić diabła, który się jej usadowił w trzewiach. I kto wie? Ta przekłeta natura wymyka nam się ciągle z rąk. Obcinaśz jej łapy, wyrastają skrzydła. Na miejsce jednego zakatrupionego bożka jawi się dziesięciu innych. Każdy bóg jest jednocześnie demonem dla tej hołoty. Wierzą w wilkołaki, w białe konie bez głowy, w czarnego koguta, w węże-ludzi, w krasnoludki i koszałki, czarodziejskiego gęsiora...

Wiosna

Książd, Kondycja ludzka,
Wiara, Religia

⁹⁰uszak (archit.) — element dekoracyjny, występ z linii obramienia w górnych narożach okien i drzwi; poszerzenie obramienia okiennego. [przypis edytorski]

⁹¹roztocz — szeroko rozciągający się obszar, zwłaszcza morski. [przypis edytorski]

Powiedzcież mi, co ma, u licha, do roboty pośród tych wszystkich potworów, które się wymknęły z arki Noego⁹², nadziemski, słodki Mistrz, syn Marii i pobożnego cieśli?

Paillard odparł:

— Przyjacielu! Widzisz źdźbło w oku brata, a belki we własnym nie baczysz! Nie ulega wątpliwości, że parafianie twoi są głupcami. Ale, proboszczu drogi, nie masz prawa ich krytykować, gdyż czynisz zupełnie to samo. Twoi święci wariowali, co ich chochliki i boginki. Nie dosyć ci było Boga w Trójcy jednego w trzech osobach, nie dosyć Matki Bożej, napakowałeś do swego panteonu całą masę mniejszych bożków w spodniach i spódnicach, zastępując nimi bożki powyrzucane z dawnych pogańskich kapliczek. I w dodatku, przysięgam na Boga, te nowe bożki nie sięgają do pasa dawnym. Nie wiadomo, skąd się wzięły. Powyłaziły z ziemi, niby ślimaki, w dodatku wyglądają brzydko, czasem wprost okropnie. Brudne są, pokraczne, pokryte ranami i robactwem. Jeden obnosi krwawiący kikut, drugi ma owrzodzoną nogę, trzeci ma siekierkę wbity ostrzem w czaszkę, czwarty trzyma w rękach własną głowę, inny znów powiewa własną skórą ściągniętą z grzbietu, niby brudną koszulę, którą chce dać do wyprania. By niedużo gadać, coś powiesz, proboszczu, o twym własnym świętym królującym w twym własnym kościele, o Szymonie Słupniku⁹³, który przez lat czterdzieści stał niby czapla na jednej nodze na szczycie kolumny?

Chamaille zerwał się na równe nogi i wrzasnął:

— Dość tego! Mniejsza o innych świętych, nie mogę brać odpowiedzialności za cały kalendarz, ale, poganinie, nie tykaj mi Szymona! To mój święty i jestem mu oddany bez granic. Przyjacielu, bądź uprzejmy!

— Więc dajmy mu pokój, niechaj sobie sterczy dalej na jednej nodze. Jestem twym gościem, to prawda, ale co powiesz na przykład o księdzu Corbigny⁹⁴, który twierdzi, że posiada flaszkę mleka Najświętszej Marii Panny, albo o księdzu Sermizelles⁹⁵, który cierpiąc raz u pewnego na zatwardzenie, wziął lewatywę ze sproszkowanych relikwii i wody święconej!

— Co powiem? — zawołał proboszcz. — Oto, że ty sam, który pokpiwasz sobie, uczyniłbyś niewątpliwie to samo, gdyby ci choroba do żywego dogryzła. Co do księdza Corbigny, muszę zresztą zauważyć, że jest to zakonnik, a te bestie konkurują z nami, świeckimi księżmi, tak zaciekle, tak bardzo radzi by nam odebrać wszelką klientelę, iż nie wahają się nieraz wprost handlować mlekiem archaniołów, śmietanką aniołów lub masłem serafinów. Nie mów przy mnie o tych ludziach. Wiesz przecież, że proboszcz a mnich to jak pies i kot.

— Więc, przyjacielu drogi, nie wierzysz w relikwie?

— Nie wierzę w ich relikwie, a wierzę w swoje. Mam kość biodrową świętej Dietryny⁹⁶, która czyści urnę i naskórek ludzi pokrytych liszajem, mam kawałek obojczyka świętego Etupiusza⁹⁷, który wypędza demony z brzucha owiec... Co? Śmiejesz się, niedowiarku? Więc nie wierzysz w nic? Zaślepiiony człowieku! Posiadam dowody, dokumenty (ślepy by uwierzył! zaraz je przyniosę!), pergaminy opatrzone pieczęciami! Wszystko to są rzeczy autentyczne... Czekaj, pokażę ci zaraz!

— Nie wstawaj, nie wstawaj, przyjacielu! Nie potrzebuję twych dokumentów. Ty sam w nie nie wierzysz... Chamaille, poznaję to po twym nosie! Jakakolwiek by to była kość, zawsze jest kością, a człowiek, który ją ubóstwia, jest bałwochwalcą. Wszystko ma swoje

Religia, Wiara

Ksiądz, Zabobony, Religia

Wiara, Wiedza, Nauka

⁹²Noe (bibl.) — postać biblijna; przed zesłaniem na ziemię niszczycielskim potopem z rozkazu Boga zbudował według szczegółowych wskazań arkę (rodzaj statku), dzięki której uratował swoją rodzinę oraz po parze każdego rodzaju zwierząt. [przypis edytorski]

⁹³Szymon Słupnik Starszy (390–459) — syryjski asceta wczesnochrześcijański, zbudował wysoki kamienny słup z platformą na szczycie, na której spędził resztę życia; święty katolicki i prawosławny; jego styl życia naśladowali inni asceci. [przypis edytorski]

⁹⁴Corbigny — miejscowość w Burgundii, ok. 30 km na pld. od Clamecy. [przypis edytorski]

⁹⁵Sermizelles — wioska w Burgundii, ok. 25 km na wsch. od Clamecy. [przypis edytorski]

⁹⁶Dietryna (fr. *Diétrine*) — lokalna ludowa święta francuska z okolic Saint-Germain-des-Champs w Burgundii, niedaleko wioski Vaupitre; wg legendy zamknięta w bloku skalnym (*roche St Dietrine*) z wgłębieniem na szczycie, w którym zbiera się woda mająca leczyć grzybicę, świerz i inne choroby skórne; wierni odwiedzali głaz oraz pobliski strumyk o tych samych właściwościach jeszcze w XIX i XX w. [przypis edytorski]

⁹⁷Eptadiusz z Autun, fr. *Eptade d'Autun* (ok. 490–525) — mnich z Autun, pustelnik, założyciel opactwa Cervon w Burgundii; lokalny święty katolicki; czczony pod imionami Heptade, Neptade, Aptas, Athas, w parafii Cervon powszechnie nazywany św. Etupiuszem (*saint Etoupe*). [przypis edytorski]

miejsce, a zmarli powinni leżeć spokojnie na cmentarzu. Ja wierzę w życie, wierzę, że jest jasny dzień, że piję, że logicznie rozumiuję, że dwa razy dwa jest cztery, że ziemia to ciało niebieskie wirujące w przestrzeni, wierzę w naszego Guy Coquille'a⁹⁸ i mogę recytować godzinami jego opowieści o obyczajach krajów naszych, dalej, wierzę w książki zawierające dorobek ducha ludzkiego w zakresie wiedzy i doświadczenia, a nade wszystko wierzę w swą własną świadomość. Naturalnie, wierzę również w to, co mówi i do wierzenia podaje Pismo Święte i Kościół, albowiem wierzy w to każdy porządny i rozumny człowiek. Czyś zadowolony, drogi proboszczu?

— Nie, nie jestem zadowolony! — wrzasnął gromko proboszcz, teraz dopiero na serio rozgniewany. — Jesteś kalwinem, heretykiem, hugenotem, recytującym na pamięć Biblię, wyłamującym się spod władzy Kościoła! Zaliczasz się do onego rodu żmij, które twierdzą, że obejdą się bez proboszczów.

Teraz Paillard wpadł w gniew nie na żarty. Zaprotestował gorąco i wyprosił sobie, by go nazywano protestantem. Oświadczył, że jest dobrym Francuzem i katolikiem w każdym calu, ale posiada zarazem wszystkie klepki w porządku i nie czuje się kaleką ani na ciebie, ani na umyśle. Widzi dobrze w samo południe, nie potrzebuje okularów, a ma przy tym odwagę nazwać durnia durniem. Co więcej, pozwoli sobie nazwać Chamaille'a głupcem potrójnym w jednej osobie, a mimo to oddaje cześć Bogu, którego odbłaskiem jest jego własny rozum.

Zapadła cisza. Chamaille nic nie odpowiedział. Pili obaj, pomrukując, oparci o stół, odwróćni od siebie plecami. Nie mogłem wytrzymać i wybuchnąłem głośnym śmiechem. Wówczas dopiero zauważyli, że przez cały czas nie wyrzekłem ani jednego słowa. Obserwowałem ich, słuchałem, chwytalem argumenty, naśladowałem ich miny, gesty, powtarzałem po cichu ich słowa, poruszając ustami jak królik gryzący kapustę. Tak, dopiero teraz sam spostrzegłem, że milczałem dotąd.

Obaj rzucili się ku mnie, pytając, komu przyznają rację. Odparłem:

— Przyznaję wam obu rację i jeszcze kilku innym, którzy by twierdzili coś wprost przeciwnego. Nie ma o czym gadać. Moi drodzy, chcąc się przekonać, co się posiada, trzeba spisać na papierze wszystkie pozycje i dodać do siebie. Niech każdy zgłosi swe poglądy, a razem dadzą może prawdę. Prawda pokazuje wam figę, ile razy chcecie ją pochwycić, drwi sobie z was. Świat, moje dzieci, można wytłumaczyć na różne sposoby, bo każdy sposób oświeśla go tylko z jednej strony. Wierzę we wszystkie wasze bożki pogańskie i chrześcijańskie oraz w dodatku w boga rozumu ludzkiego.

Na te słowa, zapomniawszy o sporze, rzucili się razem na mnie, twierdząc, że jestem cynikiem i ateuszem.

— Ateuszem, ja? Co się wam śni? — odparłem. — Zapraszam do siebie wszystkich waszych bogów, waszego jedyne Boga oraz wszystkie tak zwane prawa natury! Zapraszam ochotnie! Niech przyjdą, przyjmę wszystkich gościnnie, mam dosyć miejsca! Pan Bóg podoba mi się ogromnie, a jego święci tak samo. Kocham ich, oddaję należne honory, uśmiecham się do nich, zapraszam na pogawędkę. Prawdę powiedziawszy, jeden nie wystarcza mi, jestem łakomy, jedynobóstwo wydaje mi się czymś w rodzaju postu. Mam swoich świętych i święte, boginki, duchy powietrza, ziemi, drzew i wody, wierzę w rozum, wierzę również w szaleńców widzących prawdę, a nadto w czarowników i czarownice. Z przyjemnością rozmyślam, jak to ziemia kręci się w przestrzeni, otoczona mgłami, i rad bym ją wziąć w rękę, obejrzeć, przypatrzeć się pięknemu mechanizmowi zegara świata. A obok tego z zachwytem słucham owych świerszczy niebiańskich, owych krągłookich gwiazd, i szukam po księżycu owego człowieka z naręczem chrustu, który tam jest podobno. Wzruszacie ramionami? Wzywacie mnie do porządku? O tak, porządek to wielka rzecz, ale drogo kosztuje. Porządek to nie znaczy czynić to, co się chce, ale to, co czynić potrzeba. To znaczy wydłubać sobie jedno oko, by lepiej widzieć drugim, to wyrąbać las, by przezeń przeprowadzić gościniec. Jakież to wygodne, ale jakie brzydkie jednocześnie. Jestem Galijczyk starej daty, przeto wyznaję zasadę: Mnóstwo władz, mnóstwo praw jako gwiazd na niebie, każdy brat, każdy swat, a każdy dla siebie! Wierz sobie lub nie, a daj mi wierzyć, w co chcę! Czcijmy rozum, przyjaciele, nie tykając bogów. Ko-

Ksiądz, Religia

Kłótnia

Bóg, Wiara

Obowiązek

⁹⁸ *Guy, Coquille* (1523–1603) — francuski prawnik i publicysta; autor traktatów o prawie zwyczajowym Nevers i Francji, przeciwnik Ligi Katolickiej; od 1571 prokurator generalny księstwa Nevers. [przypis edytorski]

cham wszystkich i proszę was, jeśli macie więcej jeszcze, przynieście mi ich w podarku. Nie dam sobie zabrać żadnego, chyba żebym sam stracił doń serce skutkiem nadużycia mej łatwowierności.

Paillard i proboszcz patrzyli na mnie z politowaniem i spytali, w jaki sposób odnajdę drogę przez ten chaos.

— Drogę? Nic łatwiejszego. Każda ścieżka jest dobra, znam wszystkie, przechadzam się wedle upodobania. Nie szukam zresztą gościńców, starczy mi droga polna przez las, z Chamoux⁹⁹ do Vézelay. Z zamkniętymi oczyma pójde ścieżyną kłusownika, a chociaż może ostatni stanę u celu, to przyniosę w torbie myśliwskiej sporo zwierzyny. Wszystko jest na swoim miejscu poustawiane, skatalogowane: Pan Bóg w kościele, święci w kapliczkach, boginki w lasach, rozum we łbie. Wszystko się godzi wyśmienicie. Nie ma tam króla, despoty, ale republikańska forma rządu, zupełnie jak w Szwajcarii, wszystko to są sprzymierzone kantony. Są słabsze, są mocniejsze, ha, trudno. Czasem trzeba użyć słabego przeciw silnemu. Pan Bóg zaprawdę mocniejszy jest od boginek. Ale właśnie dlatego nie powinien ich uciskać. Myślę zresztą, że Pan Bóg nie jest najmocniejszy ze wszystkich, bo mocny zawsze znajdzie takiego, który go zdusi. Tak... Tak! Nikt mnie nie odwiedzie od tego, co myślę, mianowicie, iż ten *największy Pan Bóg* nie ukazał się nam jeszcze. Jest gdzieś bardzo daleko, bardzo wysoko czy też nisko. To tak jak z naszym najmiłościwszym Królem Jegomością. Widzimy jego ludzi, intendentów, poruczników (nawet za dużo), ale on sam siedzi gdzieś w Luwrze¹⁰⁰. Ten nasz Pan Bóg, do którego się modlimy, to coś jak pan Concini¹⁰¹... Nie przerywaj mi, Chamaille! Czekaj! Powiem coś, co cię ułagodzi: otóż to coś to niby nasz dobry książę Nevers! (Niech go Bóg błogosławi!) Kocham go i czczę. Ale wszakże on siedzi cicho, gdy zaczyna gadać ów pan z Luwru! I dobrze robi. Tak sprawa się przedstawia!

— Tak się przedstawia, ale tak nie jest! — odparł Paillard. — Niestety: wesoło myszy tańczą, gdy kota w domu nie czują! Odkąd nie żyje nasz Henryk¹⁰² i zaczęła rządzić dłoń, której przystoi kądziel¹⁰³, kądziolkują tam na dworze i bawią się bez przerwy, a tymczasem zgraje drabów dobrały się do spichrzów i skarbca i trwonią złoto przeznaczone na rzecz państwa, dewastują arsenał będący pod strażą pana Sully'ego¹⁰⁴. Kiedyż przyjdzie mściciel i wypruje im z brzuchów to pożarte złoto?

Teraz rozmowa potoczyła się zgodnie i dotyczyła tematów, których lepiej nie notować tutaj. Ta piosenka nastroiła nas wszystkich na jeden ton. Zaintonowaliśmy też kilka wariantów o książętach w spódnicy, o obłudnikach w sutannie i fioletowych pantoflach, opasłych prałatach, śmierdzących, plugawych mnichach itp. Muszę zaznaczyć, że Chamaille improwizował precyzyjnie na ten ostatni zwłaszcza temat. Tercet rozbrzmiewał wedle wszelkich zasad taktu i harmonii muzycznej, a do wyżyn prawdziwej sztuki wznosił się, gdy po oddaniu, czego należy, bigotom i nabożnisiom zaintonowaliśmy pieśń o fanatykach wszelkiego rodzaju, hugenotach, purytanach, bibliojadach, trutniach, którzy chcą miłość Boga wkuwać ludziom młotem do głowy lub kijem w serce, tak jakby Bóg był poganiaczem osłów i nie znał innych sposobów prócz bata.

Kto chce gorzeć w piekle, niech się oddaje diabłu! Czyż trzeba jeszcze za życia dręczyć go i palić na stosie? Będzie miał u szatana dosyć gorąca! Dajcież nam święty spokój.

⁹⁹ *Chamoux* — wioska w Burgundii, pomiędzy Clamecy a Vézelay, ok. 8 km od Vézelay. [przypis edytorski]

¹⁰⁰ *Luwr* — dawny średniowieczny reprezentacyjny zamek królewski w Paryżu, w XVI w. przebudowany w renesansowy pałac, rozbudowany w kolejnych stuleciach; obecnie mieszczący jedno z największych muzeów sztuki na świecie. [przypis edytorski]

¹⁰¹ *Concino Concini, markiz d'Ancre* (1575–1617) — włoski arystokrata i polityk, faworyt królowej Francji Marii Medycejskiej, odegrał znaczącą rolę polityczną w okresie małoletniości króla Ludwika XIII. [przypis edytorski]

¹⁰² *Henryk IV* (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów; protestant, przez państwa katolickiej Świętej Ligi uznany za uzurpatora, w 1593 oficjalnie przeszedł na katolicyzm; obniżył podatki dla chłopów, zredukował dług publiczny, ogłosił edykt nantejski (1598) gwarantujący wolność wyznania i kończący wojny religijne w kraju; zginął w zamachu, zabity przez fanatycznego katolika. [przypis edytorski]

¹⁰³ *kądziel* — pęk włókien przygotowanych do przedzenia, dawniej symbol płci żeńskiej; *zaczęła rządzić dłoń, której przystoi kądziel*: tj. Maria Medycejska (1573–1642), tokańska księżniczka, królowa Francji jako żona Henryka IV, od 1610 regentka w okresie małoletniości syna, Ludwika XIII. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ *Sully, Maximilien de Béthune de* (1560–1641) — francuski polityk, hugenot, przyjaciel i realizator polityki króla Henryka IV; od 1596 zarządca finansów królestwa, od 1598 minister skarbu i zwierzchnik administracji; zreorganizował finanse, rozwinął gospodarkę, popierał rozwój rolnictwa, przebudował sieć dróg i fortyfikacji. [przypis edytorski]

Bóg

Religia

Religia, Zło, Okrucieństwo,
Pycha

Niech sobie każdy żyje we Francji, jak mu się żywnie podoba! Nie ma chyba tak złych ludzi jak chrześcijanie, chociaż Chrystus poświęcił się za wszystkich. A najgorsze to już dwie rzeczy: pycha i okrucieństwo! Podobne do siebie jak dwie krople wody.

Znużeni rozmową, zaintonowaliśmy na trzy głosy pieśń ku czci Bachusa¹⁰⁵, jedyne-
go z bogów, który nie wywoływał nigdy sporów między mną, Paillardem i proboszczem.
Chamaille oświadczył nawet głośno, że woli tego bożka od wszystkich innych, których
przekłęci mnisi w rodzaju Lutra i Kalwina chwalą z kazalnicy. Jest to bóg godny uznania
i szacunku, bóg z dobrej rodziny, prawdziwy bóg francuski...

— Co mówię, drodzy moi! — zawołał. — Nie tylko jest to bóg francuski, ale wprost
chrześcijański. Czyż bowiem pan nasz, Jezus Chrystus, nie bywa przedstawiany na nie-
których obrazach w winnicy, gdzie tłoczy wino własnymi stopami? Pijmy tedy, drodzy
przyjaciele, ku czci naszego Zbawiciela, Bachusa chrześcijańskiego, pogodnego Jezusa!
Czyż nie z jego to łaski winorośl rodzi nam grona dające słodki sok ożywczy, który
krzepi siły fizyczne i podnosi ducha? Jego to bowiem krew czerwona płynie pod stoka-
mi winnymi, krzepiąc naszą mowę i ducha, łagodząc obyczaje słodkiej Francji, darząc ją
szczodrym a uprzejmym dowcipem, zdrowym rozsądkiem i siłą.

*

Rozmowa doszła do wesołego momentu. Trącaliśmy się szklankami, pijąc na zdrowie
Francji, wesołości, rozsądku i umiaru. Nagle na dole rumor się uczynił straszny, potem
zatętniły ciężkie kroki na schodach, następnie pomruki: „Jezus! Józef! Najświętsza Pa-
nienko...”, na koniec ciężkie westchnienia, a wszystko to zwiastowało inwazję pani „He-
loizy¹⁰⁶ od proboszcza”, jak mianowano gospodynię Chamaille’a. Zwano ją też w skrócie
„proboszczycha”.

Długo dyszała, ocierała sobie czoło fartuchem, wreszcie wykrzyknęła:

— Księżę proboszczu! Ratunku!

— Cóż się stało? Gadać!

— Idą! Idą!!

— Gdzie idą? Na pole w procesji? Niech sobie idą robić porządek z chrabąszczami.
Powiedziałem ci już, nie chcę słyszeć o tym bydle!

— Ale odgrażają się!

— Kpię sobie z tego! Cóż mi mogą zrobić! Czy doniosą biskupowi? Dobrze, nawet
mi to na rękę!

— Ach, księżę proboszczu! — westchnęła. — Gdybyż to tylko o biskupa chodziło!

— Więc cóż takiego? Mów!

— Idą w procesji po polach, czynią kabalistyczne ruchy, egzorcyzmy, jak to mówią,
i śpiewają: „Wylażcie, szczury, wylażcie, myszy, wylażcie, chrabąszcze, idźcie do winnicy
proboszcza, do piwnicy jego i do spichrza jego!”.

Słyszac to, Chamaille zerwał się na równe nogi.

— A to draby! Chrabąszcze i myszy do mojej winnicy! Wylażcie, szczury, wylaż-
cie, myszy, wylażcie, chrabąszcze, idźcie do mojej piwnicy! Chcą mnie zamordować! Nie
wiedzą, co czynią! Święty Szymonie Słupniku, weź w obronę wiernego proboszcza twego!

Próbowaliśmy go uspokoić, śmialiśmy się.

— Śmiećcie się! Śmiećcie! Na moim miejscu nie śmialibyście się, niedowiarki! Oczy-
wiście, bardzo to łatwo śmiać się. Wam nie zagrażają myszy i chrabąszcze tych łajda-
ków! Ach, co za nieszczęście... Pomyśleć tylko: szczury w piwnicy... Myszy i chrabąszcze
w winnicy... Nie, nie, nie... To straszne!

— Od czegoż jesteś proboszczem? — powiedziałem. — Czegoż się boisz? Urządź
egzorcyzm przeciwny, odegzorcyzmuj je od swego domu i ogrodu. Wszak umiesz to sto-
razy lepiej niż oni!

— He! he! — bąknął. — To niełatwa sprawa. Diabeł nie śpi! Byłem tak dobry, tak im
ufałem! Cóż pewnego na świecie? Sam Bóg tylko. Cóż mam zrobić? Wpadłem w pułapkę,

¹⁰⁵ *Bachus* (mit. rzym.) — bóg wina, odpowiednik greckiego Dionizosa (Bachosa). [przypis edytorski]

¹⁰⁶ *Heloiza* (ok. 1100–1164) — francuska zakonnica, uczona, opatka; znana w historii i kulturze popularnej ze
swojego romansu z czołowym średniowiecznym filozofem i teologiem Piotrem Abelardem. [przypis edytorski]

mają mnie w garści! Heloizo, biegnij i powiedz, by zczekali! Przyjdę zaraz, przyjdę, nie mogę inaczej uczynić! Ale czekajcie: przyjdzie kryśka na Matyska, a wówczas pokażę ją wam... Tymczasem jednak... (*Fiat voluntas tua...*¹⁰⁷) I oto muszę być ofiarą trzydziestu siedmiu specjalistów od spraw atmosferycznych. Ha, trudno, trzeba wypić ten puchar goryczy. Wypiję go tedy. Nie pierwszy i nie ostatni!

Wstał z fotela, a myśmy spytali:

— Dokądże to idziesz?

— Na wyprawę krzyżową przeciw chrabąszczom!

IV WŁÓCZĘGA, CZYLI JEDEN DZIEŃ WIOSENNY

Kwiecień

Kwiecień radosny, syn wiosny, chudziutki, drobniutki, ma oczy jak stokrotki. Widzę go, jak rozkwita w gałęzi brzoskwini u mego okna, okrytej różowymi pączkami, całowanej przez słońce. Co za cudny ranek! Co za uciecha, że widzi się ten ranek, że zobaczy się cały, cały dzień, aż do wieczora. Wstaję i przeciągam stare moje ramiona, odczuwając w nich miłe znużenie wytężoną pracą.

Przez dwa ostatnie tygodnie ja i uczniowie moi pracowaliśmy jak należy, chcąc nagrodzić czas stracony przymusowo. Aż trzaski fruwały wokół, a drzewo jęczało pod heblami. Nasz głód pracy jest niestety większy niż apetyt klienta. Nikt prawie nie kupuje, tym mniej nie spieszą ludziska płacić za to, co zamówili. Sakiewki wypróżnione do dna, bezkrwiste są też szkatułki, ale krwi owej dosyć w naszych polach. Gleba urodzajna, więc: *ara, ora et labora*¹⁰⁸, będziesz panem do wieczora! Otóż panami są wszyscy moi krajanie z Clamecy albo nimi, dalibóg, zostaną. Wszakże od samego świtu huczy młyn, skrzypi miech kuźni, dzwęczą po kowadle roztańczone młoty, dzwonią piły tartaku, rzą konie u poju, stukają młotki szewców, dudnią kola wozów po gościńcu, klepią saboty przechodniów, klaskają baty, rechocą głosy rozmawiających, słowem, tętni praca w całym mieście, jakby mówiła:

„*Pater noster*¹⁰⁹... robimy *panem nostrum quotidianum*¹¹⁰, o który cię prosimy... Bo lepiej żyć zabezpieczonym na wszelki wypadek”.

Nad głową moją rozpostarte niebo wiosenne, rozbylsłe i ogrzane słońcem, a wiatr przegania po nim białe, lekkie chmurki. Wydaje się, że to znów młodość powraca na lotnych skrzydłach z oddali czasu, jak jaskółka, by zbudować świeże gniazdko pod starą strzechą mego serca, które na nią czeka. Jakże ją powita radośnie, gdy przybędzie! O, zaprawdę, goręcej niż dawniej...

W tej chwili, usłyszałem zgrzyt chorągiewki na dachu oraz skrzekliwy wrzask mej czarownicy rzucającej komuś jakieś przekleństwa. Może mnie besztala, ale nie słuchałem. Tylko młodość pierzchła przestraszona. Pal licha wszelkie chorągiewki! Słyszę tę wiedźmę, idzie, idzie prosto do mnie, znów będzie mi trąbiła do ucha swoją śpiewkę:

— Znowu próżniaczysz? Znowuś założył ręce i znowu z gębą otwartą jak wrota stodoły gapisz się na chmury i wróble? Na cóż czekasz? Czy może, by pieczony gołąb wpadł ci prosto do gardła? A ja muszę pracować jak wół, męczyć się, niszczyć zdrowie, pocić się krwawym potem dla tego bydlaka! Oto los słabej niewiasty na tym świecie! Ale nie! Pan Bóg nie nakazał, by kobieta jeno pracowała, a mężczyzna używał życia i włóczył się z kąta w kąt. Nie byłoby wówczas sprawiedliwości w niebie! Nie same rozkosze są dla was, darmozjady, musicie i wy cierpieć! Ale na szczęście, ja jestem i przynajmniej ja spełnię jego świętą wolę. Co, śmiejesz się? Dalej, bierz się do roboty, jeśli chcesz jeść dzisiaj obiad! Patrzcież, moi państwo, on mnie nie słucha! Idziesz wreszcie czy nie?

Odpowiadam ze słodkim uśmiechem:

— Ależ tak, tak, moja najmiłsza, masz rację. Byłoby to rzeczą nie do darowania spędzać tak cudny dzień przy pracy w dusznej izbie!

Wiosna

Wiosna

Żona

¹⁰⁷ *Fiat voluntas tua* (łac.) — bądź wola twoja. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ *ara, ora et labora* (łac.) — orz, módl się i pracuj. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *Pater noster* (łac.) — Ojciec nasz. [przypis edytorski]

¹¹⁰ *panem nostrum quotidianum* (łac.) — chleba naszego powszedniego. [przypis edytorski]

Wchodzę do warsztatu i mówię uczniom:

— Chłopcy! Potrzebuję klocka drzewa elastycznego i bez sęków. Pójdę do tego poczciwca Rioux zobaczyć, czy nie ma na składzie kawałka młodej dębiny. Dalejże, Cagnat, Robinet, zbierajcie się, pójdziemy razem!

Wychodzimy wszyscy trzej, a wiedźma ryczy jak opętana. Odpowiadam:

— Pośpiewaj sobie do syta, najdroższa moja!

Ostatnia rada była zgoła zbyt cenna. Stara rozwrzeszczała się strasznie. Ja, słysząc tę muzykę, pogwizdywałem kuplety¹¹¹. Poczciwy Cagnat uspokajał ropuchę:

— Pani majstrowo, nie ma się o co gniewać. Wszakże to nie żadna podróż. Za mały kwadransik będziemy z powrotem!

— A diabli tam wiedzą! — odburknęła. — Czy z tym rozbójnikiem można dojść do ładu?

*

Właśnie biła dziewiąta. Poszliśmy do Bétant¹¹². Droga to niedługa, ale na moście Beuvronu zatrzymaliśmy się na chwilę (wypada spytać znajomych o stan zdrowia), by przywitać się z czcigodnym Fétu, Gadinem i Trinquetem, zwanym pięknym Jasiem, który zaczęli dzień od tego, że siedząc nad drogą, gapili się na płynącą wodę. Rozmawialiśmy o pogodzie i deszczu, potem, jak należy, poszliśmy dalej. Człowiek ma przecież sumienie, idzie drogą najkrótszą, nie gada z nikim (nie spotkaliśmy psa kulawego). Po trochu tylko (któż nie jest wrażliwy na piękno przyrody?) obserwowaliśmy niebo, świeże wiosenne pędy traw i krzaków, rozkwitającą w rowie pod murem jabłoni, potem jaskółkę w locie, wreszcie, przystanawszy na moment, dysputowaliśmy o tym, skąd wiatr wieje.

W połowie drogi przypomniałem sobie, że nie pocałowałem dziś mojej maleńkiej Głodzi. Przeto powiedziałem chłopcom:

— Muszę wstąpić do mojej córki. Idźcie naprzód. Spotkamy się w składzie drzewa.

Gdy przyszedł, Martynka właśnie szorowała podłogę w sklepie. Wody było po kostki. Martynka szorowała jak szalona, nie przestając jednocześnie mleć językiem. Gadała z wszystkimi: z mężem, z chłopcami, z praktykantami, z Głodzią oraz kilkoma kumoszkami z sąsiedztwa. Śmiała się, pracowała i pyskowała, gadała, plotła bez przestanku.

Skończywszy (szorować, nie gadać), wstała i zamachnąwszy się szeroko, lunęła wodą z wiaderka na sam środek ulicy. Zatrzymałem się na moment przed wejściem, by ją podziwiać (serce mi rośnie na jej widok — co za ciało!), i co najmniej połowa wody oblała mi kolana i nogi. Zaczęła się jeszcze bardziej śmiać, ale ja śmiałem się głośnie.

Śliczna kobieta! Czarne włosy wiją się po czole, śmiało zarysowane brwi rysują się nad błyszczącymi oczyma, a jej purpurowe wargi wezbrane zdrowiem, życiem... Szyja odkryta, nagie ramiona, spódnica wysoko i swawolnie podkasana. Powiada do mnie:

— Dzień dobry! Dostałeś ładną porcję na powitanie.

Odpowiadam:

— Nic sobie nie robię z wody, o ile mi jej pić nie każą.

Wchodzę i widzę Głodzię w króciutkiej koszulce, przykucniętą pod ladą sklepową.

— Jak się masz, małe piekarczątko!

— Założę się, że zgadnę, co ojca wyгнаło z domu o tak wczesnej porze.

— Wygrasz, dziecko, ssasłaś wszakże to, co ni nie wyгнаło!

— Matka!

— Naturalnie!

— Że też wszyscy mężczyźni muszą być tchórzami! To niesłychane!

W tej chwili wszedł Florymond i posłyszał komplement. Zaraz przybrał minę obrażonego. Mówię mu:

— To się odnosi do mnie. Nie gniewaj się, chłopcze!

— Do obu... Do obu! — dorzuciła Martynka. — Niech no ojciec nie będzie taki zachłanny.

Praca, Woda, Śmiech

Uroda

¹¹¹kuplet — żartobliwa, satyryczna piosenka z wyrazistym refrenem. [przypis edytorski]

¹¹²Bétant — inna nazwa Bethléem (Betelem), przedmieścia burgundzkiej miejscowości Clamecy; ok. 500 m na wsch. od kościoła św. Marcina, za rz. Yonne. [przypis edytorski]

Ale mąż nie rozpogodził oblicza. Uważa się za mieszczanina i nie dopuszcza, by się zeń naśmiewano. Toteż ile razy widzi nas, to jest mnie i Martynkę razem, nie dowierza, podejrzewa, śledzi nas niepewnym spojrzeniem, czatuje na słowa wychodzące z naszych ust roześmianych. Przypisuje niewinnym najgorsze złośliwości.

Powiadam tedy pojednawczo:

— Żartujesz, Martynko. Wiem, że Florymond jest panem w swoim domu i nie pozwoliłby się wygryźć jak ja. Ale też jego Florymonda jest słodka, posłuszna, dyskretna, podległa i rozumie każde skinienie. Zaczyna kobiecina odziedziczyła zresztą owe zalety po mnie, który, jak wiadomo, jestem i byłem zawsze cichym, skromnym, trwożliwym i uległym człowieczyną.

— Dość tego! Nie kpij z ludzi! — zawołała Martynka, szorując tafle posadzki z zapalem bezprzykładnym.

Pracowała, nie przerywając ani na chwilę. Mimo to prowadziliśmy wesołą pogawędkę, naszpikowaną mocnymi, dosadnymi wyrażeniami burgundzkimi. Martynka wypełniła po brzegi sklep swą bujną, kipiącą życiem osobą i elokwencją, a biedny Florymond sterczał w głębi, obrażony, zimny, zapięty aż pod samą brodę. Nie czuje się nigdy dobrze w naszym towarzystwie, mocne słowa płoszą go, a zdrowe, jędrne dowcipy urażają rzekomo jego godność osobistą. Nie pojmuje, że człowiek może się śmiać bez zamiaru obrazy, z samej tylko wesołości. Jest cherlawy, bledziutki, chudziutki, ponury i ciągle na wszystko narzeka. Nic mu nigdy nie dogadza, zapewne dlatego że poza sobą nic nie widzi. Wokół szyjki chudej jak u kurczęcia owiniętą miał chusteczkę i oczy jego ciągle biegały niespokojnie w prawo i lewo, wreszcie, nie mogąc wytrzymać, powiedział:

— Okropny przeciąg tutaj, jak w zajeździe! Naturalnie, wszystkie okna pootwierane!

Martynka, nie przerywając sobie, odparła:

— Ja się duszę z gorąca!

Florymond próbował przezwyciężyć się, ale po kilku minutach (prawdę mówiąc, wiatr latał niezgorzej po izbach) dał za wygraną i wściekły wybiegł ze sklepu.

Swawolnica, nie wstając z kłeczek, podniosła głowę i powiedziała kpiąco i dobrotliwie zarazem:

— Wlezie z powrotem za piec.

Zadałem jej pytanie, czy ciągle żyje zgodnie ze swym piekarzem. Naturalnie nie przyznała się do rozczarowania. Choćby ją miano rozerwać na sztuki, nie byłaby pisnęła słowa za żadną cenę. Taka to już uparta sztuka!

— I dlaczegoż bym nie miała żyć zgodnie? — odrzekła. — Bardzo go nawet lubię!

— No, no... Smaczny jest, przyznaję, ale takie małe ciasteczko połknie człowiek za jednym razem, cóż potem? Masz, Martynko, buzię sporych rozmiarów, ha?

— Trzeba poprzestać na tej stawie, jaką się ma!

— Masz rację. Ale gdybym był ciasteczkiem, nie miałbym jednak spokoju, o, nie!

— Czemuż to? Nie ma obawy, jestem sumienna w interesie. Tylko niechże i on dotrzymuje umowy. Gdyby mnie bodaj raz jeden okpił... Ho, ho! Tęgo samego dnia miałby trzy pary rogów na głowie. Równe prawa dla wszystkich! Niechże się stara!

— Ale co się zowie!

— A on się czasem uskarża, że ma zbyt ładną żonę!

— Widzisz! Wyszło sztydło z worka! To coś takiego jak w owej przypowieści o kani.

— A jakiej znowu?

— Oto razu pewnego kumoszki wysłały kanię do Pana Boga z prośbą, by bachory zaraz po przyjściu na świat mogły chodzić prosto na dwóch nogach. Pan Bóg (jako że jest zawsze uprzejmy dla kobiet) odparł: „Dobrze! Zgadza się! Ale w zamian żądam, by moje drogie parafianki dopełniły jednego warunku. Odtąd, by panienka, dziewczynka czy dama sypiała pod pierzynką sama!”. Głupie ptaszysko zaniosło odpowiedź na ziemię i powtórzyło dosłownie. Nie wiem, co się stało tejże nocy, ale wiem, że kania została sromotnie poturbowana.

Martynka przysiadła na piętach, przestała szorować i wybuchnęła rozgłośnym śmiechem. Potem dała mi szturchańca i krzyknęła:

— Stary pleciugo! Wygadujesz, ojciec, głupstwa... Dostyć tego! Tylko mi czas zabierasz! Słuchaj, idź już sobie, a zabierz też tę małą srokę bez ogona, bo płacze mi się pod nogami. Weź sobie Głodzień. Oo... Musiała już być w piekarni i grzebała w cieście, ma

Małżeństwo, Żona

Ptak, Bóg, Kobieta, Seks

cały nos usmarowany... Dalejże, wynoście mi się oboje, nie zawadzajcie tu, bo inaczej wezmę się do mioty!

Wyгнаła nas z domu. Wyszliśmy bardzo zadowoleni i udaliśmy się do składu drzewa obok kumotra¹¹³ Rioux. Ale zatrzymaliśmy się na chwilę nad brzegiem Yonne'y, przglądając się łowieniu ryb. Udzielaliśmy rybakom rad i cieszyło nas zawsze, gdy pływak wędkę zanurzał się w wodę lub gdy wybliskiwała nad falami srebrzysta płotka. Głodzia, widząc na haczyku robaka wijącego się ze śmiechu, powiedziała z minką zniechęconą:

— Dziadziu! Jego to boli, jego połknie rybka!

— Naturalnie, dziecinko! Nie jest to wielka przyjemność zostać połkniętym. Ale po cóż o tym myśleć? Myśl raczej o tym, kto będzie jadł tę śliczną rybkę; z pewnością powie: „Jaka dobra!”.

— Ale gdyby ciebie kto zjadł, dziadziu?

— Ha, trudno, powiedziałbym: „Niech ci wyjdzie na zdrowie!”. Szelmo jedna, udało ci się. Widzisz, moja Głodziu, że dziadzio jest zawsze zadowolony. Czy ja go połknę, czy on mnie, to właściwie wszystko jedno, trzeba tylko rozważyć w głowie! Prawdziwy Burgund jest zawsze z wszystkiego kontent¹¹⁴.

Właśnie w tym punkcie rozmowy (niespełna o jedenastej) znaleźliśmy się u naszego Rioux. Nawet nie spostrzegliśmy się, że już jesteśmy u celu. Calat i Robinet czekali na mnie spokojnie, leżąc na brzuchach nad wodą, a sprytny Robinet, który nie zapomniał wędkę, próbował szczęścia.

Wszedłem do składu. Wystarczy mi znaleźć się pośród drzew rozłożonych na ziemi, obnażonych z liści gałęzi, by natychmiast odurzał mnie rozkoszny zapach trocin, i dąlibóg, czas mija, woda płynie, a ja ani się spostrzegę. Potrafię je gładzić i dotykać bez końca. Wolę drzewo niż kobietę. To już moja mania! Wybieram sobie to, które mi najlepiej odpowiada. Ale gdybym był Turczyńcem i miał na targowisku najukochańszą kobietę otoczoną kilkudziesięcioma mymi nagimi dziewczętkami, to mimo mej miłości do tej jednej nie zaniedbałbym udelektować oczu powabami całej trzódki. Nie jestem w ciemności. Na cóż mi Bóg dał oczy łakome na piękno? Czyż na to, bym je zamykał? Moje oczy otwarte są jak brama stodoły. Wszystko wchodzi do środka, nie wypuszczam niczego. Jestem znawcą! Widzę pod skórą samiczki wszystkie jej skryte pożądlivości, złośliwości, wszystkie chytne myśli. Tak samo pod szorstką lub gładką korą moich drzew dostrzegam to, co stanowi ich treść: kształt ukryty, który potrafi z nich wydobyć moja ręka.

Patrzę sobie, a tymczasem Cagnat niecierpliwi się! Jest to żarłok, który połyka wszystko na surowo; my tylko, starzy, umiemy się delektować. Z nudów zaczyna krzyczeć na całe gardło do rybaków płynących łodzią od przeciwnego brzegu Yonne'y, a potem rozmawia z ludźmi przechodzącymi powolnym krokiem przez most.

Już to u nas obyczajem jest bez względu na miejscowość jedną, chociaż ptaszki w każdej mają odmienne pióra.

Przez cały dzień siedzi się na moście z nogami zwieszonymi, z pośladkami jakby przybitymi do desek. Czasem tylko wstaje się, by podejść do najbliższego krzaczka. Rozmowa pomiędzy dziećmi Beuvronu a dziećmi Betlejemem składa się z szeregu wymyślań. Ci panowie z Judei nazywają nas chamami, krzywonosami burgundzkimi, wędliniarzami, my zaś na komplementy te odpowiadamy, przezywając ich brodatymi małpami i ciastołykami. Mówię: my, gdyż słysząc litanie i ja nie mogę się powstrzymać, by nie dorzucić swego: *Ora pro nobis!*¹¹⁵ Każdemu należy odpowiedzieć, tego sama uprzejmość wymaga!

Zaledwo wymieniliśmy kilka słów w tym rodzaju gdy nagle słyszę... Dzwonią na *Anioł Pański*¹¹⁶! Ho, ho, już południe! Zrywam się tedy na równe nogi! Gdzież się ten czas podział? Jakże prędko płynie piasek w klepsydrze¹¹⁷ świata! Proszę tedy naprzód rybaków, by pomogli Robinetowi i Cagnatowi złożyć drzewo na wózek, a potem by je zawieźli razem z nami do Beuvronu.

¹¹³kumoter (gw.) — kum, dobry znajomy. [przypis edytorski]

¹¹⁴kontent (przestarz.) — zadowolony. [przypis edytorski]

¹¹⁵ora pro nobis (łac.) — módl się za nami. [przypis edytorski]

¹¹⁶Anioł Pański — modlitwa maryjna, odmawiana rano, w południe i wieczorem, o której dawniej przypominało wiernym, bijąc w dzwony kościelne. [przypis edytorski]

¹¹⁷klepsydra (z gr. kleptin: kraść, hýdor: woda) — wynaleziony w starożytności przyrząd do odmierzania czasu, złożony z dwu naczyń, umieszczonych jedno nad drugim i połączonych wąskim otworem, przez który przesącza się woda lub przesypuje się piasek. [przypis edytorski]

Zwierzę

Uroda, Piękno, Bóg

— Ho, ho, Breugnon zawsze wielki pan! — zauważyli jednogłośnie. Wydało się im to trochę za obcesowe, ale posłuchali, gdyż lubią mnie w gruncie rzeczy.

Wracamy do domu galopem. Ludzie stoją w progach domów i sklepów, podziwiając nasz zapał i pracowitość.

Ale na moście Beuvronu spotykamy trzy wytrwałe ptaszki — Fétu, Gadina i Trinqueta, spoglądających ciągle w wodę. Nogi zatrzymują się same, a język zaczynają pytlować *presto*¹¹⁸. Oni spoglądają na nas pogardliwie, gdyż pracujemy, my spoglądamy na nich z pogardą, albowiem nie robią nic.

Czekaliśmy, aż wyczerpany zostanie cały repertuar. Siadłem sobie na uboczu, by — kiedy się to skończy — przyznać nagrodę zwycięzcy. Nagle tu koło mnie rozległ się wrzask:

— Łajdaku! Jesteś nareszcie? Gadaj zaraz, co robiłeś od dziewiątej rano do południa? Czy tak długo trzeba iść z Beuvronu do Béyant? Leniwcze paskudny! Nie wróciłbyś i teraz, gdybym cię nie wzięła za łeb! Dalejże, marsz do domu! Obiad przypalił się na nic!

Odpowiedziałem:

— Jej przyznaję nagrodę. Drodzy przyjaciele, daremnie się wysilacie! Któryż z was potrafi dorównać tej drogiej szczebotce mojej?

Pochwała wzbila ją widocznie w dumę, gdyż uraczyła nas jeszcze jednym utworem. Wykrzyknęliśmy chórem:

— Brawo!

— Ale teraz — powiedziałem — czas nam wracać. Idź przodem, droga żoneczko!

*

Żona moja szła, trzymając za rączkę Głodzie, a za nimi dwaj moi uczniowie. Chciałem zrobić to samo, potulnie, ale bez pośpiechu, kiedy nagle od górnej dzielnicy miasta dobiegł mnie radosny dźwięk zmieszanych głosów, pogłos muzyki i tony dzwonów z wieży św. Marcina. Podniosłem głowę, zastrzygłem uszami jak kawalerski koń przed atakiem, a nos mój wydłużył się, wężąc za czymś nowym a ponętym.

Właśnie odbywa się ślub pana d'Amazy z panną Lukrecją de Champeaux, córką porbocy podatków.

Wszyscy śpieszą zobaczyć orszak ślubny. Biegną co sił w nogach, porzucając pracę, biją się, by co prędzej dostać się na plac zamkowy. Oczywiście nie czekałem pozwolenia i pomknąłem co żywo. Nie co dnia widzi człowiek takie wspaniałości. Trinet, Gadin i Fétu nie raczyli nawet podnieść głów. Oświadczyli, że to nie ich rzecz, ludzi przedmiejskich, chodzić z wizytą do mieszczan spod wieży. Naprawdę, podoba mi się ta duma i ten takt... To wzniosłe! Ale poświęcać przyjemność dla wzniosłości? Nie, to nad moje siły! O męczennicy godności własnej, nie dorastam wyżyn waszych!

Mimo że jednym skokiem przesadziłem wszystkich trzydzieści sześć stopni schodów wieży św. Marcina, przybyłem, niestety, za późno i nie widziałem, jak orszak weselny wchodził do katedry. Musiałem tedy zaczekać, by go zobaczyć w drodze powrotnej. Ale wszyscy proboszczowie są podobni do siebie. Gdy zaczął śpiewać, nie ma temu końca. Z nudów postanowiłem wejść do kościoła i udało mi się tego dokazać w pocie czoła. Ugniatałem krągłe brzuszki i wydatne siedzonka. Ale utknąłem zaraz pod chórem w tej pierzynie ciał ludzkich, jakby w łóżku ciepłym i miękkim. Było trochę za gorąco, a temperatura taka sprzyja myślom swawolnym. A wszakże to miejsce święte, trzeba być poważnym, wszystko ma swój czas! Gdy tego wymagają okoliczności, mogę stać jak trusia, spuściwszy oczy, niby skromny osiołek. Bywa czasem, że uszy się podnoszą i oślina ryknie sobie. Tak się stało dzisiaj. Stałem sobie cichutko, nabożnie i otwarte usta, by lepiej widzieć, śledziłem przebieg radosnego ofiarowania się czystej Lukrecji Imć Panu d'Amazy. Huczały tuż nade mną cztery trąbki myśliwskie św. Huberta¹¹⁹, trąbiąc ku czci znakomitego łowcy podniosłą fanfarę. Nie było tylko, niestety, zwierzyny. Dusłem się od śmiechu i, oczywiście, nie mogłem się powstrzymać, by nic pogwizdywać (z cicha) melodii łowieckiej.

Ślub, Świątynia

¹¹⁸*Presto* (wł.) — szybko. [przypis edytorski]

¹¹⁹*Hubert z Liège* (ok. 701–727) — biskup Liège; święty katolicki, patron myśliwych. [przypis edytorski]

Gdy nadszedł moment kulminacyjny, narzeczona na pytanie ciekawskiego księdza odpowiedziała: „Tak!”, a wydęte policzki trębaczy zagrały „dojeżdżanego”, nagle, nie wiedząc sam, jak się to stało, krzyknąłem głośno:

— Halali!...¹²⁰

Można sobie wyobrazić, jakie to uczyniło wrażenie. Natychmiast zbliżył się odzwierny, nastroszył brwi i szukał oczami winowajcy. Skuliłem się i skromnie przecisnąwszy się pomiędzy pośladkami bliźnich, wyszedłem z kościoła.

Znalazłem się na placu wśród licznej kompanii znajomych. Wszyscy przybyli, jak i ja, chcąc się napatrzeć do syta, nasłuchać, napić opowiadań tak, by można powtarzać to, czego się nie widziało. Naturalnie, używałem sobie i czas mijał szybko. Naraz otwarły się drzwi katedry i cały orszak myśliwski wynurzył się przy dźwiękach organów.

Na czele z miną tryumfatora kroczył Imć Pan d'Amazy, prowadząc pod rękę schwytaną zwierzynę, która spoglądała dokoła oczami łani, strojąc powabne minki. „Ej! — powiedziałem sobie — cieszę się, że nie mam obowiązku pilnować tej sarenki! Śliczna bestyjka, ale ten, kto ją wypatroszy, dozna czegoś jeszcze prócz rozkoszy. Wiadomo: kto ma zwierza, ten ma rogi”.

Nie mogłem dojrzeć nic więcej z polowania, straciłem z oczu dojeżdżacza i dojeżdżaną, nie mogłbym też opisać, jakie stroje mieli dostojni państwo, gdyż nagle umysły wszystkich zajęła niezmiernie doniosła sprawa, w jakim porządku ma się odbywać pochód i kto ma przed kim postępować w orszaku. Już podczas wchodzenia (opowiadano mi to, gdyż spóźniłem się niestety) sędzia i prokurator kasztelanii, dalej ławnik, zastępca mera¹²¹ oraz dwaj akolici¹²² *minorum gentium*¹²³ popadli w konflikt w ścisku, Prym wziął przedstawiciel mera, jako najsilniejszy. Szło teraz o to, który z dygnitarzy pierwszy wytknie nos z drzwi katedry. Porobiliśmy zakłady. Ale nie pokazywał się nikt. Niby odcięta głowa węża, para nowożeńców postępowała dalej, a reszta ciała tkwiła w kościele.

Zbliżyliśmy się i spojrzeli do środka. Widowisko było zaiste niezwykle. Zgnieceni, wściekli, spoceni dygnitarze tłoczyli się pod chórem, a jeden przeszkadzał wyjść drugiemu. Z uwagi na świętość miejsca nikt nie śmiał krzyczeć. Tedy tylko ruszali ustami, wąsami, wytrzeszczali straszliwie oczy, prostowali i pochylali grzbiety, marszczyli czoła, dyszeli, dmuchali, nadymali policzki, a wszystko bez jednego słowa. Trzymając się ciągle na uboczu, braliśmy w sprawę czynny udział. Robiliśmy zakłady. Starsi, poważni, stawiali na sędziego, jako reprezentanta księcia (wszak winniśmy mu, co należy), młodzi trzymali stronę ławnika, jako wcielenia swobód obywatelskich. Ja się oświadczyłem za tym, który drugiego wystrychnie na dudka.

Każda partia dodawała odwagi swemu wyścigowcowi:

— Huź! Huź! Bierz go, panie Grosser! Złap go za pysk, Pétaud! Raz w zęby, a dobrze, pyszałka! Nuże, stary ośle, wio!

Ale współzawodnicy nie brali się za bary z obawy nadwężenia odświętnych strojów. I spór trwałby zapewne jeszcze długo (nieprędko by im zaschło w gębie), gdyby nie interwencja proboszcza. Bał się nieboraczek, że obiad weselny pójdzie na nic, przeto nadbiegł pośpiesznie i zaczął godzić.

— Drogie owieczki moje — mówił — Pan Bóg się niecierpliwi, a obiad czeka. Tego czynić nie wolno. Czyż mamy wprawiać Stwórcę w zły humor w jego własnym przybytku? Wypierzmy swe brudy w domu, a teraz zgoda!

Jeśli nawet tak nie mówił (bo nie słyszałem ni słowa), to sens musiał być taki, gdyż niebawem ujrzałem dwie potężne ręce chwytające ich za kark i zbliżające pyzate gęby, by się pocałowały bratersko. Potem wyszli, ale razem, w jednej linii, niby dwie kolumny, pośrodku których widniał okazały brzuch proboszcza. Było tedy trzech dygnitarzy, miast¹²⁴ dwu, na pierwszym miejscu, a sens moralny z tego takiż że lud nic nie traci na tym, gdy się panowie za łby wodzą.

*

¹²⁰Halali! — okrzyk myśliwych lub melodia grana na rogu na znak upolowania jelenia. [przypis edytorski]

¹²¹mer — przewodniczący rady miejskiej lub gminnej we Francji. [przypis edytorski]

¹²²akolita — pomocnik kapłana, posługujący podczas obrządków religijnych. [przypis edytorski]

¹²³minorum gentium (łac.) — niższego rodzaju, mniejszego znaczenia. [przypis edytorski]

¹²⁴miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

Przeszli wszyscy do zamku i zasiedli do uczty, na którą zarobili rzetelnie, my zaś, bydelko miejskie, łaziliśmy po placu, krążąc wkoło niewidzialnej misy i chwytając nosem zapach potraw. By się tym lepiej delektować, trzech łakomców, mianowicie: Tripet, Bauldequin i niżej podpisany, pytaliśmy o potrawy, jakie podawano gościom. Ile razy wymieniono potrawę, śmialiśmy się rozkosznie i trącaliśmy się łokciami. Chwaliliśmy jedno, ganili drugie. Szkoda, że nie zasięgnięto naszej rady, nie spytano o zdanie ludzi doświadczonych. Ale ostatecznie nie było w *menu* ani grzechu śmiertelnego, ani błędu ortograficznego. Słowem, obiad przedstawiał się bardzo przyzwoicie.

Z okazji potrawy zajęcej wybuchła zacięta dyskusja, każdy z nas podawał swój przepis, a przysłuchujący się dorzucili kilka słów. Ale cóż... tematy tego rodzaju są niebezpieczne (trzeba być złym człowiekiem, by o tym mówić z zimną krwią), toteż gdy wmiszały się jeszcze do rozmowy dwie damy: Perrine i Jacquotte, nastąpił wybuch. Wymienione wyżej damy, specjalistki w swym zawodzie, są rywalkami, a obywatelki powierzają im zazwyczaj wszystkie wielkie obiady dawane w mieście. Każda posiada swe stronnictwo i każda, opierając się na swych zwolennikach, pragnie usunąć drugą w kąt. Śliczne to turnieje.

Trzeba wiedzieć, że w mieście naszym obiady są pojedynkami bogatszych obywateli. Ale mimo zamiłowania do podniosłych dysput wyznaję, że nuży mnie, gdy słyszę hymny o czynach bliźnich moich, a sam działać nie mogę. Nie mogę też długo żywić się sosem myśli i wizjami dań nieosiągalnych. Dlatego też bardzo się ucieszyłem, usłyszawszy słowa naszego zacnego Tripeta, który te same czuł dolegliwości:

— Gdy się tak długo gada o sprawach kuchennych, człowiek staje się czerwony jak brzoskwinia (to była aluzja do mego nazwiska i purpurowych lic, gdyż *breugnon* znaczy po naszymu: brzoskwinia). Tak samo czerwienieje kochanek, gdy mówi długo o miłości. Mam tego dość, konam, przyjacielu drogi, płonę, ginę, a z wnętrzości moich unoszą się dymy pożarne. Musimy je skropić, ugasić i nakarmić bestię, która je pożera.

— Jakoś to będzie. Licz na mnie. Pewien mędrzec starożytny powiedział: „Najlepszym lekarstwem na głód jest podjeść do syta”.

Poszliśmy razem na róg ulicy Wielkiej, do oberży „Pod Herbem Francji i Delfinatu”. Żaden z nas nie myślał wracać do domu, dawno już bowiem minęła druga po południu. Tripet, podobnie jak i ja, miał szansę zastać w domu zimną zupę i kipiącą z wściekłości żonę. Był to dzień targowy, toteż na sali z trudem znaleźliśmy miejsce. Ale o ile przyjemnie czuć się swobodnym przy jedzeniu, o tyle przyjemniej jeszcze jest w ścisku, pośród dobrych kompanów. W ten sposób człowiek zawsze jest zadowolony.

Na czas jakiś przestaliśmy rozmawiać, a raczej zaczęliśmy dyskurs ust i szczęk, oddając się z rozkoszą pochłanianiu wieprzowiny z kapustą. Była różowa, wonna i rozpływała się na języku. Do tego wypiliśmy ciemnego piwa, by rozprościć mgłę, która zasłaniała nam oczy. Mieli rację nasi przodkowie, twierdząc, że jeść bez picia to znaczy paczyć sobie pogląd na świat! Otóż odzyskawszy bystrość spojrzenia i przeplukawszy gardło, zacząłem znów patrzeć na świat i ludzi w sposób właściwy i stwierdziłem ponownie, że jedno i drugie wydaje się po jedzeniu znacznie piękniejsze.

U sąsiedniego stolika siedział pewien proboszcz z okolicy, a naprzeciw stara gospodyni wiejska. Ustawicznie kłaniała się mu, mówiła do niego, wpatrywała się weń słodko, wtuliwszy głowę w ramiona, słowem, pragnęła oczarować go, a może wypowiadać się przy sposobności.

Proboszcz słuchał grzecznie i łaskawie, ale widocznie nie słyszał ani słowa. Na każdy ukłon odpowiadał ukłonem, ale pilnował talerza. Zdawało się, że mówi: „Odejdź w pokój, córko moja, *ego te absolvo*¹²⁵. Darowane ci są wszystkie grzechy twoje. Albowiem Bóg jest dobry, a ja zjadłem dobry obiad. Bo, powtarzam, Bóg jest miłosierny, a ta kiszka krwawa wprost wymienia!”

Opodał siedział nasz notariusz, Piotr Delavau, zajęty rozmową z kolegą. Mówił o walucie złotej, cnocie, srebrze, polityce, kontraktach i rzeczypospolitej¹²⁶... Naturalnie rzym-

Uczta

Karczma

Jedzenie, Obraz świata

¹²⁵*ego te absolvo* (łac.) — ja cię rozgrzeszam (część formuły spowiedniczej, wypowiedzianej przez księdza na zakończenie spowiedzi). [przypis edytorski]

¹²⁶*rzeczpospolita* — tu ogólnie: republika. [przypis edytorski]

skiej (był on republikaninem w wierszach łacińskich, ale w życiu codziennym kierował się rozsądkiem i wiernie służył Królowi Jegomości).

W głębi bystre moje oko wysledziło czcigodnego Perrina zwanego Ogoniastym, w siwej bufiastej bluzie, Perrina zwanego też Pyszałkiem z Corvol. Ledwo nań spojrzałem, spostrzegł mnie. Przysiągłbym, że mnie widział od samego początku, ale siedział cicho, gdyż winien mi należność za dwie szafy orzechowe już od przeszło trzech lat.

Wykrzyknął wesoło, wstał, zbliżył się do naszego stołu i zaproponował nam szklankę wina:

— Witam cię i pozdrawiam imieniem konwentu pijaków!

Tymi słowami rytualnymi rozpoczęliśmy popijawę.

— Człowiek chodzi na dwu nogach! — powiedział i łknęliśmy drugą kolejkę.

Perrin zaproponował mi, bym coś przekąsił. Sądził, że odmówię, gdyż już się posiłem. Ale się omylił. Chwyciłem ten pomysł i w lot powiedziałem:

— I owszem!

Co odbiję na poczet należności, to mój zysk! Zacząłem tedy znowu jeść, ale teraz już spokojniej, bardziej metodycznie, albowiem nie zagrażała mi już śmierć głodowa. Z wolna porozchodzili się ludzie ordynarni, ludzie, którym ciągle śpieszno, ludzie jadający jak zwierzęta, by głód nasycić. Pozostali sami uczciwi, w pewnym wieku, utalentowani, znający wartość rzeczy pięknych, dobrych i smacznych, dla których dobre danie tyle znaczy co dobry uczynek.

Drzwi stały otworem, słońce miało wolny dostęp. Pod stołem krążyło troje czarnych kurcząt, wyciągając sztywne szyje, by dziobać okruszyny, stary pies drzemał, wyciągnąwszy łapy. Słychać było wrzask kłócących się na ulicy kobiet, wołanie szklarza, zachęty przepukniów: „Ryby piękne, ryby!”, oraz ryk osła podobny do ryku lwa. Na zakurczonym placu dwa białe woły zaprzężone do pługa leżały bez ruchu, z nogami podwiniętymi pod piękne, połyskliwe boki, ślina toczyła się im z pysków, a szczęki przeżuwały paszę z błogą rozkoszą. Gołębie gruchały na dachu, pławiąc się w słońcu. Rad bym uczynił to samo, a sądzę, że chętkę tę mieli wszyscy, gdyż było nam tak dobrze, że gdyby ktoś przeciągnął nam ręką po grzbiecie, zaczęlibyśmy mruczeć jak koty.

Rozmowa stała się ogólna, mówiono od stolika do stolika. Nastrój braterstwa, przyjaźni i jedności zapanował niepodzielnie, łącząc wszystkich, a więc proboszcza, Ogoniastego, notariusza, jego kolegę i właścicielkę hotelu, posiadającą ogromnie słodkie nazwisko: Baiselat¹²⁷ (wiele obiecywało to nazwisko, ale właścicielka jego gotowa była do ofiar znaczniejszych jeszcze).

By wygodniej rozmawiać, chodziłem od stolika do stolika, przysiadając się wszędzie na chwilę. Rozprawiano o polityce. Cóż bowiem lepszego, jak wyżalić się po posiłku na podłe czasy? Wszyscy narzekali na nędzę, drożyznę, zastój w interesach, ruinę Francji, rasy całej, na upadek ogólny, na władców i intrygantów. Ale każdy był ostrożny, nie wymieniano nazwisk. Wielcy tego świata mają wielkie i długie uszy i każdej chwili koniec takiego ucha może się ukazać w drzwiach. Ponieważ jednak w Burgundii im bliższe dno beczki, tym o prawdę łatwiej, zaczęto się wreszcie dobierać i do potentatów, choć co dalszych.

Wszyscy zgodnie potępili Włochów i pana Concini, które to robactwo królowa zawłokła z Florencji w fałdach swej spódnicy. Jeśli zdarzy się wam, że znajdziecie przy kawałku swojej pieczeni dwa psy, jednego z obcego podwórka, drugi zaś będzie wasz, przepędzacie własnego, obcego zaś na dobre zatłuczecie. Wiedziony zarówno poczuciem sprawiedliwości, jak i wrodzoną przekorą, stwierdziłem, że należałoby karać obu jednak; słuchając zaś tego, co gadają ludzie, można by sądzić, że jedyne nieszczęście, jakie nas gnębi, to plaga włoska, a przecież nie brak nam ani klęsk innych, ani domowych łobuzów.

Wszyscy orzekli zgodnie po moim wywodzie, że jeden łobuz włoski wart trzech naszych, a trzech uczciwych Włochów (o ile się tylu znajdzie w ogóle) niewartych trzeciej części jednego porządnego Francuza. Zauważyłem, że ludzie wszędzie są ludźmi, świnie zaś świniami i że należy kochać każdego porządnego człowieka, nawet choćby był Włochem.

¹²⁷baiselat (fr.) — całusek. [przypis edytorski]

Jedzenie

Zwierzęta, Szczęście

Zło

Rzucili się na mnie wszyscy i oświadczyli, że moja opinia ich wcale nie dziwi, albowiem znany jestem jako stary osioł, czerwona gęba, wiercipięta, wagabunda i włóczęga po wszystkich gościńcach.

Mieli rację. Podróżowałem dużo. Stary książę¹²⁸, ojciec obecnego, wysyłał mnie do Mantui i Albissoli¹²⁹ w celu studiowania przemysłu artystycznego i wyrobu emalii oraz fajansu. Przyczyniłem się do położenia podstaw fabrykacji tych rzeczy we Francji i nie żałowałem trudu ni butów. Całą drogę od św. Marcina aż do św. Andrzeja w Mantui¹³⁰ odbyłem pieszo, z laską w ręku. O, jakże to przyjemnie iść sobie tak przed siebie, gdy droga przed tobą coraz dłuższa i coraz lepiej czujesz stopami ziemię.

Ale dajmy temu pokój; i dziś chętnie zacząłbym od nowa...

Wyśmiali mnie!

Ha! Wszakże jestem Galem, synem ludzi, którzy zrabowali cały świat. „Cóżes to zrabował?” — pytali ze śmiechem. „Cóżes to przyniósł?” Tyle co przodkowie, Pełne oczy. Puste kieszenie, to i prawda, ale głowę napchaną do pęknięcia. Mój Boże! Jakże to słodko patrzeć, słuchać, kosztować, wspominać. Wiem, że nie sposób widzieć i wiedzieć wszystko, ale i to dobre, co można! Jestem niby gąbka, co ssie ocean. A raczej jestem jak brzuchate, dojrzałe do pęknięcia winne grono, przesycone sokiem ziemi. Jakaż to ilość moszczu trysłaby ze mnie, gdyby mnie ktoś włożył do prasy! Nie ma głupich, synkowie moi, sam ja to wino wypiję! Wy nim gardzicie, widzę. Ha, tym lepiej dla mnie. Chciałem im dać skarby, okruszyny szczęścia, jakie nazbierałem, wspomnienia z kraju słońca, ale nie przyjęli. Nie to nie! Krajanie moi nie są ciekawi, chyba tylko gdy idzie o to, co się dzieje u sąsiada, a zwłaszcza u sąsiadki. Reszta jest za odległa, by móc w nią uwierzyć. „Świat cały jednaki — powiadają — czy tu, czy w Rzymie osłowi osioł na imię!” — „Niechże i tak będzie — pomyślałem — zachowam dla siebie to, com widział. Nie trzeba ludzi uszczęśliwiać wbrew ich woli”. Dostosowałem się do nich, nie tracąc nic z siebie. W ten sposób, miast stracić, zyskałem.

Siedzę sobie tedy, rysuję po kryjomu proboszcza, który mówiąc, trzępie rękami w powietrzu niby kogut, i nos notariusza Delavau, i śpiewam razem z nimi piosenkę:

Jest to szczęście, wiercie mi,
Być mieszczuchem z Clamecy!

Śpiewam to zupełnie szczerze. To dobra miścina, nie może być inaczej, bo wszakże ja tutaj przyszedłem na świat! Roślina ludzka pleni się tu swobodnie, dostatnio, pulchnie, nie nabiera ostrych soków ni złości, cała wada nasza to chyba tylko ostre języki.

Jeżeli obgadamy trochę bliźniego (który płaci pięknym za nadobne), krzywda mu się nie dzieje, a nawet kochamy go więcej. Delavau przypomniał nam (byliśmy wszyscy, nawet proboszcz, dumni z tego), jak to Nivernejczycy¹³¹ zachowali spokojną, ironiczną postawę wówczas, kiedy cały kraj szalał po prostu. Nasz mer Ragon odmówił przyłączenia się do Guisardów¹³², ligowców, heretyków, katolików Rzymu czy Genewy, ogarniętych wściekłością i łaknących swej krwi wzajemnie, a św. Bartłomiej¹³³ przybył do nas, by tutaj umyć swe ręce zbroczone w krwi. Skupieni koło naszego księcia, byliśmy niby wysepka zdrowego sensu, o którą daremnie tłukły się fale.

Czyż można wspominać bez wzruszenia nieboszczyka księcia Ludwika lub naszego króla Henryka? O, jakżeśmy się wzajem kochali, jakże rozumieliśmy się wzajem! Mieli

¹²⁸Ludwik Gonzaga de Nevers (1539–1595) — francuski szlachcic włoskiego pochodzenia, żołnierz i polityk okresu francuskich wojen religijnych, założyciel rodu Gonzaga-Nevers; syn władcy włoskiego Księstwa Mantui z rodu Gonzagów, w 1549 wysłany na dwór francuski, w 1565 dzięki swojej patronce Katarzynie Medycejskiej poślubił Henriettę de Clèves, ostatnią z rodu Clèves, i w ten sposób został księciem Nevers. [przypis edytorski]

¹²⁹Mantua, Albisola — miasta w płn. Włoszech. [przypis edytorski]

¹³⁰bazylika św. Andrzeja w Mantui — największy kościół w Mantui; jedno z najważniejszych dzieł XV-wiecznej architektury renesansowej w północnych Włoszech. [przypis edytorski]

¹³¹Nivernejczycy — mieszkańcy francuskiej krainy historycznej Nivernais, ze stolicą w Nevers, od 1539 tworzącej księstwo, zajmujące w przybliżeniu tereny ob. departamentu Nièvre. [przypis edytorski]

¹³²Guisardowie — zwolennicy stronnictwa książąt de Guise, przywódców Ligi Katolickiej. [przypis edytorski]

¹³³św. Bartłomiej przybył do nas, by tutaj umyć swe ręce zbroczone w krwi — mowa o tzw. nocy św. Bartłomieja, kiedy w nocy 23 na 24 sierpnia 1572 w Paryżu, z inicjatywy królowej Katarzyny Medycejskiej, matki Karola IX, dokonano rzezi tysięcy hugenotów, na czele z ich przywódcą, admirałem Coligny, co dało sygnał do pogromów w całej Francji. [przypis edytorski]

oni, naturalnie, swe wady, jak i my, ale właśnie te usterki czysto ludzkie czyniły ich bliższymi naszym sercom. Powtarzano sobie ze śmiechem: „Nevers kocha, jak się patrzy, chociaż włos ma coraz rzadszy...”. Albo znowu: „Będzie w tym roku urodzaj na dzieci. Nevers ma znowu syna!”. Ach, jadalіśmy wówczas całą gębą biały chleb!

Rozgadaliśmy się o minionych czasach. Delavau, równie jak ja, znał księcia Ludwika. Ale nieboszczyka króla Henryka znałem z nich wszystkich tylko ja sam. Nie czekając tedy, aż poproszą, po raz setny może opowiedziałem im (zawsze zdawało im się, że słyszą to po raz pierwszy), jak to wyglądał król. Wszystko na nim było szare: ubranie, kapelusz, koń, szpakowate wąsy, szare oczy... Słowem, to, co na zewnątrz widziałeś, miało kolor szary, wewnątrz wszystko było ze szczerzego złota.

W tej chwili zjawil się pomocnik notariusza z wieścią, że umiera pewien jego klient i chce zrobić testament. Poszedł, ale przedtem jeszcze udelektował nas facecyjką, która, jak uważałem, długo mu wisiała na końcu języka, tak że uczynił gest zniecierpliwienia, gdym go uprzedził, wtykając swe opowiadanie. Facecyjka, przyznaję, była wyśmienita, toteż uśmialiśmy się wszyscy. Nie ma jak Delavau, gdy idzie o tłuste bajeczki.

Wypocząwszy tedy po wrażeniach dnia, oplukawszy się należycie od gardła aż po piętę, wyszliśmy razem. Było około piątej. Ach, jakież obfity plon zebrałem w ciągu tych krótkich trzech godzin. Oprócz dwu obiadów i wesołych wspomnień posiadałem jeszcze zamówienie notariusza na dwa wielkie kufry. Udaliśmy się do aptekarza Rathery, gdzie nas poczęstowano biskoptami z galaretką porzeczkową. Tam Delavau skończył opowiadać swą facecyjkę i towarzyszył nam spory kawał drogi, aż do Mirandoli¹³⁴, by usłyszeć inną, którą ktoś z towarzystwa nas uraczył.

Nareszcie rozstaliśmy się na dobre, ulżywszy sobie przedtem jeszcze pod jakimś murem z nadmiaru niepotrzebnych już produktów uczyty. Było za późno wracać do domu, a jednocześnie za wcześnie. Udałem się przeto w towarzystwie jakiegoś węglarza ku Bettlejem. Węglarz szedł za wozem pełnym towaru i pogwizdywał. Koło wieży w Lourdeaux spotkałem kołodzieja, który pędził przed sobą koło. Ile razy koło zwalniało biegu, podbiegał i popędzał je pchnięciem. Był on żywym obrazem człowieka pędzącego za szczęściem, które umyka co żywo, ile razy chce nań wskoczyć. Zanotowałem sobie to spostrzeżenie, by je kiedyś zużytkować.

Wahałem się, czy mam wracać do domu najkrótszą czy najdłuższą drogą, gdy nagle spostrzegłem pochód sunący od strony szpitala. Na czele mały chłopiec, nie większy od mojej nogi, niósł wysoki krzyż, oparłszy koniec jego na brzuchu niby pikę. Łotrzyk pokazywał co chwila język idącym obok dzieciakom w komeżkach¹³⁵ i zerkał raz po raz ku szczytowi krzyża, który mu ciążył widocznie. Za nimi czterech staruchów o żyłastych nabrzmiałych rękach niosło przykrytego sukniem jakiegoś śpiocha, który za pozwoleniem swego proboszcza udawał się na cmentarz, by tam w ziemi kontynuować dalej swą drzemkę.

Grzeczność wymagała, by mu towarzyszyć aż do mieszkania. Zawsze przyjemniej, gdy człowiek nie jest sam. Przyznaję, że przyłączyłem się do konduktu także w tym celu, by słuchać opowiadania wdowy, która wedle zwyczaju szła, ciężko wdychając, tuż za księdzem, opowiadając szczegółowo o chorobie zmarłego, lekarstwach, jakie zażywał, o jego ostatnich chwilach, jego cnotach, uczuciach, budowie ciała, a wreszcie o całym życiu nieboszczyka i jego wiernej połowicy. Opowieść ta przeplatała się z księżowskim śpiewem. Szliśmy, pełni zainteresowania, coraz liczniejszą gromadą, gdyż nie mogę pominąć faktu, iż co chwila napotykalіśmy znajomych ludzi, posiadających serca współczujące i uszy chętne posłyszania opowieści.

Nareszcie dostawiliśmy zmarłego do miejsca przeznaczenia, do oberży smacznego snu. Postawiono trumnę na brzegu wielkiej, czarnej dziury, a że biedak nie ma prawa do własnej drewnianej koszu (to nic, spać można i nago), przeto podniósłszy sukno i wieko, wysypano zawartość skrzynki do dołu.

Rzuciwszy nieborakowi grudek ziemi i uczyniwszy nabożnie znak krzyża, by odegnąć przykre sny, oddaliłem się mocno zadowolony. Wszakże tyle widziałem, brałem udział w radości i smutku; mój worek był dzisiaj pełen po brzegi.

Pogrzeb

¹³⁴Mirandole — ulica w Clamecy. [przypis edytorski]

¹³⁵komeżka — zdrobn. od komeża: biała, luźna, sięgająca do kolan szata noszona przez księży katolickich lub osoby świeckie podczas czynności liturgicznych. [przypis edytorski]

Postanowiłem wracać wzdłuż brzegu, począwszy od miejsca, gdzie łączą się obie rzeki. Miałem iść, oczywiście, brzegiem Beuvronu, ale wieczór był tak piękny, że nie wiedząc, jak to się stało, po pewnym czasie znalazłem się daleko za miastem, nad czarowną Yonne'ą, która mnie zaprowadziła aż do wąwozu w La Foret. Spokojnie płynęła woda, bez jednej faldy na swej powłóczystej szacie. Więziła oczy, schwytane jak ryba na wędkę. I niebo, podobnie jak ja, dało się opanować. Kapało się całe w rzece, razem z obłokami, które płynęły z jej nurtem, zaczepiając tu i ówdzie o trawy i krzaki nadbrzeżne. Usiadłem obok jakiegoś starego czelczyzny, który trzymał na postronkach dwie chude krowy szukające wytrwale trawy pobrzeżnej. Spytałem, jak mu się powodzi, udzieliłem mu rady na gościec¹³⁶ w nodze, mianowicie, by wdział pończochę napelnioną zmielonym ostem (jestem w potrzebie lekarzem), on zaś opowiedział mi swoją historię, swe przejścia i swe smutki z wesołością, która mnie zastanowiła. Był niezadowolony, gdy obliczając wiek jego, powiedziałem o kilka lat mniej (liczył 75 rok życia), i zdawało się, iż właśnie dumny jest z tego, że żyjąc dłużej, wycierpiał więcej. Było to dlań zupełnie naturalne, że cierpienie panuje na świecie, że sprawiedliwi i łotry cierpią tak samo, albowiem dobrodziejstwa niebios spływają również na wszystkich bez różnicy. Rachunek zamyka się tym, że wszyscy: bogaci i biedni, piękni i brzydki, pewnego dnia znajdą się na łonie jednego Ojca. Staruszek mówił suchym, trzeszczącym głosem, w trawie śpiewały koniki polne, woda szumiała w wąwozie, od strony portu dolatywał zapach drzewa i smoły, przed nami płynęła gładka woda, a wszystko zlewało się w przedziwną harmonię.

Rzeka, Niebo

Starość

Kondycja ludzka

Pastuch odszedł, zostałem sam. Poszedłem z wolna, z rękami założonymi na grzbiecie, wpatrzony w kola powstające na wodzie. Byłem tak zajęty obrazami odbijającymi się w fali, że nie wiedziałem, dokąd idę i gdzie jestem. Nagle podskoczyłem, usłyszałem bowiem znany mi dobrze głos. Dolatywał z przeciwnego brzegu Beuvronu. Nawet się nie spostrzegłem, jak znalazłem się przed własnym domem. Droga moja, słodka żonczka stała w otwartym oknie i wygrażała mi pięściami. Udałem, że jej nie dostrzegam, i patrzyłem w nurt rzeki. Ale właśnie w tym nurcie widziałem ją doskonale. Widziałem, jak się rzuca, wymachuje rękami i pochyla głowę niby do ataku. Milczałem, ale brzuch mój śmiał się sam, czułem, jak brzuch mój trzęsie się i kręci. Więc wybuchnąłem śmiechem, a im bardziej się śmiałem, tym ona głośniej wrzeszczała, a im bardziej się rzucała, tym głośniej śmiałem się ja.

Żona, Mąż

Na koniec w ostatniej pasji zatrasnęła okno, drzwi i jak opętana wybiegła z domu, by mnie pochwycić. Ale musiała dostać się na drugi brzeg. Znajdowaliśmy się między dwoma mostami. Ona skoczyła ku mostowi po prawej stronie, a ja, widząc, że pędzi w tę stronę, pobiegłem w lewo i sadząc ogromnymi susami, przybyłem do domu przez wielki most, na końcu którego, niby czapla, tkwił od rana Gadin, sam jeden, opuszczony przez towarzyszy.

Znalazłem się w mieszkaniu. Była już noc. Jakże, u licha, szybko mija dzień! Nie narzekam nigdy, że czas straciłem, jak ten nicpoń rzymski, Tytus¹³⁷, który ciągle stękał. Nic nigdy nie tracę, z każdego dnia jestem zadowolony. Tylko zamiast jednego potrzeba mi koniecznie dwu dni; czuję, że mnie ktoś okrada z czasu. Ile razy zacznę pić, oho... Już szklanka pusta! Ktoś ją wydoił! Znam takich, którzy cmokają swe wino bez końca. A może dostali większe szklanki? Do kroćset, to byłaby niesprawiedliwość o pomstę wołająca! Hej, ty tam, wielki oberżysto „Spod Słońca”, raczże nie krzywdzić mnie co do miary!

Ale nie, nie, błogosławiony bądź, Boże, który czynisz, że po każdym obiedzie czuję się głodny i że kocham tak dzień każdy (i noc też jest dobra), iż mi go zawsze mało!

O, jakże szybko przemijasz, kwietniu kochany! Jakieżś radosny, synku wiosny, chudziutki, drobniutki... Całuję cię, całuję serdecznie... Chodźmy spać, już czas. Będziemy spali razem, dobrze? Ach, do diaska, prawda, zapomniałem, że ktoś inny tu przyjdzie... Oho! Już leci, słyszę ją, słyszę, słyszę... Baba wraca!

¹³⁶gościec (daw.) — reumatyzm, ogólna nazwa chorób, których wspólną cechą są zmiany zapalne oraz bóle stawów i mięśni. [przypis edytorski]

¹³⁷Tytus, właśc. *Tytus Flawiusz Wespazjan* (39–81 n.e.) — cesarz rzymski (od 79 n.e.), syn i następca Wespazjana; wg Swetoniusza, gdy pewnego dnia nie uczynił niczego dobrego, miał stwierdzić: „Straciłem dzień”. [przypis edytorski]

Przed trzema miesiącami dostałem zamówienie na skrzynie i wielki kredens do pałacu w Asnois¹³⁸, ale nie rozpoczynałem roboty. Uważałem za konieczne zobaczyć na własne oczy dom, komnatę i obrać miejsce. Piękny mebel — to jak dojrzały owoc widniejący wśród szpaleru drzew. Nie mógłby istnieć bez drzewa, a taki będzie, jakie jest drzewo.

Nie rozumiem piękności niezależnej od miejsca, co jak dziewczka przystosowuje się do tego otoczenia, które jej płaci najlepiej. To *Wenus*¹³⁹ z rozstajnych dróg. Sztuka w moim rozumieniu to członek rodziny, to dobry duch domowego ogniska, przyjaciel i towarzysz, który wypowiada wyraźnie, co sami niejasno odczuwamy. Ponieważ jest to duch domu, musisz poznać dom. Jak Bóg jest stworzony dla człowieka, tak dzieło dla miejsca, które zdobi i wypełnia. Piękne jest to, co jest najpiękniejsze w danym miejscu.

Wyruszyłem tedy poznać miejsce, gdzie miałem umieścić meble, i spędziłem tam znaczną część dnia, oczywiście nie zapominając o piciu i jedzeniu. Duch nie powinien zaniedbywać ciała, jak woźnica swego konia.

Nasyciwszy tedy ducha i ciało, wybrałem się z powrotem tą samą drogą, którą przyszedłem, i maszerowałem wesoło ku domowi. Znalazłem się niebawem na rozstaju i mimo że wiedziałem dobrze, którą drogą należy iść, zerknąłem ku drugiej ciekawie. Wila się przez łąki pomiędzy krzewami okrytymi kwieciami.

Jakżeby to było dobrze powałęsać się tam trochę. Nie cierpię gościńca wiodącego prosto do celu. Dzień jeszcze długi, pogoda piękna, nie należy poruszać się prędzej niż boski *Apollo*¹⁴⁰. I tak jakoś dojdę. Moja stara nic na tym nie straci, przeciwnie, będzie miała więcej powodu do gdakania. Jakaż piękna ta smarkata śliwka, jak czupurnie zadziera główkę. Muszę się jej przypatrzeć, to zaledwie kilka kroków. Wiatr unosi płatki jej kwiatów niby śnieg, ptaki świergocą, istny raj! A ten strumyk! Toczy się, pomrukując, pomiędzy ziołami, jak kociak gonący kłębek po dywanie. Muszę zobaczyć. Oho, zastąpiła mu drogę grupa drzew; złapany, nie ujdzie. O... płynie dalej! Którędyż się prześliznął? Tędy, tędy, przebiegł pod samą nogą starego wiazu, garbatą, sękatą i obrzmiałą. A to filut¹⁴¹! Ale dokądże wieść może ta drożyna?...

Tak się zabawiałem, idąc w ślad za swym gadatliwym cieniem, obłudnie udając, iż nie wiem, dokąd zdążam. Nie lżyj, Colasie! Nie lżyj, stary gałganie, nie udawaj *Ulisses*a. W chwili wyjścia z pałacu wiedziałeś, gdzie cię ciągnie. Godzina drogi dzieli cię od domu twej dawnej umiłowanej, *Celiny*. Zrobimy jej niespodziankę. Ale któż z nas dwojga będzie więcej zdziwiony? Tyle lat jej nie widziałem... Cóż się stało z jej ślicznym, złośliwym pyszczkiem, z buziaczkiem mojej łasiczki?

Chyba teraz mogę stanąć przed nią, chyba dzisiaj już nie zgryzie mego starego serca ostrymi ząbkami? Oj, to serce wyschło jak podeszwa starego buta. A czyż ona ma jeszcze te same ząbki? Oj, łasiczko moja droga, jakżeś ty umiała śmiać się i gryźć jednocześnie! Dosyć się naigrałaś z biednym *Breugnonem*, dosyć mu nazawracałaś głowy! Wodziłaś go za nos, prowadziłaś na lince, obracałaś wedle woli. Ale skoro ci to sprawiało przyjemność, nie gniewam się wcale. Byłem zresztą osłem dardanelskim!

Pamiętam, jak się w nią wpatrywałem, oparty łokciami o mur ogrodu mistrza *Medarda Lagneau*, który mnie uczył rzeźby. Po drugiej stronie podwórza, służącego za pracownię, był ogród warzywny. *Celina* uwijała się pośród grządek sałaty, poziomek, rzodkiewek, zielonych ogórków i złotych melonów. Chodziła boso; miała obnażone ramiona i szyję, na które spływała ciężka fala miedzianych włosów. Ubrana jeno w krótką spódnicę po kolana, koszulę na poły rozpiętą na jędrnych piersiach, piękna, zwinna, ponętna, kołysała w prawo i lewo wielką polewaczką, miotając silnymi, opalonymi rękami rzęsy deszcz

Sztuka, Piękno

Natura

Uroda

¹³⁸ *Asnois* — wioska w Burgundii, ok. 10 km na pld.-wsch. od Clamecy. [przypis edytorski]

¹³⁹ *Wenus* (mit. rzym.) — bogini miłości i piękna, odpowiednik greckiej *Afrodyty*. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ *Apollo* (mit. gr., mit. rzym.) — bóg słońca, opiekun sztuki, przewodnik dziewięciu muz; jako promienny bóg słońca utożsamiany z *Heliosem* przemierzaienne niebo na złotym rydwanie. [przypis edytorski]

¹⁴¹ *filut* — ktoś przebiegły, spryciarz. [przypis edytorski]

na główki roślin, a kwiaty otwierały dzióbki i piły chciwie. Ja też otwierałem dziób, który nie był mały, i stałem oczarowany, by lepiej widzieć.

Chodziła tam i z powrotem, ciągle wylewała zawartość polewaczki i napełniała ją na nowo u studni. Silnym ramieniem podnosiła jak piórko ciężar i zgrabnie stąpała wąskimi ścieżynami, przeskakując wężyki wody pięknymi nóżkami. Kolana jej były krągłe i silne, niemal chłopięce. Pożerałem ją oczyma, a ona udawała, że mnie nie widzi. Czasem tylko, gdy jej wypadło skropić grządkę pod murem, zbliżała się i nagle spozierała na mnie ogromnymi oczyma, a ja wstrząsałem się cały. Miałem wrażenie, że rzucono na mnie sieć. Prawda to, co mówi przysłowie: Oko kobiety, ręczę, niczym nici pajęczce! Czułem, że jestem schwytyany i trzępię się daremnie, niby mucha, a ona oddalała się, obojętna i zimna. Siadała w kucki i pełła kapustę. Czasem tylko rzucała spod oka spojrzenie, by się przekonać, czy zdobycz nie zerwała siateł.

Widziałem jej szyderczy uśmiech. Daremnie mówiłem sobie: „Idźże, głupcze, do domu, ona kpi z ciebie!”. Nagle, bywało, wstała, przeskoczyła kilka grządek, zerwała tu kwiatek, tam kwiatek, kołysząc się na wietrze, i rozkładając ramiona, wykrzykiwała niby to do siebie:

— Oho! I ten, widzę, kocha się we mnie!

Wetknęła pęk kwiecica w rozchylenie koszuli na piersiach, pomiędzy krągłe wymionka. Nie byłem pozbawiony pewnego rodzaju śmiałości, przeto powiedziałem:

— Proszę i mnie tam wsadzić!

Wybuchnęła śmiechem, oparła dłonie na biodrach i kołysząc się tuż przede mną na szeroko rozstawionych nogach, rzekła:

— Zachciało ci się? O, nie, nie dla twoich zębów dojrzewają moje jabłuszka!

W ten sposób zapoznałem się pewnego sierpniowego wieczora z tą ślicznotką, z tą łasiczką, z tą piękną ogrodniczką. Zwano ją powszechnie łasiczką, ponieważ jak owo stworzonko o spiczastym nosku była smukła, giętka, główkę miała małą, chytry, pikardyjski¹⁴² nosek, usta wydatne i powabnie wykrojone oraz ostre ząbki zdatne do chrupania serc i orzechów. Ale jej oczy, niebieskie i zimne jak wiosenna burza, i kąciaki ust, kryjące uśmiechy słodkie, a kąśliwe, zniewalały każdego, kto raz zaznał ich uroku.

Od tej pory nieraz dobre pół dnia, zamiast pracować, spędzałem u muru i dopiero stopa mistrza Medarda na pośladku oraz jego pięść przypominały mi, że należy zstąpić na ziemski padół. Czasem łasiczka, mając dość tego patrzenia, wołała gniewnie:

— Dosyć mi się napatrzyłeś z przodu i z tyłu! Cóż chcesz więcej zobaczyć? Znasz mnie już dokładnie, po cóż się gapisz?

Odpowiadałem, mrugając chytrze oczyma:

— Nie można wcale poznać oczyma, niestety, ni melona wonnego, ni smacznej kobiety!

Chętnie bym sobie odciął kawałek tego owocu, a może i owoc nie miałby nic przeciw temu. Byłem młody, miałem gorącą krew, kochałem się we wszystkich dziewczętach. Czyż ją kochałem naprawdę, ją jedną? W pewnym wieku można zakochać się w miotle ubranej w spódnice. Nieprawda, mój stary, mówisz bluźnierstwa i nie wierzysz w nie ani na krztę. Jedynie pierwsza miłość jest prawdziwa, piękna, słuszna. Niebo ją zsyła, by zaspokoić palące nas pragnienie. I może dlatego, że nie wychyliłem jej do dna, łaknę wciąż i tak już będzie do końca życia.

Doskonaleśmy się rozumieli. Spędzaliśmy całe godziny na przekomarzeniach. Oboje mieliśmy obrotne języki. Ona miotała na mnie obelgi, ja zaś oddawałem jej z nawiązką. Jedno i drugie strzępiło sobie język i zgrzytało zębami. Czasem śmieliśmy się do rozpułku. Aby się wygodniej śmiać z jakiejś złośliwości, przysiadła na grządkach zupełnie jak kura na jajkach. Wieczorem podchodziła do samego muru i rozmawialiśmy poufale. Widzę ją dziś jeszcze, jak dowcipkuje i prześmiewa się, zuchwałe spojrzenie topiąc w moich oczach, jakby mi chciała zajrzeć do głębi serca. Widzę ją, jak podnosząc ramiona, sięga do gałęzi czereśni obwieszonych czerwonymi wisiorami owoców, tworzącymi wieniec wokół jej miedzianych włosów. Nie zrywa owoców, lecz dziobie je wprost z drzewa, pozostawiając tylko pestki wśród liści. Obraz ten jest jak doskonały i wieczny symbol młodości czerpiącej pokarm z nabrzmiałej piersi nieba. Jakże dokładnie poznałem wówczas kształt-

Flirt

Uroda

Kobieta, Oko

Młodość, Miłość

Miłość

¹⁴²pikardyjski — związany z Pikardią, krainą hist. w pln. Francji, nad kanałem La Manche. [przypis edytorski]

ty jej szyi, ramion, kibici, piersi, ust i wiele razy utrwalilem je potem w rzeźbie mebli! Przechyliwszy się przez mur, wydierałem jej gwałtownie gałąź i chciwie ssalem wilgotne jeszcze pestki.

W niedzielę spotykaliśmy się na przechadzkach lub w sali zabaw pocziwego Beaugy. Tańczyliśmy... Tańczyłem z pewną gracją, miłość uskrzydla, miłość, powiadają, nauczy osła tańczyć kadryla. Ani na chwilę nie ustawała między nami walka. O, jakaż była napastliwa! Zasypywała mnie przycinkami do mego koślawego, krzywego nosa albo do wielkiej, szerokiej paszczęki, gdzie, jej zdaniem, można by jak w piecu kuchennym upiec pasztet, a także do mej szewskiej brody; słowem, drwiła z całej mej postaci, która, wedle opinii proboszcza, sporządzona miała być na obraz i podobieństwo Stwórcy. Nie dawała mi ani na chwilę spokoju, a ja, naturalnie, także nie pozostawałem jej dłużny.

Walka przeciągała się i rozgrzewała coraz bardziej oboje. Czy pamiętasz, stary Colasie, winobranie u mistrza Medarda Lagneau? Łasiczka została zaproszona. Pracowaliśmy obok siebie, dotykaliśmy się głowami, a ręka ma, szukając grona, chwytala czasem — przez omyłkę — jej pośladek lub łydke. Podnosiła wtedy zarumienioną buzię i dawała mi mocnego klapsa w gębę albo znów obryzgiwała mi nos okiem. W zamian wyszukiwałem największą i najczarniejszą jagodę i rozduszałem na jej złocistym, słońcem opalonym karczku. Broniła się jak sam diabeł. Ścisakałem ją parę razy w objęciach, ale zawsze nadaremnie. Śledziliśmy się wzajem. Podniecała ogień i przyglądała się z szelmowską miną, jak płonę, a przy tym pokazywała mi figę.

— Nie będę twoją, Colasie!

Przymrużałem oczy jak kotek skromny, wygrzewający się na murze, który przez szczelinę półotwartych źrenic śledzi biegającą myszkę, i odpowiadałem:

— Zobaczymy, zobaczymy...

Raz po południu (jakoś pod koniec maja) parno się robiło. Z pobladłego nieba, niby z gorącego pieca, szedł ku ziemi żar niezmierny. Od kilku dni zbierało się na burzę, ale deszcz nie chciał spaść. Ludzie potnieli, heble oblane były wodą, a koszula lepiła mi się do ciała. Łasiczka śpiewała przed chwilą, teraz ucichła. Szukałem jej oczyma. W ogrodzie — nikogo. Nagle zobaczyłem ją w cieniu chaty. Siedziała, na poły leżąc, z głową przechyloną do tyłu. Spała. Jedno ramię zwisało z polewaczki. Widocznie obezwładnił ją nagle sen.

Leżała bezbronna, półnaga, nieruchoma, gotowa do bezwiednego oddania się jak Danae¹⁴³. Poczulem w sobie moc Jowisza¹⁴⁴. Przeskoczyłem przez mur i depcąc w biegu kapustę i salatę, wziąłem ją w ramiona. Całowałem jej usta. Gorąca, naga, okryta potem, na poły śpiąca, poddawała się, przepojona pożądaniem rozkoszy. Nie otwierając oczu, szukała ustami moich ust, oddając mi pocałunki.

Burza huczała we mnie. Byłem pijany, szal mnie porwał, ogarniałem sobą to kochane ciało, dziękując losom, że oto gołąb pieczony wpada mi w usta. I nagle (cóż za bałwan ze mnie!) uczulem, że brak mi odwagi. Porwały mnie głupie skrupuły. Kochałem ją tak bardzo, że nie mogłem ścierpieć myśli, iż oto jeno bezwład snu mi ją daje, że tylko ciało, a nie duszę dumnej ogrodniczki trzymam w ramionach i posiąść ją mogę jeno zdradą.

Wyrwałem się, rozplotłem jej ramiona, ucałowałem usta. Ileż mnie to kosztowało, ale zwyciężyłem, to jest: uciekłem. Już temu trzydzieści pięć lat, a dotąd rumienię się, ile razy o tym wspomnę. Ach, młodość, głupota, bezdenne głupota!

Od tego dnia szatan ją opętał. W stosunku do mnie stała się wprost niemożliwa, dziwaczna, kapryśna, zmieniała się co chwila, jak chmury na niebie. Raz okazywała mi pogardę bolesną, to znów udawała, że mnie nie dostrzega wcale, innym razem wodziła za mną rozkochanym, pożądliwym spojrzeniem, słała mi czarowne uśmiechy albo, ukryta za drzewem, rzucała we mnie, ile razy się obróciłem, grudkami ziemi, to znów dostawałem w nos pestką ze śliwki. Wreszcie podczas przechadzki chichotała, szczebiotała, kokietowała tego i owego.

Najgorsze było to, że celem tym lepszego dokuczaniu mi wzięła w sidła drugiego wróbla, a był nim mój serdeczny przyjaciel, Quiriace Pinon. Byliśmy ze sobą jak dwa

Erotyzm

Sen, Pocałunek, Pożądanie

Przyjaźń

¹⁴³Danae (mit. gr.) — królowna z Argos, zamknięta przez ojca w wieży, za sprawą Zeusa, który przyjął postać złotego deszczu, została matką Perseusza. [przypis edytorski]

¹⁴⁴Jowisz a. Jupiter (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

palce u jednej ręki. Niby Orestes i Pylades¹⁴⁵, nie rozstawaliśmy się nigdy i w każdej bójce, uroczystości, zabawie, w mocowaniu, wyzwaniu na pięści czy słowa zawsze braliśmy udział razem. Quiriace był krępy, sękaty jak dąb, miał kark byka i podobny umysł: prosty, ograniczony, ale szczery. Zabiłby każdego, kto by mi chciał szkodzić. I jego to wybrała łasiczka na swe narzędzie.

Nie miała wiele trudu. Starczyło rzucić cztery zalotne spojrzenia i zrobić tuzin zwyczajnych miniek, a więc: minkę niewinną, pożądlivą, bezczelną, potem zaśmiać się, poszeptać, zrobić słodki dziobek, spuścić powieki, zamrużyć, pokazać ząbki, przygryźć wargi, oblizać się spiczastym języczkiem, pokręcić szyjką, zakołysać się w biodrach, podnieść trochę kuperek, jak pliszka... I już po wszystkim! Czyż jest mężczyzna, który by się oparł pokusom córki szatana?

Pinon stracił tę resztkę rozsądku, która mu jeszcze pozostała, i odtąd obaj wystawialiśmy u muru, gapiąc się na łasiczkę. Nim przyszło do słów, zamienialiśmy wściekle spojrzenia. Łasiczka, chcąc podsyć płomień, często gęsto polewała go z koneweczki lodowatą wodą. Widząc to, śmiałem się, ale Pinon był osłem, wierzgał tedy, ryczał z gniewu, kłął, odgrażał się i wrzeszczał. Nie mógł zrozumieć innego żartu oprócz swojego. (Niestety, na żartach Pinona prócz niego samego nikt się jakoś poznać nie umiał, nic mu to jednak nie przeszkadzało i śmiał się za wszystkich).

A donzella¹⁴⁶ delectowała się tymi obelgami głuptasa jak mucha mlekiem i rzucała mu spojrzenia pełne obietnic i pełne powabu uśmiechy. Gdy jednak prostaczek chciał wyciągnąć konsekwencje i rozwijając sztandary, rzucał się do ofensywy, łasiczka śmiała mu się w nos i odprawiała z kwitkiem. Śmiałem się, oczywiście, także, a Pinon, zagniewany, przeciw mnie kierował swą wściekłość. Był pewny, że mu chcę dziewczynkę sprzątnąć sprzed nosa, toteż pewnego dnia poprosił mnie zupełnie formalnie, bym mu ustąpił miejsca. Odparłem słodkim głosem:

— Bracie, właśnie chciałem się zwrócić do ciebie z tą samą prośbą.

— A więc, drogi bracie — odparł Pinon — jeden z nas musi zginąć!

— To prawda, drogi Pinon — rzekłem — ale sprawiłoby mi to ogromną przykrość.

— To samo ja myślałem, drogi Breugnon! Dlatego też proszę cię, idź sobie! Dosyć jednego koguta w tym kojcu!

— Racja! Właśnie dlatego idź sobie ty, bowiem kokoszka jest moja!

— Twoja? Kłamiesz, pokrako! Jest moja, mam ją i nie dam nikomu!

— Drogi chłopcze! — odparłem. — Zapomniałeś chyba, jak wyglądasz, byczku z Owernii¹⁴⁷. Siano w sam raz dla ciebie, chrupkie zaś to ciasteczko przeznaczone jest dla moich burgundzkich zębów. Nie masz tu co robić, idź się paść na łąkę.

Od słowa do słowa przyszło do starcia na pięści. Ale czuliśmy obaj wyrzuty sumienia, gdyż kochaliśmy się szczerze.

— Słuchaj, Breugnon — prosił — ustąp, ona woli mnie!

— Nie, mnie woli! — oświadczyłem.

— A więc spytajmy jej samej. Odrzucony pójdzie sobie precz!

— Zgoda! Niech wybiera!

Ale czyż warto pytać się dziewczyny o wybór, gdy cały urok leży właśnie w tym przeciąganiu decyzji? Ma zawsze czas, waży, rozważa zalety i wady tego, to znów tamtego, wysmaża na rożenku obu galantów¹⁴⁸, wreszcie odwraca się od obu. Oczywiście, nie zdało się na nic owo pytanie. Łasiczka odpowiedziała wybuchem śmiechu.

Wróciliśmy do warsztatu i zdjęliśmy surduty.

— Ha, trudno, jeden z nas musi zginąć!

W chwili gdyśmy się mieli porwać za łby, Pinon powiedział:

— Pocałuj mnie!

Ucałowaliśmy się z dubeltówki.

— A teraz do roboty!

¹⁴⁵ *Orestes i Pylades* (mit. gr.) — słynna para wiernych, nierozłącznych przyjaciół, kuzynów, którzy wspólnie się wychowywali, a później razem stawiali czoło niebezpieczeństwom. [przypis edytorski]

¹⁴⁶ *donzella* a. *donzela* (daw., z wł.) — panna; pannica, damulka. [przypis edytorski]

¹⁴⁷ *Owernia* — wyżynny, ubogi region rolniczy w środkowej Francji. [przypis edytorski]

¹⁴⁸ *galant* (daw.) — mężczyzna odznaczający się wyszukaną uprzejmością, szczególnie w stosunku do kobiet; tu: zalotnik, adorator. [przypis edytorski]

Zaczął się taniec jak należy. Było na co patrzeć, choćby za biletami. Pinon usiłował wgnieść mi czaszkę tuż nad oczyma, ja zaś starałem się rozpruć mu brzuch kolanami. Nikt się tak serdecznie nie bije jak przyjaciele! Za chwilę obaj ociekaliśmy krwią, która się nam obficie lała z nosów, i doprawdy nie wiem, czy któryś nie byłby naprawdę oddał ducha, gdyby nie sąsiedzi oraz majster Medard Lagneau. Wpadli i rozdzielili nas, co jednak nie było rzeczą łatwą. Musiano nas jak psy skrapiać wodą, gdyż żaden nie chciał puścić kości. Lagneau wziął od jakiegoś woźnicy bat i smagał, gdzie popadło, wiedząc, że Burgund musi dostać baty, by wrócił do równowagi.

To nareszcie odniosło skutek. Po bitce wszystko się nam obu jakoś wyklarowało w głowach. Spoglądaliśmy na siebie wzajem zawstydzeni, a wówczas zbliżył się do nas Jan Giffard, wysoki, rudy, krągły na gębie młynarz o świdrowatych oczkach, i takie nam palnął kazanie:

— Głupie koguty! I cóż wam z tego przyjdzie, że sobie powyrywacie grzebienie, pióra i powydrapujecie oczy? Czy sądzicie, że któryś z was dostanie kwoczkę? Nieprawda! Wiedzicie przecież sami, że was kpi, radując się tylko z waszej bójki. Każda samiczka przepada za tym, by włóczyć za sobą czeredę adoratorów, którzy ją obwążują ze wszystkich stron. Czy chcecie dobrej rady? Oto odwróćcie się obaj na pięcie i idźcie sobie precz! To jej zada bobu¹⁴⁹... Widząc, że traci jednego i drugiego, będzie się musiała zdecydować. A więc... Marsz! Ruszajcie natychmiast, nie tracąc ni chwili! Trzeba to przeciąć od razu! Dalejże za mną! Chcę wam pomóc z serca, przeto gdy będziecie wędrować po kraju, ja tymczasem nie spuszcze oka z damulki, dowiem się, którego oplakuje, i nie omieszkam zawiadomić zwycięzcy. Drugi wtedy uczyni, co chce. Tak będzie najlepiej! A teraz chodźmy popić. Nie ma jak wino, gdy człowiek musi topić zmartwienie i pamięć.

Tak dokładnie topiliśmy swe nieszczęście, że straciliśmy zupełnie zastanowienie i, działając jakby pod przymusem, tegoż jeszcze wieczora, spakowawszy tłumoczek i ujawszy laski, ruszyliśmy w ciemną bezksiężycową noc, unosząc w sercach wielką wdzięczność dla zacnego Giffarda. Nie spostrzegliśmy nawet, że oczka młynarza, błyszczące na okrągłej jego twarzy, na poły skryte pod fałdzystymi powiekami, jaśniały radością, której wprost ukryć nie był w stanie.

Nazajutrz rano zmienił się znacznie nasz nastrój. Nie przyznając się sobie do tego upadku ducha, nadrabialiśmy minami. Ale każdy myślał, rozważał i coraz bardziej zdumiewał się genialną wprost taktyką wspólnego przyjaciela i doradcy. Wszakże pozbył się w ten sposób obu i został sam w kojcu! Około południa obaj byliśmy bliscy rozpacz. Wieczorem śledziliśmy się wzajemnie spod oka, rozmawiając jednocześnie niedbale i obojętnie o deszczu i o pogodzie. Każdy zaś myślał: „Ślicznie mówisz, przyjacielu. A mimo to rad byś mnie puścić w trąbę i sam wrócić do domu. O, nie, nic z tego! Kocham cię zbyt gorąco, by cię zostawić samego! Nie, nie, będę wstępował w twoje ślady”.

Po rozlicznych fortelach, by się wzajemnie podejść (nie opuszczaliśmy się ani na moment, nawet kiedy jeden z nas chciał sobie ulżyć), położyliśmy się wreszcie spać i każdy udawał, że chrapie. Ale gryzła nas słoma, miłość i pchły. Pinon pierwszy wyskoczył z łóżka i zawołał:

— Na miłość boską, dość tego! Nie wytrzymam! Szlag mnie trafi! Wracam do domu, i basta!

— Dobrze — odpowiedziałem. — Wracajmy!

Przez cały następny dzień szliśmy pośpiesznie ku domowi. Słońce właśnie zachodziło, gdyśmy się znaleźli pod miastem. Ale nie chcąc się wystawiać na szyderstwa przechodniów i znajomych, ukryliśmy się w pobliskim lesie, by tam doczekać nocy. Prócz tego chcieliśmy przyłapać łasiczkę na płaczu, wyrzekaniu, wyrzutach sumienia itp. „Opuściłeś mnie, najdroższy! Nie ma cię!”

Z pewnością wzdychała i gryzła palce z rozpacz. Ale kto jest ten najdroższy? Każdy mówił sobie: „To ja...”.

Skradając się po cichutku, dostaliśmy się pod mur ogrodu. (Lekki niepokój obudził się w naszych sercach). Dom był obłany światłem księżyca. U okna łasiczki zwiśla gałąź jabłoni, a na niej... Czyż to jabłko? Nie... Boże wielki... To kapelusz młynarza! Czyż mam opowiadać, co potem nastąpiło? Nazbyt przypadłoby wam to do gustu, dobrzy ludzie.

¹⁴⁹zadać komuś bobu — dać komuś nauczkę, dokuczyć komuś. [przypis edytorski]

Widzę wasze miny, żartownisie; nieszczęście sąsiada służy tylko waszej rozrywce. Rogacze są zawsze radzi, gdy przybywa im kompan...

Quiriace, niby ranny daniel, rzucił się naprzód jelenim skokiem (miał przecież nawet rogi), znalazł się na murze, potem na jabłoni i wpadł oknem do izby, skąd niebawem rozległy się straszliwe wrzaski, jęki, skowyty zarzynanego cielęcia, klątwy...

— Drabie! Zbóju! Kanalio! Oszuście! Na pomoc! Ratunku! Rogalu! Obłudniku! Wi-sielcze! Łobuzie, dam ja ci! Uszy obetnę! Wyprawię ci skórę! Nauczę moresu! Zabiję jak psa! Policja!... Gwałtu!...

Łomot, trzask, lecą szyby, dźwięczą tłuczone garnki, dudnienie padających na ziemię ciał, trzask mebli, pisk i lament kobiety, wycie psów...

Łatwo pojąć, że te wrzaski zbudziły wszystkich i cała dzielnica zbiegła się pod okno domu łańszki. Nie czekałem na ciąg dalszy, widziałem już dosyć. Zawróciłem w stronę, skąd przybyliśmy dopiero co. Jedno oko się śmiało, drugie płakało, nos był spuszczone na kwintę, a uszy położyłem po sobie.

— A to ci się udało, Colasie — powtarzałem raz po raz.

W głębi duszy byłem smutny, ale udawałem wobec samego siebie kpiarza. Przypomniałem sobie całą awanturę, naśladowałem to jedno, to drugie: młynarza, to znów dziewczynę, wzdychałem przy tym ciężko, jakbym zamierzał wyzionąć ducha.

— Niestety — mówiłem sobie. — To takie zabawne, że można zdechnąć ze śmiechu... nie, raczej z bóleści. I omal mnie ta szelma nie wzięła pod małżeński pantofel. Ładne bym nosił rogi! Chociaż, czyż nie opłaciłoby się? Zawsze bym ją miał, chociaż... O Dalilo¹⁵⁰, Dalilo, tromtididara!

Przez dwa tygodnie wahałem się tak między śmiechem a płaczem. Na mojej krzywej gębie malowała się cała mądrość starożytnych: raz podobny byłem do płacznego Heraklita¹⁵¹, to znów do śmiejącego się filozofa Demokryta¹⁵². Ludzie byli bez litości i kpili sobie ze mnie w żywe oczy. Czasem na myśl o mojej ukochanej pragnąłem własnej zguby. Ale chwile takie nie trwały długo. Na niebo! Pięknie jest kochać, byleby nie ginąć z owej miłości. Łaskawi państwo, my, Burgundowie, jesteśmy ludzie czynu. Niewiele posiadamy wspólnego z bohaterami romansów. Nikt się mnie nie pytał, czy chcę przychodzić na świat, i pewnie, że byłbym z tej przyjemności zrezygnował, gdybym mógł. Ale żyję, a przeto trzeba się liczyć z tym faktem, potrzebuję świata, a świat mnie. Gdy się jest Burgundem, nie ma czasu myśleć o śmierci. Dobry czy zły, nie opuścimy go z własnej woli, trzeba nas dopiero wypraszać za drzwi. Wino ściągnięte, wypijmyż je więc. Skoro wypite, ssajmy nowe z naszych piersistych pagórków. Po jakichś pięciu czy sześciu miesiącach, w miarę mijania czasu, zbyt ciężkie na me siły brzemień bólu nareszcie zostało gdzieś na drugim brzegu i powiedziałem: „Wyobraź sobie, żeś ją posiadał!”

O, kochana, śliczna łańszka! Nie, nie, mimo wszystko nie mogę sobie tego wyobrazić. Posiadł ją Giffard, ten wór mąki; Giffard, z głową jak arbuz, pieści i bawi się z nią już od lat trzydziestu przeszło. Trzydzieści kilka lat. Mój Boże, chyba zaspokoił pierwsze pragnienie! Jak mi mówiono, nie posiada go zresztą od owego pamiętnego dnia, kiedy był zmuszony ją poślubić. Dla takiego łakomca smakołyk raz połknięty traci wszelki powab.

Zresztą młynarz nie miał zgoła małżeńskich zamiarów i gdyby nie awantura wywołana przez Pinona, jego gruby paluch nie byłby trafił nigdy w małą obrączkę łańszki. Teraz jednak musiał nastąpić ślub. Wpadł w potrzask: chcąc schwycić dziewczynę, przyciął sobie ogon. Złapali się tedy wszyscy: on, ona i... ja! Śmiej się więc, Breugnon, jest z czego!

*

Właśnie kiedy się zaśmiałem, ujrzałem w odległości dwudziestu pięciu kroków, w głębi szpaleru drzew (Boże wielki, czyż podobna, bym gadał przeszło dwie godziny?), dom

¹⁵⁰ *Dalila* (bibl.) — kochanka biblijnego Samsona, która podstępem obcięła mu włosy, a tym samym pozbawiła siły, po czym wydała wrogom. [przypis edytorski]

¹⁵¹ *Heraklit z Efezu* (ok. 540–ok. 480 p.n.e.) — filozof grecki, zaliczany do jońskiej szkoły filozofii przyrody; z powodu niejasnego stylu, pesymizmu i niechęci do ludzi nazywany „mrocznym” lub „płaczącym” filozofem. [przypis edytorski]

¹⁵² *Demokryt z Abderi* (ok. 460–ok. 370 p.n.e.) — filozof grecki, współtwórca pierwszej atomistycznej teorii budowy świata; z powodu swojego pogodnego usposobienia znany jako „śmiejący się filozof”. [przypis edytorski]

o czerwonym dachu, zielonych okiennicach i białych ścianach okrytych szczelnie liśćmi winorośli. Drzwi były otwarte, a przed nimi ujrzałem pod rozłożystym orzechem, u studni ujętej w kamienne obramowanie, znaną mi, ach, jak dobrze znaną (choć od tyłu lat niewidzianą), kobietę, która czerpała wodę. Na ten widok nogi się ugięły pode mną.

Omaliem nie uciekłem. Byłbym to uczynił, ale patrzyła na mnie! Spoglądała spokojnie, nie przestając czerpać wody. I oto nagle... Poznała mnie! Nie uczyniła jednego gestu, nie wydała okrzyku. Duma nie pozwalała na to; tylko wiadro wysliznęło jej się z rąk i wpadło do studni. Gdy się zbliżyłem, powiedziała:

- A skądże to Bóg prowadzi?
- Widzę, że czekałaś na mnie! — odparłem pyszałkowato.
- Głupstwa pleciesz! Zapomniałam już, jak wyglądasz!
- Dalibóg, ja także! A to doskonale, wszystko tedy w porządku.
- No i cóż?

Staliśmy naprzeciw siebie. Miała ramiona mokre od wody, stała, ujawniając się pod boki, a ja również podparłem się i przybrałem swobodną postawę. Patrzyliśmy na siebie, nie widząc się jednak. Wiadro w studni napełniało się z wolna wodą.

- Wstąp na chwilę! — powiedziała.
- Chyba na minutkę. Śpieszno mi!
- Dobrze, dobrze. Cóż cię tu sprowadza?
- Mnie? Ależ nic! — zawołałem. — Ot tak, zrobiłem sobie spacer.
- Więc jesteś bogaty?
- O tak, pieniędzy wprawdzie nie posiadam, ale fantazji co niemiara!
- Nie zmieniłeś się! Zawsze taki sam wariat z ciebie! Już ten się nie wyleczy, kto dzieckiem¹⁵³ mówił od rzeczy!

Weszliśmy w podwórze. Zamknęła wrota. Staliśmy zupełnie sami wśród rozgdakanych kur. Wszyscy ludzie z fermy byli w polu. Nie wiedząc, co robić, podeszła do drzwi stodoły, zatrzasnęła je (czy też otworzyła, nie wiem sam) i zburczała biednego Medora. Ja także, chcąc przyjść do siebie, zacząłem gadać o jej domu, kurach, gołębiach, kogucie, psie, kocie, kaczkach, prosięciu. Byłbym wyliczył, gdyby nie przerwała, całą arkę Noego. Nagle ozwała się:

- Breugnon...
- Zatkało mi oddech.
- Breugnon! — powtórzyła.
- Patrzyła mi w oczy, potem rzekła:
- Pocałuj mnie.

Nie dałem się prosić! Gdy się jest tak starym, można sobie pozwolić. To nawet czasem dobrze robi. (Zawsze dobrze robi). Uczułem na swych szorstkich, pomarszczonych policzkach zwiędłe policzki Celiny i nagle rozjaśniły mi się oczy, łzami wezbrane. Uczułem teraz dopiero łzy, ale oczywiście nie rozplakałem się.

- Broda twoja kłuje! — powiedziała.
- Szkoda, iż nie wiedziałem rano, że cię będę całował — odparłem — byłbym się ogolił. Przed trzydziestu laty broda moja była miękka, a wówczas chętnie by się też była otarła o twą okrągłą rumianą buzię!
- Więc myślisz o tym jeszcze?
- Nie, nie myślę nigdy!

Spojrzelśmy na siebie i roześmialiśmy się oboje. Żadne za nic nie byłoby teraz spuściło oczu.

— Zuchwalcze! Uparciuchu! Hołodrygo¹⁵⁴ jeden, jak podobniśmy byli wówczas do siebie wzajem! Upór nie opuścił cię dotąd; widzę, że nie chcesz się starzeć! Co prawda, mój drogi Breugnon, nie wyładniałeś wcale, masz woreczki pod oczyma, koślawy nos wydał ci się jeszcze bardziej, ale ponieważ nie byłeś nigdy piękny, przeto strata niewielka. Nie wylazł ci ni jeden włos z głowy, stary urwpołciu! Tu i ówdzie tylko przegląda srebrna nitka.

Odpowiedziałem:

¹⁵³dzieckiem — tu: będąc dzieckiem; w dzieciństwie. [przypis edytorski]

¹⁵⁴hołodryga (gw.) — oberwaniec, chłystek. [przypis edytorski]

— Głupia głowa nie łysieje!
 — Co tam wam, mężczyznom! Nie tracie się nigdy, używacie życia, i tyle. Za to my, kobiety, starzejemy się za was i za siebie. Spójrz na mnie, wszakże jestem zupełną ruiną. Gdzie się podziało moje jędrne ciało, tak miłe dla oka, a miłsze jeszcze do pieszczoty, ponętny karczek, piersi, biodra, młeczna cera twarzy, słowem, wszystko, co mnie czyniło podobną do wonnego, dojrzałego owocu? Ach, wszak przepadło... Nie wiem, czy poznałbyś mnie, spotkawszy gdzieś na targu?
 — Byłbym cię poznał wśród tysięcy kobiet, i to z zamkniętymi oczyma!
 — Z zamkniętymi? Tak, może, ale z otwartymi trudniej. Spójrz na zapadłe policzki, bezzębne szczęki, nos cienki, suchy, podobny do haka, zaczerwienione oczy, zwiędły kark, zwiotczałe, wyschłe piersi, nieforemny brzuch...
 Odparłem (tak było, niestety, jak mówiła):
 — Pamiętasz przysłowie? Nie odmienisz swego lica, co łasica, to łasica!
 — Więc nie dostrzegasz zmian?
 — Mam dobre oczy, łasiczko!
 — Ach, w cóż się zmieniła twoja łasiczka! — westchnęła ciężko.
 — Biegła tędy, pamiętam, teraz gdzieś się ukryła, ale nie zapomnę nigdy jej ostrego pyszczka, świdrujących, szelmowskich oczu, tak kpiących, a tak powabnych jednocześnie. Odpychała i przyciągała do swej jamy.
 — Możesz wejść, szanowny lisie, nic nie zaryzykujesz, nie stracisz tu ogona w paści¹⁵⁵.
 Ho, ho, zawód miłosny nie zaszkodził, jak widzę, twej duszy!
 — Wiem, moja droga, że robaka utopić nie można. Wypływa zawsze.
 — Doskonale! Musimy dać pić robakowi.
 Weszliśmy do domu i zasiedli do stołu. Nie wiem już dobrze, co jadłem i piłem. Dusza moja była mocno zajęta, ale zęby i gardło pilnowały się same i nie traciły jednego kęsa ni jednego lyku. Patrzyła na mnie, oparłszy łokieć na stole, potem powiedziała szyderczo:
 — Mniej ci teraz dolega ból serdeczny?
 — Oczywiście, znasz przecież przysłowie:

Gdy cię serce boli,
 Najedz się do woli...
 Kosza da dziewczyna,
 Siądź, bracie, do wina!...

Umilkła, nie była już w stanie kpić. Ja bufonowałem dalej, plotłem kosałki opałki, ale oczy nasze wpatrywały się w siebie wzajem, a dusze myślały o przeszłości. Nagle powiedziała:

— Breugnon... Czy wiesz? Nie powiedziałam tego nikomu. Teraz mogę już, bo przepadło. Oto kochałam ciebie jednego!

Odparłem:
 — Wiem o tym i wiedziałem...
 — Wiedziałeś, nicponiu! I czemuż mi tego nie powiedziałeś?
 — Przez samą chęć przekomarzania byłabyś powiedziała, że to nieprawda!
 — To i cóż? Czułam inaczej. Całuje się przecież usta, nie słowa, które z nich wychodzą!
 — Twe usta nie zadowalały się słowami. Byłem pod domem tej nocy, kiedyś wpuściła do swego młyna młynarza.

— To twoja wina. Młyn czekał na ciebie. Prawda, że i ja byłam winna, ale odpokutowałam to gorzko. Wiesz wszystko. Ale nie wiesz, że wzięłam go z rozpacz, dowiedziawszy się o twym odejściu. O, jakże pożałowałam ciebie. Pożałowałam ciebie onego już dnia, gdy mną wzgardziłeś.

— Ja wzgardziłem tobą?
 — Tak, tak, głuptasie. Spałam w progu domu. Przyszedłeś, a potem uciekłeś, odechnąwszy mnie z obrzydzeniem.

Wydałem okrzyk oburzenia, a potem wyjaśniłem jej powody.

¹⁵⁵paść — potrzask na zwierzęta; pułapka. [przypis edytorski]

— Rozumiem, rozumiem. Nie wysilaj się na tłumaczenie... Czemuż jednak nie starałeś się tego naprawić?

— Poprawię się!

— Cymbał z ciebie! Otóż za to pokochałam cię jeszcze mocniej i dlatego zaczęłam cię dręczyć. Nie mogłam tylko wiedzieć, że puścisz haczyk, zamiast połknąć (o, jacyż wy, mężczyźni, jesteście podli!).

— Bardzo dziękuję. Smaczny jest haczyk, ale go trudno strawić, bo psuje kiszki!

Roześmiała się kątami ust i mówiła dalej:

— Gdy się dowiedziałam o twojej bójce z tamtym byczkiem, prałam właśnie bieliznę w rzece. Powiedziano mi, że cię dusi (zapomniałam już, jak się zwał), rzuciłam przeto kijankę¹⁵⁶, którą porwał prąd, i depcąc bieliznę, przewracając kumoszki stojące mi na drodze, boso, pogubiwszy saboty, biegłam jak szalona. Chciałam krzyknąć: „Breugnon, durniu jakiś, co wyrabiasz, wiesz przecież, że cię kocham! Nie dajże sobie wyrwać kawałków ciała, bo chcę męża kompletnego, z wszystkimi członkami!”. Tymczasem cóż się stało? Oto ty, mój ukochany, polazłeś z tym nosorożcem do szynku, zapomniałeś zaraz, o co się biłeś, a potem pod rękę z przyjacielem poszedłeś sobie precz! (Podły to wilk, który ucieka przed owieczką!) Breugnon... w tej chwili znienawidziłam cię! Dzisiaj, oczywiście, wszystko wydaje mi się tylko śmieszne. Byłabym cię tego dnia odarła ze skóry i upiekła żywcem! Nie mogąc jednak ukarać ciebie, ukarałam siebie samą. Właśnie nawinął się młynarz. Wściekła, bezprzytomna ze złości, oddałam mu się. Tej nocy byłabym przyjęła każdego, wszystko jedno kogo! Dla jednego klienta sklepiku nie zamknę. Zemściłam się! Myślałam tylko o tobie przez cały czas, gdy on...

— Mów dalej...

— Gdy on... Mścił się na tobie za mnie. Myślałam sobie: „Niechże teraz przyjdzie i zobaczy! Dobrze ci tak, Breugnon...”. I przyszedłeś prędzej nawet, niż chciałam. Wiesz, co się stało potem. Na całe życie zostałam złączona z tamtym osłem z młyňa.

Zamilkła. Wówczas powiedziałam:

— Czy jesteś przynajmniej zadowolona?

— Ot, tak sobie! — odparła, wzruszając ramionami.

— Do licha! Dom ten mógłby być rajem.

— Tak, tak! — odparła i roześmiała się.

Zaczęliśmy mówić o czym innym, o polu, o ludziach, zwierzętach, dzieciach, ale co chwila wracaliśmy do dawnych wspomnień. Chciałam ją wtajemniczyć w szczegóły mego domowego życia, ale spostrzegłem (straszna jest ciekawość samiczek), że wie wszystko najdokładniej. Oczywiście kumoszki doniosły, jak zawsze. Zaczęliśmy rzucać przysłówia, kalambury, facecyci, aż do zachłyśnięcia. Co które ciasteczko wyszło z pieca, zostawało natychmiast połknięte na gorąco.

Śmiałem się do łez. Naraz, ocierając oczy, słyszę: bije szósta na pobliskim kościele.

— Ho, ho, muszę już iść! — powiedziałem.

— Jeszcze masz czas!

— Niedługo wróci twój mąż. Nie mam ochoty widzieć się z nim!

— Ani ja! — odparła szczerze.

Przez okno kuchni ujrzałem, że cienie zaczynają się już ślać po łące. Skośne promienie wyzłociły tysiące czubów traw, ziół i krzewów. Po wygładzonych kamykach toczył się strumień. Krowa lizała z zapalem korę wierzby, opodal stały dwa konie. Jeden kary z gwiazdką na czole, drugi szpak, pięknie znaczony w jabłka ciemne. Stały, oparłszy na sobie głowy, zapadły w rozmarzenie wieczorne, syte i ciche. Zapach kwiatów szedł falą... Było tak słodko. Spojrzałem na talerzyk z przysmakiem burgundzkim, galaretką porzeczkową, i powiedziałem:

— Jakże tutaj dobrze!

Wzięła mnie za rękę i odparła:

— Mogło być tak przez całe życie...

Przyszło mi na myśl, że nie powinienem jej zostawiać rozżalonej, przeto zacząłem:

Miłość, Rozpacz, Zemsta

Natura

¹⁵⁶kijanka — tu: deseczka służąca do prania w rzece, używana dawniej na wsi; kijanką uderzało się bieliznę, w bieżącej wodzie rzeki wypłukując brud. [przypis edytorski]

— Ej, droga łasiczko, może to i lepsze, co się stało! Zważmy, że właściwie niewiele straciłaś. Dobrze by nam było ze sobą przez kilka pierwszych dni. Ale życie całe... cha, cha, cha! Znam ja siebie dobrze, oj znam i powiadam ci: miałabyś mnie dosyć! Jestem wartogłów, próżniak, pyszałek, pijaczyna, obzartuch, gaduła, uparciuch, złośliwiec, kłótnik, marzyciel, choleryk, lunatyk! Słowem, droga łasiczko, byłabyś wprost nieszczęśliwa i mściłabyś się na mnie za swe rozczarowanie. Gdy o tym pomyślę, włosy mi stają dęba na głowie. Bóg wie, co robi! Mówię ci, lepiej się stało!

Patrzyła na mnie poważnie i odrzekła po chwili, podnosząc głowę:

— To prawda. Wiem o tym, jesteś wielkim nicponiem! (Była zgoła innego zdania). Założę się, że bilbyś mnie, a ja bym ci przyprowadziła rogi. Ale to bicie i te rogi to rzecz ludzka; czyżby jednak nie lepiej było, gdyby się tak stało?

— Zapewne — odparłem — zapewne...

— Mówisz to z wahaniem?

— O nie, nie! No, ale trudno, musimy się obejść jakoś bez tych przyjemności.

Wstałem i powiedziałem na zakończenie:

— A więc nie żałuj niczego, droga łasiczko! Pamiętaj, że czyśmy się kochali, czy nie, to teraz rzecz bez znaczenia. Minęło, przeszło... A to, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr!

— Kłamco szkaradny! — zawołała.

(I miała rację!)

*

Pocałowałem ją i ruszyłem w drogę. Biegła za mną spojrzeniem, oparta o uszak drzwi. Przed nami stał się cień wielkiego kasztana. Nie oglądałem się, dopóki nie dotarłem do zakrętu drogi, by być pewnym, że odwróciwszy się, nie dojrzę już niczego. Wówczas stanąłem i nabrałem tchu w piersi. W dali, na łące, ryczały białe woły.

Ruszyłem dalej i chcąc skrócić sobie drogę, opuściłem gościniec, potem dostawszy się na wzgórze, skierowałem się przez winnice i nareszcie zatonałem w lesie. Co prawda, droga tamtędy nie mogła mnie zawieść prędko do domu, gdyż oto w pół godziny później zauważyłem, że stoję ciągle na skraju lasu pod konarami dębu i przedrzeźniam sroki. Nie wiedziałem zgoła, co czynię. Myślałem i myślałem bez końca. Różowe dotąd niebo przygasalo. Patrzyłem, jak nikły refleksy na drobnych, młodych listkach winorośli, połyskliwych, niby lakierowanych, soczystych i przysutych¹⁵⁷ złotem. Słowik zaczął śpiewać. Drugi słowik, skryty w mej pamięci, w głębi osmutniałego serca, odpowiadał mu. Wspomniałem wieczór podobny. Byłem razem z moją dziewczyną. Wstępowaliśmy na wzgórze pokryte winnicami. Byliśmy młodzi, weseli, rozgadani i rozchichotani. Nagle, nie wiem, co zaszło w powietrzu. Trudno powiedzieć, czy był to ton dzwonu wieczornego, tchnienie ziemi, co się przeciąga o wieczorze, wzdycha i szepce: „Chodź do mnie”, czy też upojna melancholia płynąca z księżyca... Zamilkliśmy oboje i nagle, tknięci tym samym uczuciem ujęliśmy się za ręce i nie rzekłszy słowa, nie patrząc na siebie, zakrzepiliśmy w bezruchu. W momencie tym uniósł się spośród winnic, objętych mrokiem wiosennej nocy, śpiew słowiczy. Ukryty pośród gęstwy winogrodu¹⁵⁸ — witki jego wydłużały się na wszystkie strony, szukając czegoś, by się okręcić — słowik, który nie mógł zasnąć, nucił z pełnej piersi starą, prastarą słowiczą kantylenę miłosną:

Winnica rośnie, rośnie, rośnie.

Przedziwna moc!

Nie śpię ni w dzień, ni w noc —

O wiośnie...

Uczułem drgnienie ręki mojej łasiczki i zrozumiałem, co znaczy: Biorę cię i wzięta jestem. Winnica rośnie i witki łączą nas!

¹⁵⁷przysuty (daw.) — przysypyany. [przypis edytorski]

¹⁵⁸winograd (daw.) — winorośl. [przypis edytorski]

Rozstanie

Natura, Wspomnienia,
Ptak

Zeszliśmy ze wzgórza. Czując, że wracać trzeba, rozłączyliśmy się. I od tej pory byliśmy w rozłące. Ach, słowiku, ty śpiewasz ciągle dalej. I dla kogóż to, powiedz, winnico, rośniesz co wiosny? Komuż to sposobisz więzy miłosne?

Noc zeszła, ja stałem z zadartym w niebo nosem, wsparty pośladkiem na lasce, niby dzieciół na ogonie, i gapilem się na czub drzewa, na szczycie którego zakwitł księżyc. Staralem się otrząsnąć z czaru, co mną owładnął, i nie mogłem. Niezawodnie, drzewo spętało mnie kręgiem swego cienia, tak że zatraciłem drogę i ochotę odnalezienia tej drogi. Okrążyłem dąb raz, dwa razy, trzy razy, krążyłem ciągle wkoło i wreszcie znalazłem się, niby przykuty łańcuchem, na tym samym miejscu.

Wówczas powziąłem postanowienie i wyciągnąwszy się na trawie, zająłem na noc komnatę w gospodzie „Pod Księżycem”. Ale niewiele spałem w onej oberży. Przeżywałem melancholijnie życie swoje. Myślałem nad tym, czym by mogło być, dumałem nad straconymi marzeniami młodości. Boże, ileż smutku znaleźć można na dnie przeszłości w nocnych godzinach, kiedy duszę niemoc owładnie! Człowiek czuje się biedny i nagi, kiedy przed starcem zgorzkniałym staje postać młodzieńca okryta dostatnią szatą nadziei!... Czynilem przegląd rachunków i pomyłek oraz liczyłem marny dorobek zamknięty w szkatułce życia. Oto mam żonę, nieładną wcale i w tejże samej mierze dobrą. Synowie są daleko, mają zgola inne myśli, a ze mnie posiadają tylko materiał cielesny. Dumałem nad zdradą przyjaciół, szaleństwami ludzkimi, krwawo znaczącymi się systemami religijnymi, domowymi wojnami. Ujrzałem Francję rozdartą na części, marzenia ducha mego, dzieła dłuta zrabowane i poniszczone; życie me zdało mi się zmienione w garść prochu, czułem nadpływający wiew śmierci... Plakałem z cicha, oparłszy usta o pień drzewa, zwierzałem mu się z utrapień i wciskałem się pomiędzy jego korzenie, jakby pomiędzy ramiona ojca. Czułem, że mnie słucha. I niewątpliwie mówiło potem do mnie i pocieszało mnie, bo kiedy zbudziłem się w kilka godzin później, leżąc nosem w trawie i chrapiąc głośno, z melancholii mej nie zostało ni śladu. Czułem jeno jakiś ucisk w sercu i odrętwiałość w nogach.

Słońce wstało. Drzewo pełne ptaków śpiewało donośnie. Spływała zeń pieśń niby sok z grona ściskanego w rękach. Gaworzyły jak najęte wszystkie ptaki. Znalazła się tu zięba i gil, i dzieciół, i szara piegża, co szczebioce, i kos, którego miłuję najbardziej, albowiem nic sobie nie robi z mrozu, wiatru ni deszczu, a ciągle się śmieje, zawsze zadowolony, pierwszy zaczyna śpiewać od świtu i drze się do nocy. Lubię go, gdyż jak ja, ma dziób zarumieniony trochę. Ach, jakże się rozkrzyczała ta hołotka kochana! Wyzbyła się strachów nocnych. Noc jest to wielka zdrajczyni zarzucająca co wieczora na ptactwo sieć ogromną. Dławiąc się ciemnością, myślą: „Któż z nas zginie?”. Ale skoro się jeno rozedrze zasłona nocy, wrzeszczą ucieszone: „Fari rarira”, a gdy błądy uśmiech dalekiej zorzy zarumieni zlodowaciałą twarz i pobladłe wargi życia, drą się rozkosznie: „Oj ty, oj ty, la lai, la, la ladori, la rifl...” Jakimż wrzaskiem, jakim uniesieniem miłosnym święcą powrót dnia! Zapomniane wszystkie utrapienia, obawy, strachy, sen w chłodzie, ciemność nocy... Oj ty... Wszystko poszło w niepamięć. O dniu, dniu nowy! Naucz mnie, kosie, twojej sztuki odradzania się o brzasku każdego dnia wciąż z jednaką wiarą.

Kos świstał i śpiewał ciągle, a jego pełna mocy ironia rozweseliła mnie. Przykucnąwszy na ziemi, świstałem z nim w zawody.

Nagle ozwała się skryta w głębi lasu kukulka.

— Kuku biała, kuku czarna, kuku szara, niwernejśka kuku, a kuku na buku...

Wstając, machnąłem koziołką, a zając, który właśnie nadbiegł, poszedł w me ślady. Roześmiał się, miał od ciągłego śmiechu rozszczępioną wargę. Wstałem i ruszyłem w drogę, śpiewając na całe gardło:

— Wszystko się wybornie ściele, przyjaciele, światów, jak nasz, niewiele. Kto pływać niezdolny, rzecz oczywista, tonie jak glista. Zmysłów pięć niby okna otwarte szeroko, świat płynie przez mą duszę, me serce i oko. Zaliż mam się na świat dąsać, że ze sobą nie da płaść i że mi nie dał, co bym rad chciał? Gdy człek raz zacznie myśleć, co by chciał... Ach, gdyby to... Gdyby owo... Do licha... Nie ma temu końca. Wszystko się na wewnątrz kwasi i marzy się o wielu rzeczach niepodobnych do rzeczy. Weźmy bodaj pana de Nevers albo Króla Jegomości, albo Jegomości Boga Ojca... Ha, i cóż... Każdy ma granice swej mocy i każdy żyje w swojej kompanii. Czyż mam jęczeć, że nie mogę wyjść ze swej sfery? Czyżby mi lepiej gdzie indziej było? Jestem na własnych śmieciach, zostanę tu, zostanę, do

Noc, Drzewo, Księżyc

Noc, Smutek

Starość, Melancholia

Drzewo, Łzy

Ptak, Słońce

Ptak

króset tysięcy, i tak długo nie pójdę stąd, jak tylko się da. Na cóż się użalam właściwie? Nikt mi ostatecznie nic nie winien. Mogłem przecież wcale nie przyjść na świat... Mocny Boże, gdy o tym pomyślę, ciarki mnie przechodzą! Czymże by bez Breugnona był ten piękny świat, to życie? Ach, smutno by tu, zaprawdę, było, przyjaciele drodzy. Wszystko jest dobre, co jest. Siano, czego mi nie dano! Ale to, co mam, mocno trzymam w łapie, i basta!...

*

Wróciłem do Clamecy, spóźniwszy się straszliwie. Jak zostałem powitany, o tym wolę nie wspominać. Udałem się do spichrza (gdzie mam spokój) i oto spisuję na papierze wszystko, co trzeba i co nie trzeba, a pisząc, kręcę nosem, pogwizduję, wystawiam język i delectuję się przeżyciami swymi, zarówno radosnymi, jak i bolesnymi, bowiem:

Wszystko, co się przeżyło,
Opowiadać miło...

VI PRZELOTNE PTAKI, CZYLI SERENADA W ASNOIS

Czerwiec

Wczoraj rano dowiedzieliśmy się, że przez Clamecy przejechało dwoje znakomitych podróżnych, mianowicie panna de Termes i hrabia de Maillebois. Nie zatrzymali się wcale i udali się wprost do zamku w Asnois, gdzie zamierzali spędzić kilka tygodni. Rada ławników miejskich uchwaliła, że jak nakazuje stary obyczaj, należy zaraz nazajutrz wysłać do parki rzadkich ptaszków specjalną delegację, która by imieniem¹⁵⁹ miasta złożyła im gratulacje z powodu szczęśliwie odbytej podróży.

(Pomyśleć tylko, że ludzie za cud uważają, gdy takie zwierzaki z Paryża do Nevers¹⁶⁰ przybędą w miękkiej i ciepło wygrzanej karecie, nie połamawszy sobie kości po drodze). Wedle zwyczaju rada uchwaliła, by delegacja doręczyła dostojnym nicponiom trochę miejscowych smakolejków: lukrowanych biszkoptów — specjalność miasta.

Mój zięć Florymond kazał przyrządzić trzy tuziny. Wprawdzie panowie radni oznajmili, że wystarczy dwa, ale Florymond, będący również ławnikiem, wszystko czyni na wielką skalę. Sztuka kosztowała po szesnastu soldów¹⁶¹, a cały rachunek miała płacić gmina.

Przypomniano sobie, że lepiej smakuje jedzenie przy muzyce (mnie to niepotrzebne całkiem), przeto wybrano czterech muzykusów, dwu skrzypków i dwu waltornistów, dodano im do boku tamburynistę i załadowano na furę razem z ciastkami. Mieli oni dygnitarzom zagrać serenadę w chwili wręczania podarku.

Wziąłem swój klarnet i nieproszony przyłączyłem się do bandy. Nie mogłem pominąć sposobności ujżenia nowych osób, zwłaszcza że szło o tak zwany drób dworski. Jest to drób innego typu niż nasz drób zwyczajny, chociaż zdarzyło mi się czynić nieraz zadziwiające zestawienia. Takież same miny, muskanie skrzydeł, kołysanie się wdzięczne, potrząsanie kuperkiem, zadzieranie nosa... Ale cicho, sza! Jestem, wiadomo, synem Pandory¹⁶² i muszę ciągle podnosić wieczka wszystkich pudełek, przyglądać się najrozmaitszym duszyczkom: białym, brudnym, chudym, tłustym, szlachetnym lub podłym, grzebać w sercach, śledzić, co się w nich dzieje, wtykać nos w nie swoje sprawy, nasłuchiwać, wąchać, smakować. Poza tym, ale to już inna sprawa, miło jest łączyć pożyteczne z miłym. Przeto skorzystałem z fury mieszczącej muzykantów i ciastka i na tę bezpłatną

Jedzenie, Muzyka

¹⁵⁹imieniem miasta — dziś: w imieniu miasta. [przypis edytorski]

¹⁶⁰Nevers — miasto w centralnej Francji, dawna stolica prowincji Nivernais. [przypis edytorski]

¹⁶¹sold — dawna moneta francuska, warta 1/20 liwra, czyli 12 denarów. [przypis edytorski]

¹⁶²Pandora (mit. gr.) — pierwsza kobieta na ziemi, żona Epimeteusza, wbrew zakazowi z ciekawości otworzyła otrzymaną od bogów w posagu zamkniętą szczelnie glinianą beczkę (zwaną puszką Pandory), wypuszczając na świat zamknięte w niej nieszczęścia. [przypis edytorski]

podwoję¹⁶³ wpakowałem dwa rzeźbione *panneaux*¹⁶⁴ ściennie, które właśnie wykończyłem dla zamku w Asnois. By do reszty wykorzystać okazję, zabrałem ze sobą moją drogą Głodzie, córeczkę Florymonda. Jeden z ławników zabrał również swego synka.

Podobnie pomysłowy okazał się nasz aptekarz i wpakował na wóz swe wyroby, a więc soki, korzenne wina, miody i konfitury. Zamierzał je ofiarować przybyłym, oczywiście także na rachunek miasta Clamecy. Muszę zaznaczyć, że zięć mój uznał to za bardzo niewłaściwe i sprzeczne z tradycją. Gdyby każdy z rzemieślników, jak się wyraził, a więc: rzeźnik, piekarz, szewc, cyrulik itp., uczynił to samo, zrujnowano by miasto i wszystkich obywateli. Miał niewątpliwie rację, ale i nie miał racji, albowiem aptekarz był także ławnikiem. Ludzie mali podlegają prawom, ludzie wielcy tworzą prawa.

Prawo

Okazało się, że trzeba dwu wozów. Zapakowano do nich mera, moje *panneaux*, prezenty, dzieci, czterech muzyków i czterech ławników, ja zaś poszedłem piechotą. Niech sobie tam paralitycy jeżdżą wozami, niby cieleta do rzeźni. Co prawda, pogoda nie była piękna: po niebie sunęły ciężkie chmury, w powietrzu wisiała burza. Upał był straszny, a palące promienie słońca raziły głowy i karki. Nad gościńcem zawisła zamieć kurzu, muchy cięły po twarzy. Prócz Florymonda, który jak panienka dbał o swą cerę, wszyscy byli zadowoleni: lżejsze są wspólnie dzielone niedole.

Dopóki widziało się jeszcze wieżę św. Marcina, wszyscy mieli miny pełne dostojeństwa, ale gdyśmy znaleźli się za miastem, wolni od ciekawych i krytycznych spojrzeń, wszystkie czoła rozchmurzyły się, a umysły zrzuciły sztywne rynsztunki.

Opowiedziano naprzód kilka facecyjek tłustawych. (W ten sposób pobudzamy za zwyczaj apetyt). Potem zaczęto śpiewać na przemiany¹⁶⁵, a potem... O dziwo, zdaje się, sam mer popisał się kupletem, ja zaś przygrywałem na klawierze. Inni dostojnicy poszli w jego ślady.

Na to hasło muzykanci wzięli się do roboty. Wrzask się uczynił straszny, ale ponad wszystkie tony wybijał się zawsze radosny pisk małej Głodzi, która piała, miauczała, gwizdała jak kos i ćwierkała jak wróbel.

Nie bardzośmy się rażno posuwali naprzód. Szkapę zatrzymywały się same pod każdą górką, dyszały, kiwały łbami, prychały. Trzeba było czekać, aż ulżą sobie i ruszą w dalszą drogę. Pod Boychault nasz notariusz Delavau zażądał, by trochę zboczyć z drogi. (Nie można było odmówić, jako że on jeden, chociaż ławnik, nie robił na całej wyprawie do rażnego interesu). Notariusz chciał mianowicie wstąpić do jednego z klientów w celu sporządzenia testamentu.

Wszyscy zaaprobowali to, ale rzecz trwała jakoś za długo i Florymond wespół z aptekarzem uznali to za niezbyt właściwe. Mimo to notariusz Pierre Delavau bez pośpiechu załatwiał swoje sprawy; musiał się więc z tym pogodzić pan aptekarz.

Na koniec przybyliśmy na miejsce. Oczywiście, wszystko musi na koniec przybyć na miejsce, niby musztarda po obiedzie. Spóźnieni, przybyliśmy jednak w porę. Nasze dostojne ptaszki skończyły właśnie dziobać jadlo, gdy w sam czas zjawił się przywieziony deser. Zabrały się więc na powrót ochotnie do jadła: ptaszki przez cały dzień się żywią.

Panowie radni, zbliżywszy się do zamku, po raz ostatni zatrzymali się i przywdziali szaty ceremonialne, dotychczas starannie poskładane w miejscu bezpiecznym od słońca i kurzu. Były rzeczywiście piękne, barwne, porywały oczy i radowały serca. Mer przywdział zielony jedwabny strój, czterej ławnicy wełniane żółte szaty. Wyglądali razem jak ogórek i cztery kawałki dyni na talerzyku. Weszliśmy przy dźwiękach orkiestry.

Na ten odgłos wychyliły się z okien ufryzowane głowy beczynnych lokai. Ogórek wraz z otoczeniem ruszył ku podjazdowi, a w tej chwili otwarto drzwi, w głębi których ukazały się dwie głowy ubrane we wstążki, podobne do owieczek na pasterskich obrazkach. My, to jest banda muzykantów, zatrzymaliśmy się pośrodku podwórza i dlatego nie mogłem usłyszeć prześlizgnięcia mowy łacińskiej, którą wygłosił notariusz. Ale pocieszałem się myślą, że niewątpliwie sam tylko mówca ją rozumie. Natomiast nie straciłem ani na chwilę z oczu mojej Głodzi. Drobniutkimi kroczkami wspinała się po stopniach

¹⁶³podwoda — obowiązek dostarczenia przez ludność środka transportu (wozu z zaprzęgiem) na rzecz władz lub wojska (daw. także dworu); również: taki wóz wraz z woźnicą. [przypis edytorski]

¹⁶⁴panneaux (fr.) — panele, dekorowane prostokątne pola pokrywające płaszczyzny ścian, sufitu, boazerii, mebli itp. [przypis edytorski]

¹⁶⁵na przemiany (daw.) — na przemian. [przypis edytorski]

ku drzwiom portalu, przyciskając do brzuszka obu małuśkimi rączynami wielki koszyk, w którym piętrzyły się biszkopty tak wysoko, iż sięgały niemal nad jej główkę. Nie zgubiła ani jednego: pilnowała ich oczyma, ogarniała łapkami, ta mała szelma, łakomczucha... Była śliczna, chętnie bym ją schrupał!

Urok dziecięcy ma w sobie coś z muzyki, niewoli serca, przewycięża dumę, równa ludzi. Panna de Termes uśmiechnęła się do Głodzi, pocałowała ją, posadziła na kolanach, ujęła pod brodkę, potem złamawszy jeden biszkopt, powiedziała:

— Otwórz dzióbek! Podzielimy się!

Włożyła do ust Głodzi kawał biszkopta, a ja, uniesiony radością, zawołałem na całe gardło:

— Niech żyje dobry i piękny kwiatusek niwernejski!

A klarnet mój rzucił w powietrze wrzaskliwą fanfarę, która niby jaskółka przeszła horyzont. Wszyscy roześmiali się chórem, zwracając się ku mnie, a Głodia klasnęła w rączki i zawołała:

— To dziadek!

Pan d'Asnois przywołał mnie.

— To ten postrzelony Breugnon! — objaśnił. (On się na tym zna, albowiem jest równie postrzelony).

Zbliżyłem się, trzymając klarnet pod pachą, wszedłem na stopnie i ukloniłem się.

Papką, czapką, chlebem, solą
Ludzie ludzi niewoła...

Pamiętny tego przysłowia, oddawałem czapką i całym sobą ukłony na prawo, na lewo, w tył, naprzód, pozdrawiając wszystko, co żyło wokoło. A jednocześnie dyskretnie obserwowałem ową panienkę, wypchaną modnie, zatopioną wprost w ogromnej toalecie. Rozebrałem ją (oczywiście w myśli jeno) i spostrzegłem, że jest chudziutka, szczuplutka, i roześmiałem się z tego sucharka. Była wysoka, wiotka, cerę miała nieco ciemną, ubieloną forsownie pudrem, piękne, połyskliwe oczęta, niby węgielki, nosek wścibski, łakome usteczka, że tylko całować, wydadne i okrągłe policzki, na których wiły się pierścioneczki loczków.

Ujrzawszy mnie, spytała łaskawie:

— Czy to pańska córeczka, to śliczne bobo?

Odparłem dumnie:

— Łaskawa pani, nie! Oto mój zięć, niechże sam odpowie, nie chcę mu wchodzić w drogę. W każdym razie oboje zaliczam do swojego inwentarza domowego. Dzieci to bogactwo biedaków!

Pan d'Asnois roześmiał się głośno, panienka uśmiechnęła się także, Florymond uczynił to samo we właściwy sobie, kwaskowaty sposób, ja tylko pozostałem poważny. Wówczas pan ze wstążkami i wypchana panienka raczyli zapytać, co mi przynosi mój zawód (sądzieli zapewne, że jestem muzykusem). Odparłem zgodnie z prawdą:

— Prawie nic!

Nie powiedziałem, czym się zajmuję poza klarnetem, nikt mnie bowiem o to nie pytał. Czekałem i bawiłem się doskonale. Niesłychanie śmieszna jest owa pogardliwa łaskawość, z jaką wielcy tego świata, pięknie i bogacze traktują ludzi nieposiadających nic. Zupełnie jakby im ciągle dawali nauki. Biedak to coś niby dziecko, a poza tym (nie mówią tego, nie myślą) to jego własna wina! Bóg go ukarał i dobrze uczynił. Słuszne są boskie wyroki!

Jakby mnie całkiem nie było, pan Maillebois odezwał się głośno do swej towarzyszki:

— Ponieważ i tak nie mamy nic innego do roboty, skorzystajmy z obecności tego biedaka. Ma on, co prawda, minę człowieka dosyć ograniczonego, ale włączając się z klarnetem po wszystkich szynkach i gospodach, musi wiedzieć, co myśli ludność prowincji, o ile w ogóle...

— Cicho!

— ...o ile myśli w ogóle o czymkolwiek.

Spytano mnie tedy:

— A więc, przyjacielu, zechciej nam powiedzieć, jaki jest nastrój umysłów w kraju?

Przybieram minę idiotyczną i powtarzam:

Dziecko, Bieda, Bogactwo

Bogactwo, Władza, Bieda

— Nastrój umysłów...

Jednocześnie mrugam oczyma, porozumiewając się z mym panem d'Asnois, który targa swą brodę i przykrywa usta dłonią, by ukryć wesoły uśmiech.

— Widocznie umysły nie funkcjonują na prowincji! — powiada dostojnik z ironią. — Powiedz nam, drogi człowieku, co sobie tu ludziska opowiadają? Czy trzymają się wiary katolickiej, czy trwają wiernie po stronie króla?

Odpowiadam:

— Bóg jest wielki, a król bardzo wielki! Kochamy obu jednakowo!

— A co sądzisz o książętach?

— O, to bardzo, bardzo wielcy panowie!

— Więc trzymacie ich stronę?

— Tak, tak, Jaśnie Wielmożny Panie!

— Jesteście więc przeciwnikami Conciniego?

— O nie, trzymamy i z nim także!

— Jak to? Niepodobna! Przecie to są wrogowie...

— Możliwe, że się nie bardzo lubią... Ale my trzymamy z jednymi i z drugimi!

— Na Boga, musicie przecież wybierać!

— Czyż trzeba koniecznie wybierać? Czyż nie można się od tego powstrzymać, Wasza Wielmożność? Ha, jeśli tak być musi, tedy zastanowię się. Przyjdę i powiem, ale muszę mieć czas do namysłu. Zdecyduję się w przyszłym tygodniu: tak koło czwartku!

— Na cóż się namyślać tak długo?

— Jak to? Muszę, Jaśnie Panie, rozważyć, która strona jest mocniejsza!

— Nie wstyd ci? Nie jesteście w stanie odróżnić dnia od nocy, króla od jego nieprzyjaciół?

— Słowo daję, Jaśnie Panie, nie mogę. To nad moje siły. Widzę, że dzień jasny, nie jestem ślepy, ale jeśli idzie o stronników króla i stronników książąt, doprawdy, wybór trudny, gdyż nie wiem, którzy z nich więcej piją i więcej niszczą kraj. Nie chcę ubliżyć żadnej partii, niechże im służy apetyt i zdrowie. Jaśnie Panu życzę również apetytu i zdrowia oraz długiego życia. Lubię tych, którzy umieją jeść, albowiem sam przepadam za tym. Ale mówiąc otwarcie, wołę przyjaciół mych wiktujących się u stołu innych.

— Więc niezdolny jesteś kochać kogokolwiek?

— Panie! Kocham to, co posiadam!

— Nie byłbyś w stanie poświęcić mienia za króla swego i pana?

— I owszem, uczynię to chętnie, jeśli nie da się uniknąć ofiary. Ale rad bym wiedzieć, czy konieczne jest rezygnować ze swych ukochanych pól i winnic po to, by Król Jegomość miał pełny stół? Każdy czyni swoje. Jedni siedzą przy stole, drudzy wjeżdżają na stół jako danie. Na tym polega polityka. Co my, biedni ludzie, mamy w niej do gadania? Zostawcie nam ziemię, a my wam zostawimy politykę. Nie nasza rzecz tak zwane przekonania. Jesteśmy głuptasy, i basta. My umiemy tylko wzorem naszego ojca Adama¹⁶⁶ (mówią, że był on również ojcem Waszych Wielmożności, ale nie wierzę, prędzej był chyba tylko kuzynem waszym...), tedy od Adama uprawiamy ziemię, użyźniamy ją, kopujemy, siejemy, uprawiamy owies, pszenicę, żyto, sadzimy winorośl, kosimy łąki, młócimy ziarno, ścinamy drzewa, kujemy kamień, strzyżemy wełnę, robimy sukno, garbujemy skórę, topimy żelazo, robimy meble i stawiamy domy, budujemy gościńce, kanały i stawiamy mosty, budujemy miasta i kościoły, zakładamy ozdobne ogrody, przystrajamy ściany domów rzeźbami, na których igra słońce, wydobywamy z kamienia białe i nagie kształty posągów, chwytny z nienacka tony płynące powietrzem, zaklinamy je w połykliwe obłoki skrzypiec lub wydrążenie fujarki, słowem, posługujemy się ogniem, wodą, powietrzem, czterema żywiołami, by życie wasze uczynić przyjemnym. I nie umiemy nic więcej! Nie mamy wyobrażenia o tak zwanych sprawach publicznych, kłótniach książąt, świętym posłannictwie królów, grze politycznej i innej metafizyce. Jaśnie Panie! Nie powinno się zapominać o smutnym losie owego pyszałka, co to, za przeproszeniem, wyżej... niż kuper miał... Jesteśmy w gruncie rzeczy woły robocze i grzbiet nasz nawykł do bicia. Zgoda! Ale nagle Wasza Wielmożność pyta: powiedz mi, którą pięść wolisz, który

Polityka

Praca, Władza

¹⁶⁶Adam (bibl.) — biblijny pierwszy człowiek, przodek całej ludzkości, za złamanie wydanego przez Boga zakazu wygnany z żoną Ewą z rajskiego, dostatniego ogrodu Eden i zmuszony odtąd do ciężkiej pracy na roli, żeby zdobyć żywność. [przypis edytorski]

bat klaszcze lepiej po twych żebrach... Hola, hola... To kwestia poważna! To rzecz godna zastanowienia, tedy powiedziałem: muszę rozważyć... Bo na przykład dzisiaj... Dzisiaj mógłbym wydać sąd nierozważny. Dzisiaj jakoś nie gustuję w żadnym bacie. Należałoby przed udzieleniem odpowiedzi ująć ten bat we własne ręce i spróbować: raz, drugi, ot tak! Że to jednak nie wypada, przeto cierpliwości, cierpliwości! Cierpmy, cierpmy, boże wołki, ciągnijmy wóz, póki starczy sił i siana... Może kiedyś zmienią się role!

Dostojnik słuchał, nie wiedząc, co sądzić o mych słowach. Skrzywił się, niepewny, czy śmiać się, czy gniewać. Naraz zbliżył się jakiś jegomość ze świty, który mnie widywał na dworze nieboszczyka księcia de Nevers, i powiedział:

— Jaśnie Panie! Znam go, to wielki oryginał, doskonały rzemieślnik i zdolny rzeźbiarz, a przy tym wygadany strasznie. Rzeźby jego znajdują się w wielu pałacach i zamkach.

Dostojnik ani drgnął. Otrzymana informacja, jak się wydało, nie była w stanie zmienić jego zdania o mizernym (mówię to jeno symbolicznie, gdyż ważę swoje 150 funtów¹⁶⁷) człowieczku stojącym przed jego oblicznością i zainteresował się mną dopiero wówczas, gdy gospodarz pokazał mu moje prace w zamku Asnois, które zwróciły na siebie uwagę takiego to a takiego księcia, hrabiego czy innego wielmoży.

Wówczas z wielkim uznaniem wyraził się o cokole studni w podwórzu. Wyrzeźbiłem na nim fryz przedstawiający młodą podkasaną dziewczynę niosącą w podółku dwie kaczki z rozwartymi dziobami i rozpostartymi skrzydłami. Potem oglądał w pałacu moje meble i *panneaux* dekorujące ściany. Pan d'Asnois pysznił się jak paw!

Co za cymbały z tych bogaczy! Wydaje im się, że zapłaciwszy za dzieło sztuki, stworzyli je sami! Maillebois, chcąc mnie uhonorować, zaczął się dziwić, że artysta tej miary siedzi w zakątku odcięty od świata, z dala od wielkiego życia stolicy, pochłonięty swą istic benedyktyńską pracą, pozbawiony z konieczności wszelkiej inwencji, wzlotu, że ograniczony jest tylko do obserwacji, a nie może powziąć wielkiej idei, stworzyć symbolu, alegorii, dzieła filozoficznego, mitologicznego, słowem, nie może dać żadnej wielkiej, monumentalnej rzeźby (wielki pan chce mieć wszystko wielkie).

Odparłem skromnie, że znam swą niewielką wartość i wiem dobrze, w jakich mi przystoi obracać się granicach. Biedny czelczyzna, który niczego nie widział, nie słyszał o niczym, nie przeżywał wzniosłych wrażeń, winien pozostać na niższym stopniu Parnasu¹⁶⁸ i nie kusić się o rzeczy wielkie i wykwintne. Umysł jego, ograniczony warunkami życia, zwraca się ku rzeczom codziennym i użytecznym. Sztuka życia potocznego — oto jego przeznaczenie.

— Sztuka życia potocznego? — zdziwił się jaśnie wielmożny błazen. — Ależ to kontradycja¹⁶⁹! Sztuką może być tylko to, co nie jest potoczne, codzienne i użyteczne!

— Święte słowa! — zawołałem z zachwytem. — Święte i prawdziwe! Wszędzie, w życiu i sztuce, piękny jest tylko brylant, książę, król i kwiat!

Oddał się, bardzo ze mnie zadowolony, a pan d'Asnois ujął mnie pod ramię i szepnął:

— Przekłętą gaduło! Mało mnie diabli nie wzięli ze śmiechu. Zakpiłeś sobie z tego paryskiego pudła. Ale mówię ci, mnie nie tykaj! Gdybyś się poważyl wziąć mnie na język, biada ci!

Zaprotestowałem żywo:

— Wasza Miłość! Gdzieżbym śmiał gryźć swego dobroczyńcę, swego protektora? Czyż Breugnon zdolny jest do takiego świństwa? Ale mniejsza o świństwo, to się może przytrafić, idzie o co innego: byłbym po prostu osłem. Jesteś pan bowiem nie tylko możniejszy ode mnie (co się samo rozumie), ale i bardziej chytry. Możesz się pochwalić niejednym dowcipem, którym zwiodłeś młodzika i starca, postrzeleńca i ostrożnickiego. Przy panu ja jestem jeno drobnym liskiem wobec wilka w własnej jamie.

Promieniał! Nic bardziej nie cieszy, niż kiedy człowiek usłyszy, że ktoś wynosi pod niebo jego zalety, których wcale nie posiada.

Pochlebstwo

¹⁶⁷*funt* — dawna jednostka wagi, równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

¹⁶⁸*Parnas* — pasmo górskie w środkowej Grecji, wg mit. gr. będące siedzibą boga Apollina, opiekuna sztuk, oraz orszaku otaczających go Muz, patronek różnych kunsztów. [przypis edytorski]

¹⁶⁹*kontradycja* (daw., z łac.) — sprzeczność. [przypis edytorski]

— Dobrze, dobrze, kochany Breugnon... Dajmy pokój mojemu workowi, pokaż natomiast, co masz w swoim? Wiem z góry, że nigdy nie przybywasz bez celu i z pustymi rękami.

— Cha, cha... Zawsze domyślny... Wasza Wielmożność ma spojrzenie jasnowidza! Człowiek jest dla was jakby szklany, czytasz w sercach jak Bóg Ojciec.

Rozpakowałem moje dwa *panneaux* dekoracyjne, a także jedną rzeźbę włoską (Fortunę¹⁷⁰ na kole), kupioną ongiś w Mantui. Tę właśnie rzeźbę — nie wiem sam czemu, ot tak, z wrodzonej przekory — przedstawiłem jako swoją. Uzyskała ona umiarkowany sukces. Potem (widocznie przez omyłkę) pokazałem dwie prace własne, oświadczając, że udało mi się nabyć je we Włoszech.

Rozległy się okrzyki, pochwały, zachwyty, ho, ho i cha, cha! Wszyscy pokładali się z uciechy. Maillebois, otworzywszy gębę jak wrota, oświadczył, że widzi tam odbłysek włoskiego nieba, czuje zapach po trzykroć błogosławionej, świętej ziemi opromienionej dotknięciem stóp bogów Olimpu¹⁷¹.

Pan d'Asnois, rycząc z uniesienia i całując mnie, wyliczył mi na stół za pierwszą rzecz trzy dukaty¹⁷², za dwie ostatnie... trzydzieści sześć!

*

Wieczorem udaliśmy się do domu. Dla zabawienia towarzystwa opowiedziałem, jak to pewnego razu książę de Bellegarde przybył do Clamecy polować na ptactwo. Poczciwy książę był niemal zupełnie ślepy. Polecono mi strzelać jednocześnie i zręcznie podsuwać na miejsce chybionej sztuki inną, ugodzoną w samo serce. Śmiano się ochoczo i każdy wyciągał z zanadza jakąś facecyjkę o książętach i wielmożach tego świata. Poczciwi ci książęta. Nudzą się wprawdzie w monotonnym życiu codziennej wspaniałości, ale dla nas, biedaków, stanowią niewyczerpane źródło uciechy i żarcików.

Gdy znaleźliśmy się w domu, opowiedziałem historię owych rzeźb. Florymond zaczął mi czynić gorzkie wyrzuty. Nie mógł pojąć, czemu oddałem tak tanio rzeźbę włoską, podając ją za swoją. Wszakże pan d'Asnois, lubując się w tych dziełach, byłby niewątpliwie zapłacił trzy razy tyle. Odparłem, że mogę sobie kpić z wielkich panów, ale nie chcę ich skubać.

Nie mógł tego pojąć i pytał, jak mogą mi robić przyjemność kpiny nieprzynoszące dochodu.

Wówczas Martynka zabrała głos i powiedziała te mądre słowa:

— Właśnie te kpinki i żarciki, przy których nie myśli się o niczym, tylko o wesołości, to rzecz najlepsza. Niedobrze być zawsze przemyślnym i praktycznym. Daj spokój, mój drogi, i zapamiętaj sobie, że sam dobrze wychodzisz na tej wrodzonej nam ochocie do niewinnych żartów. Temu zawdzięczasz nawet, że nie masz na głowie rogów, ale same włosy. Myśl, że mogłabym cię oszukać trzy razy na dzień, tak mnie bawi, iż poprzestaję na tej ucieście. Nie chmurz czoła, nie rób sobie nic z tego i weź dobre chęci za uczynek. Schowaj rogi, ślimaku, schowaj.

VII ZARAZA

W pierwszych dniach lipca

Słusznie mówią: nieszczęście pędzi na koniu! Niby sztafeta na rozstawnych koniach przybyło nam złożyć wizytę. W zeszły poniedziałek zawleczono skądś zarazę i zdarzył się jeden przypadek w Saint-Fargeau¹⁷³. Złe ziarno szybko wschodzi. Przy końcu tygodnia mieliśmy w okolicy już dziesięć pogrzebów. Zbliżając się ku nam coraz bardziej, zaraza wybuchła wczoraj w Coulanges-la-Vineuse¹⁷⁴.

Choroba

¹⁷⁰ *Fortuna* (mit. rzym.) — bogini ślepego przypadku, losu; przedstawiana z kołem, symbolizującym zmienność. [przypis edytorski]

¹⁷¹ *Olimp* — góra w Grecji, tradycyjnie uważana za siedzibę bogów. [przypis edytorski]

¹⁷² *dukat* — dawna złota moneta, będąca w obiegu do XIX w. [przypis edytorski]

¹⁷³ *Saint-Fargeau* — miejscowość w Burgundii, ok. 45 km na płn.-zach. od Clamecy. [przypis edytorski]

¹⁷⁴ *Coulanges-la-Vineuse* — wioska w Burgundii, ok. 30 km na płn. od Clamecy. [przypis edytorski]

Zakotłowało się. Ludzie wzięli nogi za pas. Wsadziliśmy na wozy kobiety, dzieci, gęsi i wysłaliśmy daleko, w okolice Montenoison¹⁷⁵. I okazało się, że nieszczęście ma także swoją dobrą stronę. Cicho w moim domu, nikt nie gdać, nikt nie wrzeszczy. Florymond, ten kapłan¹⁷⁶ paskudny, pojechał z kobietami, nie chcąc, jak mówił, opuszczać Martynki bliskiej rozwiązania. Bogatsi, grubszy mieszczaństwo przyszli do przekonania, że pogoda jest śliczna, przeto najlepsza teraz sposobność przejechać się po rozległych polach i zobaczyć, jak idą żniwa. Pojechali.

My, którzyśmy pozostali, kpiłiśmy sobie na potęgę z zarazy i z tych, którzy się przeciw niej ubezpieczali. Panowie ławnicy postawili straż u bram miasta oraz na gościńcu wiodącym do Auxerre¹⁷⁷ i przykazali im surowo odpędzać żebraków, włóczęgów i w ogóle każdego, kto by się chciał wcisnąć. Co do innych przejezdnych, zwłaszcza jeśli sakiewki ich były pełne, istniało rozporządzenie łagodniejsze. Musieli się oni poddać oględzinom lekarskim trzech naszych medyków, mianowicie mistrza Stefana Loyseau, mistrza Marcina Frotier oraz mistrza Filberta de Veaux. Wszyscy trzej uzbrojeni byli przeciw zarazie w odpowiednie środki. Każdy miał sztuczny nos napełniony materiałem dezynfekcyjnym, maskę i wielkie okulary. Śmiałyśmy się z nich strasznie.

Marcin Frotier, nasz człowiek, nie mógł dochować powagi. Zerwał z twarzy sztuczny nos, cisnął go o ziemię i oświadczył, że mu wystarczy własny, zwłaszcza że nie ma kobiet. Przyklasnęliśmy mu. Ale on, niestety, zmarł bardzo prędko. Co prawda, mistrz Stefan Loyseau, który fanatycznie wierzył w swój dezynfekcyjny nos, umarł także. Nie umarł tylko mistrz Filbert de Veaux, który, nauczony doświadczeniem swych kolegów, porzucił nos i stanowisko.

Ba, ale nagle znalazłem się na samym końcu opowieści, a wszakże zaledwie zaznaczyłem jej początek. Musisz przeto, bratku, zawrócić i złapać kozę za brodę... tak...

Jak powiedziałem, każdy z nas udawał Ryszarda Lwie Serce¹⁷⁸. Byliśmy pewni, że zaraza nas nie dosięże, że nie zaszczyca nas swymi odwiedzinami. Ma ona, jak wiadomo, dobry węch, a zapachu naszych dębowych lasów znieść nie może. (Nie ma nic zdrowszego nad dębinę, rzecz wiadoma). Gdy po raz ostatni, w r. 1580 (stary był wówczas ze mnie byk, miałem lat czternaście), zawitała do kraju, nie przekroczyła naszych wrót, ponuchała, powąchała i poszła sobie precz!

Właśnie w tym czasie zdarzyła się rzecz, z której śmiano się długo. Oto mieszkańcy Châtel-Censoir¹⁷⁹, niezadowoleni ze swego patrona, który ich źle bronił, wielkiego świętego Potencjana¹⁸⁰, wyrzucili go po prostu za drzwi. Potem wzięli na próbę innego, a gdy ten zawiódł, trzeciego, i tak dalej, wreszcie wyczerpawszy pół kopy¹⁸¹ świętych, powrócili do pierwszego, ale chcąc mu zrobić na złość, zamianowali go patronką, pod imieniem św. Potencjanny.

Takeśmy sobie pokpiwali z zarazy i siebie wzajem, nadrabiając miną i zadufani w sobie, a co dnia wzrastała nasza odwaga. Chcąc dać dowód, iż sobie z niczego nic nie robimy, że gwizdźmy na przesady, medyków, ławników itd., zbliżyliśmy się do murów i rozmawialiśmy poprzez rów forteczny z tymi, których los pozostawił na drugim brzegu. Znaleźli się śmiałkowie, którzy zdołali wysliznąć się z miasta do pobliskiej gospody. Zapijali oni sprawę z wygnańcami z raju oraz rozpytywali o nowiny strażników strzegących gościńca, którzy zresztą nie brali zbyt poważnie swych obowiązków.

Oczywiście wymykałem się i ja. Czyż mogłem ich puszczać samopas? Czyż podobna wytrzymać, by inni bawili się, weselili, omawiali nowinki i spijali winko? Byłbym się wściekł z zazdrości. Ujrawszy raz po tamtej stronie znajomego fermera¹⁸² z Mailly-le-Château¹⁸³, niejakiego Grattepain, wyszedłem z miasta i popiliśmy razem. Był to

¹⁷⁵Montenoison — wioska w Burgundii, ok. 30 km na pld. od Clamecy. [przypis edytorski]

¹⁷⁶kapłan — kastrowany kogut, tuczony na mięso. [przypis edytorski]

¹⁷⁷Auxerre — miasto w Burgundii, ok. 40 km na pln. od Clamecy. [przypis edytorski]

¹⁷⁸Ryszard Lwie Serce (1157–1199) — król Anglii (od 1189), jeden z wodzów III krucjaty, zyskał reputację rycerskiego, mężnego wojownika walczącego w imię chrześcijaństwa. [przypis edytorski]

¹⁷⁹Châtel-Censoir — wioska w Burgundii, ok. 15 km na pln.-wsch. od Clamecy. [przypis edytorski]

¹⁸⁰Potencjan, fr. *Potentien*, łac. *Potentianus* (III w.) — biskup w Sens w Burgundii; lokalny święty, patron Châtel-Censoir. [przypis edytorski]

¹⁸¹kopa — 60 sztuk. [przypis edytorski]

¹⁸²fermer — właściciel lub dzierżawca fermy. [przypis edytorski]

¹⁸³Mailly-le-Château — wioska w Burgundii, ok. 20 km na pln.-wsch. od Clamecy. [przypis edytorski]

wysoki, barczysty, wesoły chłop o czerwonej gębie, pełen sił i zdrowia. Bufonował i szydził z zarazy jeszcze bardziej ode mnie, oświadczając, że jest ona wynalazkiem lekarzy. Wierzy w nią jeno głupi, a umiera się nie z zarazy, ale ze strachu.

Powiedział do mnie:

— Dam ci za darmo znakomitą receptę:

Głowę miej chłodną, a zaś ciepłe nogi,
Nie żryj jak paciuk¹⁸⁴, nie chlap dużo wina,
Nie włącz do łóżka, gdzie leży dziewczyna,
A śmierć omijać będzie twoje progi...

Popijaliśmy ostro, całowali się raz po raz, pochylali ku sobie, mówiąc ucieszne świństewka, on zaś swoim obyczajem klepał mnie po ramieniu i szczypał w udo. Nie wadziło mi to. Niestety, inaczej rzecz się przedstawiła nazajutrz.

Pierwsze słowa, jakie usłyszałem rano w warsztacie, nie były zgoła przyjemne.

— Panie majstrze — powiedział mi na dzień dobry uczeń — czy pan wie już, że ojciec Grattepain zmarł tej nocy?

Uu! Jakże mi się zrobiło nieswojo! Uczułem zimny dreszcz i kroplisty pot na czole. Powiedziałem do siebie:

— Przyjacielu, wyczyść trzewiki na drogę w zaświaty; zaraza zgłosi się jeszcze dzisiaj!

Pomajstrowałem trochę w pracowni, by się rozerwać, ale możecie sobie państwo wyobrazić, o czym myślałem.

— Krasy byku, będziesz miał nauczkę na całe życie! — powiedziałem sobie.

Ale my, Burgundowie, nie zastanawiamy się długo nad tym, co należy uczynić, i w każdej okoliczności decydujemy się szybko. Na świętego Marcina, zawsze u nas dobra mina! Brońmyż się tedy! Wróg siedzi na karku, ale jeszcze za murami miasta. Na moment wpadło mi do głowy udać się do sklepiku św. Kosmy¹⁸⁵ (do lekarza, rozumie się). Ale rychło się opamiętałem. Najgorzej zacząć z tą hołotą. Mimo strachu zmysły mnie jeszcze nie opuściły, przeto powiedziałem sobie:

— Szanowny nieboszczyku! Lekarze są cymbały. Wezmą twe grosze, a ciebie samego zawiozą do szpitala zakaźnego, gdzie zostaniesz na dobre zakażony. Przeto gęba na kolek! Rozumiesz? Nie bądźże wariatem. Jeśli idzie o śmierć, to damy sobie radę i bez lekarzy! A może się też zdarzyć, że Pan Jezus powie: „Będziesz sobie żył, Colas, na złość medykowi”.

Swoją drogą mimo tych przepowiedni, mimo tych facecyjek czułem coraz bardziej, że z moim brzuchem dzieje się coś niedobrego. Macałem się to tu, to tam... Uuu! Żle... Szelma zaraza wlała już w mury miasta.

Najgorsze zaś, że właśnie nadeszła pora obiadu. Siedziałem przed wielkim garnkiem doskonale omaszczonej czerwonej fasoli z soloną wieprzowiną gotowaną na winie (do dziś dnia, myśląc o tym, płacząc z żalości), siedziałem, dumałem i nie miałem odwagi otworzyć ust. Myślałem ze ściśniętym sercem:

„Już po mnie! Apetyt zginął nagłą śmiercią. Oto początek końca...”

Należy tedy przynajmniej uporządkować interesy, jeśli pozwolę sobie na śmierć w domu, to te łajdaki ławnicy każą spalić moją chałupę pod pozorem niszczenia zarazy. Szkoda domu, wszakże dopiero wystawiony. Jakiż to świat zły i głupi! Nie można nawet umierać na własnych śmieciach. Ale poradzę ja sobie! Tylko muszę się śpieszyć.

Wstaję, ubieram się w najgorsze suknie, zabieram kilka dobrych książek, sentencje wielkich ludzi, tłuste facecyjki galickie, jedną rzecz o Rzymie starożytnym, *Złote sło-*

¹⁸⁴paciuk (gw.) — prosię; wieprzek. [przypis edytorski]

¹⁸⁵Kosma i Damian, święci (III w.) — bracia bliźniacy, wędrowni lekarze; święci chrześcijańscy, patroni lekarzy i farmaceutów. [przypis edytorski]

wa Katona¹⁸⁶, Serées Boucheta¹⁸⁷, Nowego Plutarcha Gilles’a Corrozeta¹⁸⁸ i pakuję to do worka, wraz ze świecą, lichtarzem i bochenkiem chleba. Potem żegnam się z uczniami, zamykam mieszkanie i udaję się mężnie do mojej koleby¹⁸⁹ w winnicy położonej daleko za miastem, przy gościńcu wiodącym do Beaumont¹⁹⁰. Szalas to niewielki, sklecony z bierwion¹⁹¹ obitych deskami. Służy on za skład narzędzi. Mam tu wypchany słomą siennik i dziurawe krzesło. Jeśli go spalą, nie będzie wielkiej szkody.

Zaledwie przyszedłem, zacząłem kłapać zębami, niby kruk dziobem. Porwały mnie dreszcze, uczułem klucie w żołądku, w gardle zaś ścisnęło mnie straszliwie. Cóż było robić? Trudno zaprawdę spisać wszystkie akty bohaterstwa i wielkoduszności, na jakie się zdobyłem. Podobnie jak wielcy mężowie Sparty i Rzymu, walczyłem zrazu na śmierć i życie z wrogiem wewnętrznym, z bólem brzucha. Byłem sam, nikt mnie nie widział. Czyż sądzicie, że długo mogłem udawać Regulusa¹⁹² pod murami Romy¹⁹³? Rzuciłem się na siennik i zacząłem ryczeć. Czyście nie słyszeli? Ryczałem straszliwie.

— Panie Boże! — wołałem. — I czemuż zawzięłeś się na biednego człowieka, który nie uczynił ci nic złego? Och, moja głowa! Och, mój brzuch! Jakże przykro porzucać tę ziemię w kwiecie lat swoich! Czyż zależy ci, Panie, na tym, bym się zjawił u ciebie tak wcześnie? O... Mój grzbiet! Oczywiście, wezwanie twoje jest dla mnie wielkim zaszczytem, wizytę tę zapiszę na honorowym miejscu w moim pa... ojej! Ale zważ, przecież się i tak zobaczymy, przeto po cóż ten pośpiech? Ho, ho, moja śledziona! Mnie się nie śpieszy... Panie Boże, nie nalegaj... Cóż ci ze mnie? Wszakże jestem robak marny. Czyż nie lepiej pogadać z jakimś księciem?... Ale jeśli inaczej być w żaden sposób nie może, tedy dziej się wola twoja! Sam widzisz, Panie Boże, jak jestem zrezygnowany, potulny, cichy... Psiakrew! Znowu mnie kole w boku! Niech to szlag trafi!

Wykrzyczałem się, a chociaż ból przez to nie ustał, wyładowałem znaczny zapas energii i to mnie uspokoiło.

— Tracisz tylko czas! — powiedziałem sobie. — Albo on nie słyszy wcale, albo nic go to nie obchodzi. Przeto szkoda płuc. Nie starczy ci i tak życia i zdrowia dłużej niż na godzinę lub dwie, po cóż je marnować? Skorzystaj z tych resztek rozsądku, jaki siedzi w twej czaszce, bo musisz się z nim rozstać niebawem. Zresztą umiera się raz tylko! Zaspokój, póki czas, swą ciekawość i żądzę wiedzy. Śledź pilnie, w jaki sposób wyłazi się z własnej skóry... Uważaj dobrze, bo nie powtórzy się już po raz drugi!

Dziekiem będąc, robiłem fujarki z wierzbiny i nikt mi nie mógł dorównać w nacinaniu gałęzi, zdejmowaniu kory i wycinaniu dziurek. Teraz wydało mi się, że to, co robiłem z korą, Stwórca czyni z moją własną skórą. Ou! Niezłe cięcie! Ale czyż przystoi osobie w tym wieku zabawiać się w sposób tak dziecinny? Nie czyń, porównań, mój Breugnon, ale zważaj pilnie, jak się robi z ciebie fujara. Śledź, póki kora trzyma się jeszcze drzewa,

¹⁸⁶*Złote słowa Katona*, łac. *Disticha Catonis* — anonimowy łaciński zbiór maksym moralnych w postaci dwuwierszy (dystychów), powstały na przełomie III i IV w. n.e., przypisywany Katonowi Starszemu (234–149 p.n.e.), rzymskiemu mężowi stanu sławnemu z surowości obyczajów; ceniony jako popularny podręcznik do nauki łaciny oraz wychowania moralnego, używany jako materiał dydaktyczny aż do XVIII–XIX w.; przetłumaczony na wiele języków, m.in. w 1531 na francuski. [przypis edytorski]

¹⁸⁷*Bouchet, Guillaume* (ok. 1513–1594) — pisarz francuski; autor zbioru anegdotycznych opowieści pt. *Les Serées* (Wieczory), skompilowanych z różnych źródeł. [przypis edytorski]

¹⁸⁸*Corrozet, Gilles* (1510–1568) — francuski pisarz, drukarz i księgarz; autor m.in. często przedrukowanego w XVI w. dzieła *Divers propos memorables des nobles et illustres hommes de la chrestienté* (Różne pamiętne wypowiedzi szlacheckie i znamienitych mężów chrześcijaństwa, 1556), które później przetłumaczono na łacinę i w 1631 wydano pod tytułem *Plutarchus alter* (Drugi Plutarch), nawiązującym do popularnego zbioru starożytnych powiedzeń znanych osób, autorstwa Plutarcha. [przypis edytorski]

¹⁸⁹*koleba* — szalas, baczówka: sezonowe schronienie (najczęściej drewniana chata) dla pasterzy, myśliwych i drwali. [przypis edytorski]

¹⁹⁰*Beaumont-Sardolles* — wioska w Burgundii, ok. 70 km na pld. od Clamecy. [przypis edytorski]

¹⁹¹*bierwiono* — pień drzewa oczyszczony z gałęzi; belka; kłoda. [przypis edytorski]

¹⁹²*Regulus*, właśc. *Marek Atyliusz Regulus* (III w. p.n.e.) — rzymski konsul i dowódca w czasach I wojny punickiej, wzór patriotyzmu i wierności danemu słowu; wzięty do niewoli przez Kartagińczyków został zwolniony na dane przez siebie słowo, że w Rzymie wynegocjuje dla nich pokój albo powróci do niewoli; dotarłszy do Rzymu, odradzał zawarcie traktatu, przekonując rodaków, że korzystniejsze będzie kontynuowanie wojny ze słabnącym przeciwnikiem; zgodnie z danym słowem powrócił do Kartaginy, gdzie zginął zamęczony. [przypis edytorski]

¹⁹³*Roma* (łac.) — Rzym. [przypis edytorski]

i notuj spostrzeżenia. Badajże swą powłokę, śledź każdą myśl, przyglądaj się, przeżuwaj, wsłuchuj w drgania trzustki, licz każdą kolkę, obmacuj się po brzuchu i nerkach¹⁹⁴.

Przyglądałem się więc sobie uważnie. Od czasu do czasu wydawałem nieludzki ryk, w którym usiłowałem zamknąć rezultat obserwacji. Noc mi się strasznie dłużyła, zapaliłem tedy świecę, wsadziwszy ją w szyjkę flaszki. Pachniała sokiem porzeczkowym, ale nie było go już wcale. „I mnie już jutro nie będzie — pomyślałem — lecz jakież pozostawię i zapach?”

Wijąc się po sienniku, usiłowałem czytać. Sentencje bohaterów rzymskich nie warły na mnie żadnego wrażenia. — Pal diabli tych trutniów! — zawołałem. — Wszakże wszystkie drogi prowadzą do rzeźni... powiedział pewien sędziwy wół. Nienawidzę głupiej pychy. Mam prawo użalić się z głębi serca, gdy trapi mnie kolka. Tak, ale w chwilach przerwy chcę się pośmiać!

I zacząłem się śmiać! Nie uwierzycie, jednak to prawda. Obolały jak przytłuczony orzech, otworzyłem, szczękając jeszcze zębami, facecje naszego kochanego Boucheta i oczy moje padły na historyjkę tak niesłychaną, tak pulchną, tłustą, pieprzną, szelmowską, że ryknąłem szczerym śmiechem.

— Nie śmieje się, bałwanie! — mówiłem do siebie. — Zaszkodzisz sobie jeszcze!

Ale nie mogłem przestać. Śmiałem się i śmiałem, porykując tylko od czasu do czasu. Potem śmiałem się znowu... Ach, ileż się naśmiałem, ile naryczałem w ciągu tej nocy!

Gdy nastał świt, znajdowałem się w takim stanie, że tylko kłaść się do grobu. Nie mogłem się utrzymać na nogach. Zawlokłem się na kolanach do jedyne okienka wychodzącego na gościniec. Zawołałem pierwszego przechodnia głosem wprost zaziemskim. Nie potrzebował słuchać mych słów, spojrzał na mnie, skoczył w tył, przeżegnał się i uciekł jak szalony.

Nie minął kwadrans, a miałem pod domem honorową straż, która mnie zawiadomiła, że nie wolno mi przekraczać progu szalasu. Ani myślałem o tym. Poprosiłem tylko, by zawezwano starego przyjaciela mego, notariusza Paillarda, ponieważ chcę podyktować testament. Ale strażnicy widocznie bali się nawet słów moich, gdyż zatykali sobie uszy i usta.

Na szczęście zjawił się pewien malec, pastuch gęsi. Kochany chłopczyna lubił mnie, gdyż zapamiętał sobie, jakem go raz przydybał na wiśni i zamiast ściągnąć zeń skórę, poprosiłem, by i dla mnie także... skoro już siedzi na gałęzi... rzucił parę garstek.

— Panie Breugnon! Lecę po notariusza! — wrzasnął i pobiegł przez pola do Dornecy.

Nie pamiętam dobrze, co się potem działo. Wiłem się pewnie po sienniku, ryczałem, wystawiałem język niby ciele, kłapałem zębami... Nagle posłyszałem trzaskanie z bata, odgłos dzwonek i znany, gruby głos. „Aha!” — myślę sobie i chcę wstać. O Boże! Zdało mi się, że dźwigam na karku katedrę św. Marcina razem z wieżą, a całe Sembert na kuprze. Powiedziałem sobie: „Żebyś jeszcze niósł na domiar skały Basseville, powinienes swego dokazać”.

Chodziło o takie klauzule testamentu (zdążyłem w ciągu nocy przemyśleć wszystko szczegółowo), które nie szkodząc chłopcom, mogły być bardzo korzystne dla Martynki i Glodzi. Wetknąłem przeto w okienko głowę. Ważyła chyba więcej niż „Henryka”, wielki dzwon św. Marcina, a chwiała się tak samo w prawo i w lewo.

Nagle spostrzegłem na gościńcu dwie znane, pocziwe postacie. To Paillard i proboszcz Chamaille patrzą na mnie, wytrzeszczając z przerażenia oczy. Pośpieszyli obaj co sił w koniu, by mnie jeszcze zobaczyć żywym. Wyznać muszę, że zapal ich znacznie ostygł na mój widok. Prawdopodobnie dla lepszego ujęcia całości obrazu skoczyli trzy kroki w tył. Zaczny Chamaille, chcąc mi dodać otuchy, powtarzał raz po raz:

— Jak ty wyglądasz! Jak ty wyglądasz! Biedaku, biedaku, zupełny z ciebie nieboszczyk!

Złośliwość we mnie wezbrała, przy tym czułem się jakoś lepiej, przeto odparłem:

— Może raczycie mi złożyć wizytę? Musieliście się zgrzać w drodze.

— O, nie, nie... — zawołali obaj — bardzo nam tutaj dobrze!

¹⁹⁴wsłuchuj w drgania trzustki, licz każdą kolkę, obmacuj się po brzuchu i nerkach — Tu pozwalamy sobie opuścić kilka linii tekstu. Narrator nie pomija bowiem żadnego szczegółu dotyczącego stanu swego organizmu, a ciekawość, z jaką dokonuje tych badań, skłania go do wynurzeń nie zawsze poetycznych. Wypada dorzucić, że znajomość fizjologii, która napędza go taką dumą, pozostawia wiele do życzenia. [przypis autorski]

Akcentując swoją chęć ucieczki, stanęli tuż przy wózku; Paillard począł potrząsać od niechcenia wędzidłem, Chamaille zaś, nawykły do rozmowy z umierającymi, spytał:

— No, jakże się czujesz, mój drogi?

— Jak się czuję? Dobrze, że się w ogóle jeszcze czuję.

— Ot, widzisz, Breugnon, czym jest człowiek! — zaczął proboszcz. — Pamiętam, że mówiłem ci to zawsze. Sam tylko Bóg jest potężny! My zaś to proch, to nic! Dziś się żyje, jutro gnije, dziś złoto, jutro błoto. Nie chciałeś wierzyć, radowałeś się życiem. Piłeś, śpiewałeś. A oto teraz, mój drogi, przyszła kryśka na Matyska. Bóg cię wzywa. Honor to wielki, ale musisz stawić się przybrany w szatę godową. Muszę cię obmyć z brudu grzechów... Przygotuj się, grzeszniku!

— Mamy czas! — odparłem. — Zaczekaj, proboszczu!

— Skąd wiesz? Ani dnia, ani godziny...

— To nic... — powiadam — Mamy czas... A jeśli pojazd odjedzie do nieba beze mnie, to pójdę piechotą.

Zaczął machać rękami.

— Breugnon, drogi przyjacielu! Widzę, że i teraz jeszcze szatan cię trzyma za poję. Cóż to za żarty, czegoż jeszcze chcesz od świata? Zważ, wszakże to nicość, marność, znikomość, niekończący się ciąg klęsk, podstępów, złośliwości, nieczystych sprawek, zasadzek, cierpień i słabości!

— Nudzisz mnie, Chamaille! — wołam. — Nigdy nie zdobędę się na to, by cię zostawić samego.

— Zobaczymy się kiedyś — odparł.

— Ale dlaczegoż nie mielibyśmy się udać razem na tamten świat? Ostatecznie zgadzam się torować wam drogę, ale idźcie za mną, przyjaciele!

Udawali, że nie słyszą.

— Czas mija! — zahuczał gromko proboszcz. — Przestań żartować. Diabeł ci już siedzi na karku! Czy chcesz, by porwał w pazury twą czarną duszę? Dalejże, Colasie, uklęknij i czyn rachunek sumienia! Ja się będę modlił... Tak, tak, uczyn to dla mnie, proszę cię bardzo!

— Dobrze! Zrobię, co trzeba. Nie chcę ubliżać Panu Bogu. Ale muszę naprzód powiedzieć kilka słów Paillardowi. Idzie o testament...

— Powiesz potem!

— Nie! Paillard ma pierwszeństwo!

— Czyż stawiasz na drugim miejscu szczęśliwość wiekiustą?

— Tak! Co wiekiuste, nie przemienie, a doczesność mogą tymczasem diabli wziąć. Żegnaj się z tym światem, przeto sama grzeczność wymaga, bym mu udzielił audiencji przed zameldowaniem się w przedpokoju Pana Boga.

Nalegał, krzyczał, groził, ale nie ustąpiłem. Notariusz wyjął papiery, pióro i siedząc na jakiejś beczce, spisał mój testament. Przysłuchiwali się licznie zgromadzeni przechodnie, włóczęgi i psy bezpańskie. Uporządkowawszy sprawy ziemskie, uporządkowałem sprawy ducha, a gdy wszystko się skończyło, Chamaille rozpoczął na nowo kazanie.

— Przyjacielu! — powiedziałem. — Jesteś już znużony. Wszystko, co mówisz, jest bardzo budujące i wzniosłe, ale dla człowieka tak znużonego chorobą przydałoby się coś innego. Oto dusza moja gotowa jest już siąść na koń. Chciałbym wypić przynajmniej na pożegnanie. Dusze chrześcijańskie, postarajcie się o flaszczynę!

O, jakże mnie dobrze pojęli! Obaj byli nie tylko chrześcijanami, katolikami, ale ponadto Burgundami. Miałem przynieść mi wtedy trzy butelki: chablis, pouilly i irancy. Z okna kajuty mego okrętu, który miał podnieść kotwicę lada chwilę, rzuciłem linę. Gęsiarek pocziwy, który się jakoś nie bał zarazy, przywiązał do jej końca stary koszyk, a ja resztkami sił wciągnąłem na pokład tych ostatnich trzech przyjaciół i pasażerów.

Rzuciłem się po odjeździe proboszcza i notariusza na siennik. Czulem się teraz mniej osamotniony. Nie będę opowiadał, co się ze mną działo w ciągu kilku następnych godzin. Nie wiem dlaczego, ale pamięć mi w tym miejscu nie dopisuje. W ścisłej komitywie z trójką butelek, a raczej z duchami w nich zamkniętymi, wędrowałem widać po rozłogach tak dalekich, że utraciłem wszelki kontakt z ziemią.

O północy spostrzegłem, że siedzę w ogrodzie na grządce truskawek, rozduszając pośladkami mięsiste, chłodne owoce, i gapię się na niebo widoczne poprzez gałęzie owo-

Kondycja ludzka, Obraz
świata

Carpe diem, Vanitas

Diabeł

Niebo

cowego drzewa. Podziwiałem kontrast blasku nieba i cieni ziemi, a dwa rogi księżycy sterczały mi nad głową. Tuż obok czerniło się węzowisko splątanych, długich korzeni winorośli. Podobne do piekielnych stworów czy węży, przyglądały mi się złowieszczo.

Skąd się tu wziąłem, nie wiadomo. Zapewne pomyślałem sobie na wpół w malignie, na wpół na jawie: „Wstawaj, pocziwcze! Butelki już puste. *Consummatum est*¹⁹⁵. Nic już po tobie. Na pośladkach nie umiera Rzymianin! *Sursum corda!*¹⁹⁶” Musiałem tedy wstać i szukając słuchaczy, udałem się w kierunku, gdzie rosła kapusta. A może też miałem zamiar poszukać czosnku. Powiadają, że w braku wina najlepszy przeciw zarazie jest czosnek.

Ostatecznie, zaledwie znalazłem się w ogrodzie, opanował mnie czar nocy. Niebo sklepiło się cudnie nade mną, niby ogromna korona drzewa, a na gałęziach wisiały miliony owoców. Cudne, niby złote jabłka, gwiazdy dojrzywały w owym półświecie. Owoce zdały mi się gwiazdami, pochylały się ku mnie i zaglądały mi w oczy. Miliony oczu śledziły, czy żyję, a jakiś cichy pośmiewch życzliwie szumiał pośród grządek truskawek. Gdzieś wysoko śpiewało coś, gwiazda czy jabłko, nie wiem już dobrze:

Tarninko, krzewie,
Zapuć korzenie,
Nie daj się... nie!
A potem w górę
Podnieś fryzurę.
Jak winny pęd.
Tarninko, krzewie,
Zapuć korzenie,
Rozrastaj się!
Tarninko!
Dziecinko!
Wypite winko!
Nadrabiajże teraz minką!

I ze wszystkich gałązek winnicy, znad ziemi, spod nieba podniósł się chór drżących, rozśpiewanych głosików, powtarzając:

Tarninko, krzewie,
Zapuć korzenie.
Nie daj się... nie!

Wsparłem się o ziemię i zapytałem:

— Chcesz mnie, dobra ziemio? Bo mnie dobrze z tobą.

I zanurzyłem ręce w jej pulchnej tłustości, i zapadłem w nią, a ona miękko rozstępowała się pode mną, biorąc mnie w objęcia. Po chwili leżałem sobie wygodnie i zacząłem się nakrywać ziemią niby ciepłą kolderką. Tylko gęba była odkryta, a gwiazdy łączyły się w grona i zwisały mi nad ustami. Lipcowa noc zanuciła teraz swą wielką pieśń, jakiś oszalały konik polny cykał i cykał do upadłego. Nagle dzwon św. Marcina wybił dwa-naście razy, a może czternaście czy szesnaście, nie było to bowiem zwykle dzwonicie, lecz jakby hasło uroczystości. Wszystkie gwiazdy zmieniły się w dzwony... Boże, co za muzyka! Serce mi tłukło młotem, w uszach szumiało od tego dzwonicia.

Nagle z głębi mojej ujrzałem drzewo Jesego¹⁹⁷. Tuż obok mnie wyrastał z ziemi olbrzymi pień winorośli... Nie, nie obok, wyrastał wprost ze mnie, z mego brzucha, i wysyłał rozliczne gałązki ku niebu. Stało się tak jakoś, że nie ruszając się z miejsca, zacząłem jednak wspinać się po tych gałęziach coraz wyżej, a przy tym śpiewałem na całe gardło:

¹⁹⁵*consummatum est* (łac.) — dokonało się; ostatnie słowa Jezusa w łacińskim przekładzie *Ewangelii wg Jana* (J 19,30). [przypis edytorski]

¹⁹⁶*sursum corda* (łac.) — w górę serca. [przypis edytorski]

¹⁹⁷*drzewo Jesego* — artystyczne przedstawienie drzewa genealogicznego Jezusa z Nazaretu; Jesse był wg Biblii ojcem Dawida, króla Izraela; w *Księdze Izajasza* (Iz 11) mowa o wybitnym potomku Jesego, w czym chrześcijaństwo widzą prorocstwo dotyczące Chrystusa. [przypis edytorski]

Noc, Gwiazda

Ziemia, Gwiazda, Lato,
Noc, Muzyka

Drzewo, Śpiew

Nie uciekaj, winogradzie,
Moje sto tysięcy!
Chociaż leżę tu na zadzie,
Zapobiegnę takiej zdradzie
I nie puszczę więcej!

Musiałem tak przez znaczną część nocy wspinać się i śpiewać, gdyż jak mi potem powiedziano, prześpiewałem kilka tomów, i to najrozmaitszych utworów. Śpiewałem pieśni święte i świeckie. *De profundis*¹⁹⁸, kolędy, *Laudate*¹⁹⁹, fanfary, walce, pieśni wielkopostne, swawolne piosenki, pisałem, udawałem flet, bębniłem na bębnie i grałem na trąbce.

Zbiegli się zewsząd sąsiedzi, obstąpili winnicę i mówili do siebie z żalem:

— Co za wrzask! To Colas umiera. Biedny Colas. Zwariował przed śmiercią!

Nazajutrz zbudziłem się koło południa. Nie macie pojęcia, moi państwo, jak to przyjemnie zbudzić się na ziemi, na własnych śmieciach. Co prawda, posłanie nie było zbyt miękkie i bolał mnie wściekle brzuch, ale co za radość wiedzieć, że się jeszcze posiada brzuch! Aa, Breugnon... Drogi chłopcze, widzę, zawróciłeś z drogi!... To doskonale, dajże pyska! Macam się po całym ciecie, po znajomej gębie. Jest, jest, jest! Jakże dobrze, że wszystko jeszcze jest! Aa, jest także i mój ogród? Serwus! Meloniki moje kochane, zielone jeszcze, ale wnet się zaczną złościć.

Zapadłem w radosną kontemplację, ale wyrwało mnie z zadumy wołanie. Dwaj ludzie ryczeli spoza muru:

— Breugnon... Breugnon! Czyś już umarł?

To Paillard i Chamaille nasłuchiwali, czy nie dam znaku życia, a nie mogąc się doczekać, poczynali już wielbić moje cnoty i wychwalać nieboszczyka.

Wstaję pomalenku... (o, do licha, mój brzuch!), wstaję i zbliżam się z wolna, potem nagle wystawiam głowę i wołam:

— A kuku!

Rzucili się w tył.

— Breugnon, chłopcze drogi, więc nie umarłeś?

Śmieją się i płaczą z radości, ja zaś pokazuję im język.

— Żyję jeszcze, pocziwi ludziska!

Wyobraźcie sobie, że te draby trzymały mnie przez dwa tygodnie w moim nędznym szalasiu, aż się przekonali wyraźnie, że jestem zupełnie zdrow. Muszę przyznać, że nie dali mi cierpieć niedostatku. Miałem tedy i mannę²⁰⁰, i wodę (myślę o wodzie Noego), a nawet codziennie wieści ze świata, gdyż opowiadali mi wszystko, stojąc pod okienkiem.

Gdy wyszedł, Chamaille powiedział mi:

— Breugnon, wiesz kto cię uratował? Oto mój wielki święty: Roch²⁰¹. Powinien byś mu podziękować!

— Zdaje mi się — odparłem — że uratowało mnie trzech świętych, a mianowicie, święty chablis, święty pouilly i święty irancy. Wszakże samiście mi przynieśli od ich lekarstwo.

— Niech i tak będzie, Breugnon! Ale jedź ze mną, muszę cię koniecznie pokazać memu świętemu!

— Zgoda, byleś mi potem pokazał moich trzech świętych!

Udaliśmy się do proboszcza i znowu zasiedliśmy we trójkę przy winku.

— Ho, ho... Przyjaciele drodzy! — zawołałem. — Jakoś bliżej teraz siebie siedzimy niż onego dnia, kiedy to prosiłem was o kielich na pożegnanie! Wówczas nie chcieliście wcale napić do mnie!

¹⁹⁸*De profundis* [*clamavi ad Te, Domine*] (łac.) — Z głębokości [wołałem do Ciebie, Panie]; łacińska wersja pierwszych słów biblijnego Psalmu 130 (129), używanego jako tradycyjna modlitwa katolicka i znanego z licznych opracowań muzycznych. [przypis edytorski]

¹⁹⁹*Laudate Dominum* [*omnes gentes*] (łac.) — Chwalcie Pana [wszystkie narody]; łacińska wersja pierwszych słów krótkiego biblijnego Psalmu 117 (116), często występującego w liturgii katolickiej. [przypis edytorski]

²⁰⁰*manna* — w Biblii: pokarm, który został zesłany Izraelitom przez Boga w trakcie ich wędrówki przez pustynię po ucieczce z Egiptu (Wj 16,14–15; Lb 11,7–9). [przypis edytorski]

²⁰¹*Roch, święty* (ok. 1295–1327) — franciszkanin, pielgrzym; święty katolicki, patron aptekarzy i lekarzy, orędownik w czasie epidemii. [przypis edytorski]

— Wybacz, mój przyjacielu! — wyznał Paillard. — Kocham cię, ale bardziej jeszcze siebie. Wspomnij przysłowie: Bliższa koszula ciała...

— *Mea culpa! Mea culpa!*²⁰² — bił się w piersi proboszcz. — Jestem tchórz, taka już moja natura!

— Ach! Jakże to jednak dobrze żyć, drodzy przyjaciele! — zawołałem z westchnieniem.

Ucałowaliśmy się serdecznie i powiedzieli sobie:

— Każdy porządny człowiek ma swe wady, ale jest i tak darem nieba, a wiadomo: darowanej kobyle nie zagłada się w zęby!

VII ŚMIERĆ MOJEJ STAREJ

Koniec lipca

Rozpierała mnie coraz bardziej radość życia. Wracalem doń bez trudu, ochotnie, nie wątpicie o tym chyba. Czulem teraz, że jest stokroć lepsze, pełniejsze, słodsze, bardziej złote, przyrumienione, chrupiące, że rozplywa się wprost na języku. Miałem apetyt zmar-twychwstałego. Ach, jakże się musiał obżerać Łazarz²⁰³ po wyjściu z grobu!

Pewnego dnia pracowałem ochotczo w warsztacie, potem mocowałem się na kieliszki, niby Samson²⁰⁴, ze znajomymi i właśnie byliśmy wszyscy w najlepszym nastroju, gdy zjawił się pewien wieśniak z Morvan²⁰⁵.

— Majstrze! — powiedział do mnie. — Widziałem wczoraj waszą żonę!

— Ho, ho, toś sobie użył, bratku! — odparłem. — No, a cóż tam koło niej słyhać?

— A nic, wszystko w porządku. Wybiera się w drogę!

— Dokądże to?

— Spieszno jej, majstrze, do Pana Boga!

— Nie zazdroścę mu tej wizyty! — powiedziałem żartobliwie. — Niebo zamieni się w piekło!

A któryś z kompanów dodał:

— Ona odchodzi, tyś zostal! Oto widzisz, Colasie, że szczęście chadza zawsze w parze!

Chcąc się dostroić do innych, (mimo wzruszenia) odparłem:

— Napijmy się tedy, bracia. Bóg jest dobry, odejmuje bowiem babę chłopu, gdy ten nie wie już, co z nią począć!

Ale nagle wino wydało mi się jakieś gorzkie. Nie mogłem dokończyć szklanki. Wzią-łem kij w rękę i wyszedłem, nie pożegnawszy nawet znajomych. Krzyczeli za mną:

— Hej, dokądże to idziesz? Co ci się stało?

Byłem już daleko, śpieszyłem co sił w nogach, a serce mi ściszał ból. Tak, tak! Można nie kochać swej żony, można się z nią żreć jak pies z kotem przez dwadzieścia pięć lat, ale przecież zapomnieć nie sposób, gdy kostucha zjawia się u progu, że z towarzyszką swą dzielili wspólne, zbyt wąskie łóżko i pot jej mieszał się nierzadko z twoim i że z jej to chudego łona wyszło pokolenie nowe, przez ciebie poczęte, i wzruszenie chwyta cię za gardło, jak gdybyś tracił część własnego ja. Więc choć nie była piękna i nieraz ci dokuczyła, rośnie w tobie litość nad nią i nad sobą samym i teraz, mocny Boże, dopiero teraz czuje człowiek żal i coś jak miłość.

Przybyłem na miejsce nazajutrz o zmierzchu. Od pierwszego spojrzenia poznałem, że wielki rzeźbiarz-śmierć pracował dobrze. Spod firanki sfalowanej skóry ukazywała się tragiczna twarz śmierci. Ponadto stało się coś, co lepiej jeszcze podkreślało, że skon²⁰⁶ jest bliski. Ujrawszy mnie, spytała łagodnie:

— Mój drogi biedaku, musiałeś się bardzo zmęczyć, taki kawał drogi...

Mąż, Żona, Śmierć,
Małżeństwo

Choroba

²⁰²*Mea culpa! Mea culpa!* (łac.) — Moja wina! Moja wina! (formuła modlitewna wyrażająca żal za grzechy). [przypis edytorski]

²⁰³Łazarz (bibl.) — postać biblijna z *Ewangelii wg Jana*: wskrzeszony przez Jezusa po kilku dniach spoczywania w grobie; patron żebraków i trędowatych. [przypis edytorski]

²⁰⁴Samson (bibl.) — postać biblijna, legendarny bohater wojen Izraelitów z Filistynami; obdarzony nadludzką siłą, którą stracił po ścięciu mu włosów przez kochankę, Dalilę. [przypis edytorski]

²⁰⁵Morvan — pasmo górskie w Burgundii, na pld.-wsch. od Clamecy. [przypis edytorski]

²⁰⁶skon (daw.) — zgon, śmierć. [przypis edytorski]

Byłem głęboko wzruszony i pomyślałem:

„Oho, już po niej: stała się łagodna!”

Usiadłem przy łóżku i wziąłem ją za rękę. Nie była w stanie mówić, dziękowała mi tylko wzrokiem za to, że przyszedł. Chcąc ją rozweselić, próbowałem żartować i opowiedziałem jej w lekkiej formie, jak to zaraza przyszła do mnie z wizytą, ja zaś wyrzuciłem nieproszonego gościa za drzwi. Nie wiedziała o tym wcale i tak ją to wzruszyło (cóż za nieostrożność w okazywaniu uczuć), że mało co nie umarła.

Gdy odzyskała zmysły, zaczęła gadać („Dzięki Bogu, pożyje jeszcze” — pomyślałem) i wróciła jej złość. Usiadła i zaczęła miotać obelgi na moją głowę. Twierdziła, że to łajdactwo z mej strony, że jej nie dał znać, że nie mam serca, że jestem gorszy od psa, że jak pies powinienem zdechnąć w samotności i opuszczeniu na kupie śmieci. Była niewyczerpana, a wściekłość podwajało jeszcze to, że język jej się plątał i słowa wychodziły z ust zniekształcone i drżące. Chciano ją uspokoić, mówiono mi:

— Idźże sobie! Widzisz, że jej to szkodzi, odejdz bodaj na chwilę!

Ale ja roześmiałem się i pochylony nad łóżkiem mówiłem:

— Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Będziesz jeszcze zdrowa, teraz ci wrócił humor, mów dalej, stara, mów!

Wziąłem w obie dłonie trzęsącą się, biedną głowinę złościcy i ucałowałem z całego serca w oba policzki.

Za drugim pocałunkiem rozplakała się.

Siedzieliśmy bez słowa — sami, gdyż wszyscy wyszli do drugiej izby — słuchając świerszcza ćwierkającego gdzieś w szparze podłogi. Naraz uczulem, że chce mówić.

— Nie męcz się! — powiedziałem. — Przez dwadzieścia pięć lat nagadaliśmy się dosyć. Rozumiemy się bez słów.

— Nic ci jeszcze nie powiedziałam! — szepnęła. — Muszę wyznać wszystko, inaczej nie wejdę do raju...

— Ależ wejdiesz — zapewniałem — wejdiesz niezawodnie!

— Jeśli wejdę nawet... — upierała się — to wyda mi się gorszy od piekła. Muszę wyznać, iż byłam dla ciebie, Colasie, zła i że ci zatruwałam życie...

— To nic, to nic! Trochę kwasu nawet potrzeba dla zdrowia.

— ...byłam zazdrosna, kłótniwa, opryskliwa, uparta, zawsze naburmuszona, napętniałam wrzaskiem cały dom; zalewałam ci sadła za skórę²⁰⁷.

Pogładziłem jej ramię.

— To nic, to nic — zapewniałem. — Sadło przyda się zawsze pod skórą, a i tej skórze nic się zresztą nie stało!

— Ale kochałam cię! — zawołała.

— Wiem o tym i wiedziałem zawsze! — odparłem wesoło. — Każdy na swój sposób objawia miłość. Szkoda tylko, że nie powiedziałaś mi tego otwarcie.

— Kochałam cię! — powtórzyła. — Ale ty nie kochałeś mnie wcale. I dlatego ty byłeś dobry, a ja zła. Nienawidziłam cię, widząc, że mnie nie kochasz, a ty nicś sobie z tego nie robił. Śmiałeś się... Śmiejesz się dzisiaj jeszcze... Boże, ileż wycierpiałam przez ten swój śmiech! Ukrywałeś się w tym śmiechu niby w płaszczu nieprzemakalnym, a mój deszcz i burza nie mogły cię nigdy dosięgnąć. Jakże cierpiałam, Colasie... Kilka razy byłam bliska śmierci...

— Droga moja — odparłem — Kryłem się przed burzą, gdyż jak ci wiadomo, nie lubię wody!

— I teraz jeszcze śmiejesz się, niepoprawny człecze. Ano śmieje się. Widać cię grzeje ten śmiech. W tej chwili, kiedy mi nogi ogarnia chłód ziemi, czuję, ile wart ten twój śmiech. Pożycz mi tego płaszcza! Albo nie, śmieć się sam, nie mam ci już tego za złe... Przebac mi wszystko, Colasie.

— Byłaś kobietą uczciwą, dzielną i wierną. Czyż to nie dosyć? Być może, nie byłaś uprzejma codziennie. Ale przecież nikt nie jest bez wady. Sam jeno Pan Bóg jest doskonałością, tak przynajmniej mówią księża. Walczyłaś mężnie z przeciwnościami losu, nie uskarżałaś się nigdy na życie, a w chwilach naprawdę ciężkich stałaś zawsze przy mnie. Nie troszczymy się zresztą o przeszłość. Wspomnienia nasze są czyste, zachowaliśmy dobrą

Choroba, Żona, Wyrzuty
sumienia, Miłość

Żona, Małżeństwo, Śmierć

²⁰⁷ zalać sadła za skórę (fraz.) — dotkliwie dokuczyć komuś. [przypis edytorski]

wiarę, nie ugięliśmy się, nie wołali ratunku i nie mamy na sobie plamy hańby. Co się stało, tego nie można zmienić. Doniosłaś swoje brzemię do końca, niechże teraz Pan Bóg je waży, to jego urząd. Już to nie nasza sprawa, możemy sobie odsapnąć oboje. Rozprostujmy grzbiety, wykopmy sobie dziurę w ziemi, w której niedługo spoczniemy, by spać z otwartą gębą, chrapiąc jak organy. *Requiescant!*²⁰⁸ Pokój ludziom spracowanym na tym padole!

Słuchała z oczyma zamkniętymi. Ręce miała skrzyżowane na piersiach. Gdym skończył, podniosła powieki i podała mi rękę, potem rzekła:

— Połóż się, mój drogi. Zbudzisz mnie jutro i pomówimy jeszcze.

Jak przystało kobiecie miłującej porządek, wyciągnęła się prosto na łóżku, wygładziła koldrę, podciągnęła prześcieradło pod samą brodę, tak że nie było na nim ani jednej fałdy. Leżała z wzniesionym w górę spiczastym nosem, przyciskając krucyfiks do wyschłych piersi, i czekała gotowa i zrezygnowana.

Ale pisane jej było, że jeszcze przed śmiercią celem ostatecznego oczyszczenia przejdzie przez piekło ziemi. Właśnie w momencie, gdyśmy skończyli pożegnanie, wpadła do izby właścicielka domu i zawołała, zwracając się do mnie:

— Panie Colas, panie majstrze! Chodźże pan, prędko, prędko!

Nie rozumiejąc, o co idzie, spytałem:

— Co się stało? Proszę mówić ciszej!

Moja stara, siedząca jakby w wielkim pojeździe ruszającym w drogę niebiańską, snadź dostrzegła ze swego siedzenia coś więcej, gdyż podniosła się i wyciągając ku nam ręce, krzyknęła wielkim głosem:

— Głodzia! Moja Głodzia!

Teraz i ja zrozumiałem, przesyty owym krzykiem i słysząc chrapliwy kaszel w sąsiednim pokoju. W strasznym stanie znalazłem mojego kochanego skowroneczka. Głodzia dusiła się. Okrutna choroba pochwyciła w kleszcze biedny jej gardziołek, a maleństwo daremnie starało się łapkami rozluźnić śmiertelną pętlę. Oczętami tylko wzywała ratunku i rzucała się jak zraniona ptaszyna.

Straszna to była noc. Dziś jeszcze, chociaż minęło pięć dni, nie mogę o niej wspomnieć bez drżenia.

Od samego wspomnienia słabną mi nogi i muszę sięść i odsapnąć. Czyż podobna, by mieszkał w niebie Pan i władca dopuszczający, aby tak okrutnie męczono te małe istoty? Czyż nie jest to straszne patrzeć, jak cienka szyjka nabrzmiewa do pęknięcia, jak biedne ciało rzuca się w konwulsjach, a oczy spozierają ze zdziwieniem i wyrzutem? Rozumiem, że można ściągać skórę ze starego osła, jak ja na przykład, że dręczy się kogoś, kto umie się bronić. Nie dziwię się zgoła, miły Boże, że Cię zbiera nieraz ochota pobawić się udręką wrzeszczącego człowieka. Próbuje więc! Wszakże człowiek stworzony jest na Twój obraz, a przeto podobniście do siebie. Nie jesteś tedy, mocny Boże, każdego dnia w tygodniu dobry, miewasz kaprysy, złośliwości, zbiera Cię ochota robić na złość. Od czasu do czasu odczuwasz wielkie pragnienie niszczenia, próbowania siły, bo jesteś złośliwy, w złym humorze lub po prostu nie masz jak zabić czasu, wszystko to, jak rzekłem, nie dziwi mnie wielce. Stać nas na to — nas, ludzi, i Ciebie — by się popробować, i nieraz wypowiadaliśmy Ci otwarcie nasze poglądy. Ale brać na cel takie jagniątko, z którego ściśniętego karczku trysło by mleko, nie krew, to coś niesłychanego! Dość tego, nie wolno, i basta! Bóg czy król, czyniąc tak, przekracza swe prawa. Przestrzegamy Cię, Panie, że jeśli nie przestaniesz, to z wielką przykrością, ale stanowczo, jeszcze w tym tygodniu pozbawimy Cię korony. Takie okropności możliwe są w dwu jeno razach, o Panie nasz: albo nie widzisz, co się dzieje, albo Cię zgoła nie ma. Aj, to słowo nie ma sensu, cofam je przeto. Przecież sam fakt rozmowy z Tobą świadczy, że jesteś. Ach, ileż razy wiedliśmy dysputy i jeśli będziesz szczerzy, przyznasz, że Cię nieraz zmusił do milczenia. Tej nocy okrutnej wzywałem Cię, kłamałem, groziłem, przeczyłem Ci bytu, prosiłem, błagałem, wyciągałem do Ciebie ręce i pokazywałem pięści. Nie powiesz chyba, że zaniedbałem czegokolwiek, co by Cię mogło wzruszyć. Niestety, wszystko na nic, nie drgnąłeś nawet. „Nie chcesz — pomyślałem — dobrze, pokaże się, kto będzie na wierzchu; nie zwracasz uwagi na głos

Dziecko, Choroba, Śmierć,
Bóg

²⁰⁸ *Requiescant!* (łac.) — niechaj spoczywają. [przypis edytorski]

wiernych Twoich, tedy źle na tym wyjdiesz, gdyż znamy innych jeszcze panów i do nich się zwrócimy...”

Przez całą noc czuwałem przy Głodzi wraz z pocziwą właścicielką domu. Martynka została w Dornecy, gdyż przyszły już na nią bóle porodowe. Nad ranem dziecko zaczęło konać. Przeto powzięliśmy ostateczną decyzję. Wziąłem małą na ręce i wyjrzałem przez okno. Padał deszcz rzęsimy i dął silny wiatr. Róża na długiej łodydze usiłowała wsunąć się do izby. „To zapowiedź śmierci” — pomyślałem. Przeżegnałem się i mimo niepogody wyszedłem z domu.

Głodzia zwisała mi na ręku, jakby już umarła. Oślaniałem starannie biedną jej głowinę. Przodem szła gospodyni, niosąc dary dla duchów. Niebawem w przydrożnym lesie znaleźliśmy nad bagniskiem drzącą liśćmi starą osikę. Górowała nad niewielką polanką wysoka, prosta niby wieża. Okrążyliśmy trzy razy drzewo. Dziecko jęczało i szczeekało zębami.

Przywiązaliśmy do rączki Głodzi wstążkę, drugi jej koniec do gałęzi, a potem gospodyni zanuciła bezzębnymi ustami wraz ze mną zaklęcie:

Osiczyno, dobra pani,
Wstążkę ci niesiemy w dani!
Osiczyno, osiczyno,
Ulituj się nad dzieciną!
Zdejm chorobę tę przeklętą —
Kniemy cię przez Tróję Świętą,
Osiczyno, zbądź uporu,
Bo zwołamy duchy z boru.
Duchy czarne, białe, płowe,
I utniemy tobie głowę!

Potem gospodyni zrobiła dziurę pomiędzy korzeniami drzewa, wlała w nią kubek wina, włożyła dwa zębki czosnku i łyżkę sadła. Następnie napełniliśmy mój kapelusz trawą i okrążyliśmy go trzy razy. Za trzecim razem splunęliśmy weń i wyrzekli zaklęcie:

Ropucho, ropuszycho, ropuszasta,
Niech ci gardło się rozpuczy, i basta!

Na koniec zawróciliśmy do gościńca, odnaleźliśmy krzak cierni, uklękliśmy, położyli dziecko na ziemi i prosiliśmy Boga o ratunek przez pamięć cierni, które raniły głowę jego Syna.

Gdyśmy wrócili do domu, dziecko zdało się już nieżywe. Trudno, czyniliśmy, co leży w mocy ludzkiej.

Moja stara przez ten czas ani słyszeć nie chciała o śmierci. Miłość do Głodzi trzymała ją na ziemi. Złościła się, rzucała po łóżku i krzyczała:

— Nie pójdę, nie pójdę! Panie Boże, zaczekaj! Muszę się dowiedzieć, co będzie: tak czy tak; wścieklabym się z desperacji! Czy wyjdzie z tego? Ha, wyjdzie, musi wyjść, ja tak chcę! Tak się stać musi, musi, musi! Sprawa załatwiona!

Sprawa nie była jeszcze załatwiona, bo za chwilę znowu rozległy się dzikie wrzaski... Ho, ho, co za głosik! A ja, głupek, myślałem, że wydaje ostatnie tchnienie! No, jeśli to miała być ostatnia seria akordów, to finał należało nazwać świetnym.

Colasie, drabie jeden, pokpiwasz bezwstydnie! Ha, trudno, jestem, kim jestem. Śmiech nie przeszkadza mi cierpieć, a ból nie zdoła zamknąć gęby prawdziwemu Francuzowi. Czy się śmieje, czy płacze, nigdy oczu nie zamyka. Niech żyje Janus²⁰⁹ dwugłowy o oczach zawsze otwartych!...

Wrzeszczała coraz głośniejsze, tak że nie sposób było słuchać. Przeto uspokajałem ją, mówiłem do niej jak do chorego dziecka, okrywałem kołdrą. Wyrzywała się, odrzucała pościel i ryczała w najwyższej pasji:

²⁰⁹Janus (mit. rzym.) — bóg początków, przejść i zmian, opiekun drzwi, bram i mostów, przedstawiany z dwiema twarzami, jako patrzący w przeszłość i przyszłość. [przypis edytorski]

— Nicponiu! Obrzydły nicponiu i samolubie! Niby to jesteś mężczyzną, a nie masz siły uratować dziecka. Przeklęty sobku! Sobie umiałeś poradzić... ha? A właśnie ty powinieneś być umrzeć, nie ona!

— Masz rację! — odparłem. — Masz zupełną rację! Gdyby Pan Bóg chciał zamiany, niezwłocznie zdjąłbym swą skórę i posłał do nieba w prezencie, ale ten interes, zdaje się, nie dojdzie do skutku. Chociaż niedawno wyprana przez Chamaillé'a skóra moja ma dużo plam. Oboje mamy już mocno podniszczone ruchomości, przeto pozostaje nam tylko czekać i cierpieć. Cierpmy tedy w milczeniu. Może tą ofiarą ubłagamy Pana Jezusa.

Zamilkła, oparła głowę o moją głowę i słone łzy nasze zmieszały się. Cisza zapanowała. Zdawało się, że cień jakiś spływa, niby kir skrzydeł anioła śmierci.

Nagle rozjaśniło się, anioł znikł. Stał się cud. Skąd przyszedł? Czy z nieba, czy z lasu, czy sprawił go Jezus, pan miłosierdzia, czy straszliwa matka ziemia? Czy sprawiły go modły, czy wymusił strach kobiety, czy może zesłała go osika ubлагana darami lub drżąca o całość swej głowy?

Nie dowiemy się tego nigdy, a że w razach niepewności należy być ostrożnym, tedy złożyłem gorące dzięki wszystkim potęgom, całej kompanii i przesłałem gratulacje, dodając kilka ciepłych słów pod adresem potęg zgoła nieznanych (one są często najważniejsze).

Faktem jest, a to rzecz główna, że od tej chwili Głodzi ulżyło znacznie, gorączka spadła, oddech zaczął swobodnie przepływać przez gardziołek i maleństwo, umknąwszy zwycięsko szponom śmierci — zmartwychwstało.

Natenczas roztopiły się jak masło nasze stare serca. Oboje zaintonowaliśmy *Nunc dimittis, Domine...*²¹⁰ a moja złośnica opadła na poduszki, bezsilna, łkająca z radości. Głowa jej zwisała jak ścięta i legła ciężko na pościeli.

— Teraz czas mi iść... — wyszeptała. W tej samej chwili zmętniało jej spojrzenie, a policzki zapadły, jakby nagły powiew wiatru zgasił płomyk życia. Pochyliłem się nad łóżkiem, chociaż już jej nie było, i patrzyłem niby w wir na wodzie, gdzie na małą chwilę pozostają kształty ciała, które zapadło w głąb, niknąc w kręgach rozlewnych.

Zamknąłem jej oczy, pocałowałem woskowe czoło, skrzyżowałem na piersiach spracowane ręce, które nie odpoczywały nigdy, i pozostawiając lampkę, co zgasła z braku oliwy, usiadłem przy nowym płomyku, który miał odtąd oświetlać dom. Patrzyłem na śpiącą dziecinę, czuwałem nad nią i myślałem... (Czyż można powstrzymać się od myśli?)

Czyż nie dziwna to zaiste rzecz, że się człowiek tak przywiązuje do takiego maleństwa? Bez niego życie traci znaczenie, z nim nawet najgorsze jest dobre. Mogę sobie nawet umrzeć, cóż mi na tym zależy. Byle ono żyło, kpię z reszty. Ale koniec końcem coś mi za dużo tego wszystkiego. Wszakże istnieję, u licha, żyję, zdrów jestem, władam pięciu zmysłami i kilku jeszcze ponadto, z których najpiękniejszy jest imć pan zdrowy rozum. Nie boczyłem się nigdy na życie, noszę w brzuchu co najmniej dziesięć łokci kiszek, zawsze pustych i zawsze gotowych wziąć udział w uczcie życia. Ponadto jasno w mej głowie, rękę mam wprawna, twardy krok, mocne łdy, jestem zdolny robotnik i Burgund jak sto diabłów. Mimo wszystko jednak oddałbym się cały za to maleństwo, którego nie znam nawet dobrze! Bowiem w gruncie rzeczy czymże jest? Mały skrzacik, zabaweczka śliczniutka, papużka próbująca gadać, istota niebędąca na razie niczym, mogąca dopiero czymś zostać, i to tylko *może*. Czyż dla owego: *może* mam się oddać z bebeczami? Hola... Jestem, a przeto jestem i chcę być dalej! Ach, czyż owo *może* nie jest to właśnie ów piękny kwiat, dla którego żyję? Gdy robaki nażrą się mięsa mego, gdy cielsko moje rozpadnie się w cmentarnej ziemi, zmartwychwstanę, o Panie, w innym jakimś ja, piękniejszym, szczęśliwszym i lepszym *może*... Ha, trudno to zgadnąć! I dlaczegoż by miało być więcej warte od mego obecnego ja? Oto dlatego, że wylezie mi na plecy i więcej dojrzy z góry, która wyłoni się ze mnie, otworzy oczy na światłość niedostrzegalną oczom moim, mimo że ją tak kochały, stanie do zbioru plonów dni i nocy przyszłości. Widzę płynące lata i wieki i raduję się tym, co przeczuwam, i tym, czego nie znam. Wszystko wkoło mnie przemija, a właściwie to ja posuwam się coraz dalej, coraz wyżej, niesiony pokoleniami. Nie jestem już przykuty do małego terytorium swego. Poza widnokretem życia, poza moim polem

Śmierć

Dziecko

Dziecko

²¹⁰*Nunc dimittis [servum tuum] Domine* (łac.) — teraz puść [sługę Twego], Panie (Łk 2, 29); słowa świętobliwego starca Symeona na widok małego Jezusa przyniesionego przez Józefa i Marię do świątyni; wcześniej Bóg objawił Symeonowi, że nie umrze, póki nie ujrzy Mesjasza. [przypis edytorski]

snują się długie zagony, płyną poprzez ziemię, ogarniają przestrzeń, niby Droga Mleczna pokrywają pajęczyną całe lazurowe niebo. Jest to nadzieja moja, pożądanie, ziarno, które sieję pełną dłonią po rozłogach nieskończoności.

IX SPALONY DOM

Połowa sierpnia

Czyż zanotować dzień dzisiejszy? To twardy kawałek mięsa i jeszcze go nie mogłem strawić! Ano, niech tam! Może właśnie dopomogę w ten sposób żołądkowi.

Powiadają, że to, co w lecie spadnie z nieba, przyczynia ludziom chleba. Jeśli tak, to powinien bym być do tej pory Krezusem²¹¹! Bo tego lata deszcz mi ciągle leje za kołnierz. A jednak oto stoję przed wami, drodzy państwo, bez koszuli i butów, goły jak turecki święty! Zaledwie przetrwałem te dwie próby: wyleczenia Głodzi z choroby, a mojej starej z dolegliwości życia doczesnego, gdy przypuściły do mnie wściekły szturm potęgi zaziemskie, kierujące ludzką dolą.

Niezawodnie siedzi tam gdzieś w niebie, w jednym z głównych departamentów, jakaś wściekła baba, która ma do mnie pretensje. Cóżem jej zawinił? A może mnie kocha? Dosyć, że bitwa skończyła się porażką moją. Wychodzę z niej nagi, огоłocony do skóry, pobity i tyle mam pociechy, że mi skóra chociaż pozostała nienaruszona.

Mimo że wnuczka przyszła do siebie, nieśpieszno mi było wracać do domu. Ociągałem się z dnia na dzień, nie mogąc się nacieszyć jej zdrowiem. Małeństwo odzyskujące życie to coś jak powstawanie nowego świata: wszystko wokół niego zdaje się powracać do szczęśliwego okresu dzieciństwa. Przeto nie ruszałem się, odbywałem tylko przechadzki, słuchając obojętnie plotek przynoszonych na targ przez kumoszki.

Pewnego dnia nastawiłem uszu. Jakiś poganiacz osłów przyniósł wieść, że w Clamecy na przedmieściu Beuvronu wybuchnął pożar i że domy palą się jak słoma, jeden po drugim. Od tej chwili czułem się jak na rozżarzonych węglach. Daremnie mi mówiono:

— Uspokój się! Złe wieści latają szybko jak jaskółki, gdyby rzecz ciebie dotyczyła, otrzymałbyś wiadomość od przyjaciół. Wszakże nikt nie wspominał o twoim domu. Niejeden przecież jest osioł w Beuvronie...

— Tak, tak, to mój dom płonie. Dochodzi mnie swąd.

Wziąłem w garść laskę i ruszyłem w drogę.

„Psiakrew” — myślałem sobie. „Pierwszy to raz dopiero wydalilem²¹² się z Clamecy, nie zabezpieczywszy gratów. Zawsze, ile razy zbliżał się nieprzyjaciół czy w innym wypadku, przenosiłem w obręb murów miasta, na drugą stronę rzeki, moje penaty i lary, pieniądze, wytwory sztuki, które są moją dumą, narzędzia, meble i ot, wszystkie różności, które są może brzydkie, zabierają zbyt wiele miejsca, ale jednocześnie posiadają większą wartość od złota, bo są pamiątkami chwil szczęścia i radości. Tym razem wszystko zostawiłem, jak było...”

Słyszałem wyraźnie wrzask mojej starej, która z tamtego świata pomstowała na moją głupotę.

— To twoja wina, sekutnico! — odkrzyknąłem. — Do ciebie się tak śpieszyłem!

Kłóciliśmy się zęb za zęb długi czas (zajęło mi to znaczny kawał drogi), po czym starałem się przekonać ją i siebie, że cały strach był bezpodstawny. Ale obawa nie ustępowała, niby uprzykrzona mucha siadała ciągle na nosie, widziałem ją bezustannie i zimny pot spływał mi po grzbiecie i piersiach aż na brzuch. Szedłem żwawo, minąłem Villiers²¹³ i zacząłem wstępować na garbate pasmo wzgórz, gdy naraz spostrzegłem niewielki wózek, a w nim ojca Jojot, młynarza z Moulot²¹⁴.

Poznał mnie, zatrzymał konia i robiąc młyńca batem, krzyknął:

— Biedny chłopcze, żal mi cię serdecznie!

Dziecko, Zdrowie

²¹¹Krezus (595–546 p.n.e.) — król Lidii słynący ze swojego wielkiego bogactwa; jego imię jest obecnie synonimem bogacza. [przypis edytorski]

²¹²wydać się (daw.) — oddalić się; wyjechać. [przypis edytorski]

²¹³Villiers-sur-Yonne — wioska w Burgundii, ok. 8 km na pld.-wsch. od Clamecy. [przypis edytorski]

²¹⁴Moulot — przysiółek ok. 5 km na zach. od centrum Clamecy. [przypis edytorski]

Miałem wrażenie, że otrzymałem kopniaka w sam brzuch. Stałem na skraju drogi z otwartą głową, a on ciągnął dalej:

— Gdzie idziesz? Wróć się, Colasie. Nie idź do miasta! Będzie ci zbyt przykro. Wszystko spalone i zrównane z ziemią. Nie zostało ci nic!

Za każdym słowem ścisnęło mnie w kiszki. Udałem zucha, przełknąłem ślinę, wyprostowałem się i rzekłem:

— Wiem wszystko!

— A więc — odparł kwaśno — po cóż idziesz?

— Chcę zobaczyć szczątki! — powiedziałem.

— Mówię ci przecież, że nie zostało nic, ale to nic... Ani jedna rzodkiewka nie ocalała!

— Przesadzasz, Jojot! — zawołałem. — Przecież nie sposób, by moi uczniowie i poczciwi sąsiedzi patrzyli spokojnie na pożar, nie ruszywszy palcem, nie starając się uratować bodaj mebli, rzeźb; toż to zwykła przysługa sąsiedzka.

— Sąsiedzi? — wykrzyknął Jojot. — Nieszczęśniku, ależ to właśnie sąsiedzi twoi podłożyli ogień.

Ten cios dobił mnie, a on powiedział triumfalnie:

— Widzisz, że nie wiesz nic!

Nie chciałem ustąpić, ale Jojot, pewny teraz, że mi pierwszy głosi złowrogą wieść, zaczął z wielkim zadowoleniem opowiadać o pożarze:

— Wszystkiemu winna ta zaraza. Wszyscy dostali bzika. Ławnicy i urzędnicy, prokurator, słowem — cały zarząd okręgu wyniósł się z miasta, uciekając przed śmiercią. Zostały barany bez pasterzy i oczywiście, jak barany, popadły w wielki strach. Zdarzył się nowy wypadek zarazy nad Beuvronem i zaraz zaczęto krzyczeć: „Spalmy domy nawiedzone zarazą!”. No, i zrobili, jak urządzili. Nie było ciebie w mieście, przeto twoja chałupka poszła pierwsza z dymem. Każdy w dobrej wierze pracował co sił, gdyż wszyscy byli pewni, że działają dla dobra miasta. Zagrzewali się jeszcze wzajem do pośpiechu. Kiedy raz człowiek weźmie się do niszczenia, popada w jakiś szal, tak że go nie sposób powstrzymać. Gdy się dom palił jak świeca, zaczęli tańczyć wokoło ognia. Ach, szkoda, żeś ich nie widział! Oszaleli! I ty byś sam był tańczył jak wariat. Drzewo, któreś miał w pracowni, paliło się z trzaskiem... Słowem, zostały same popioły!

— To musiało pięknie wyglądać! — odparłem. — Szkoda, że nie widział!

A jednocześnie myślałem: „Już po mnie! Dobili mnie!”.

Ale nie powiedziałem nic staremu młynarzowi.

— Jakoś sobie z tego nic nie robisz — zauważył Jojot z kwaśną miną.

Już to taka bestia z najporządniejszego człowieka, że rad patrzeć na niedolę bliźniego choćby po to, by go pocieszać.

Odparłem:

— Szkoda, że nie zaczęli do świętego Jana²¹⁵ z tą piękną sobótką!

Skierowałem się ku miastu.

— Więc mimo to chcesz wracać?

— Tak. Bądź zdrow, Jojot!

— A to dziwak z ciebie!

Popędził szkapę.

Szedłem dalej, a raczej udawałem, że idę, aż do chwili kiedy wózek Jojota znikł na zakręcie drogi. Nie zdołałbym postąpić dziesięciu kroków i nogi uginały się pode mną. Opadłem na kamień przydrożny.

„Straciłem tedy wszystko — myślałem — nie tylko dom, ale także nadzieję zdobycia innego, gdyż nie zostało mi nic z oszczędności gromadzonych przez długie lata, grosz do grosza, w codziennym trudzie, który był mi równocześnie największą rozkoszą. Poszły z dymem zapisane na tych murach wspomnienia, cienie przeszłości spłonęły w ogniu jak żywe pochodnie. Ale utraciłem coś więcej jeszcze, bo wolność osobistą. Cóż teraz robić? Czy zamieszkać u któregoś z dzieci? Przecież przysięgłem sobie wedle sił unikać tej ostateczności, tego prawdziwego nieszczęścia. Kochają mnie i ja je kocham — to prawda!

²¹⁵ *dzień św. Jana* — obchodzone 24 czerwca święto katolickie ku czci biblijnego pustelnika, św. Jana Chrzciciela; ustanowione jako próba zasymilowania przez chrześcijaństwo tradycyjnych przedchrześcijańskich obrzędów związanych z letnim przesileniem słońca, zwanych *sobótką*; ich częścią było palenie wielkich ognisk, również nazywanych *sobótką*. [przypis edytorski]

Pożar

Kondycja ludzka

Upadek

Rodzina, Ptak

Ale każdy winien siedzieć w swoim gnieździe. Nic też dziwnego, że każdy ptak dba więcej o jaje, które sam zniósł, niż o skorupę tego, z którego się wykluł. Szanuje się rodziców — prawda. Ale pal sześć szacunek! To przyczyna wszelkiego zła: nie możesz bowiem wówczas rozmawiać z nimi na równi. Sam uczyniłem, co w mej mocy, by dzieci moje nie miały dla mnie szacunku, i powiodło mi się nadspodziewanie. Ale cokolwiek byś uczynił i choćby cię kochały, to dzieci traktują rodziców zawsze po trochu jak obcych. Przybywasz z krain, gdzie się nie narodziły, a nie poznasz okolic, dokąd zmierzają, jakżebyś się tedy mógł z nimi porozumieć? Krępujcie się sobą wzajem i złość w was wzbiera. Przy tym, strasznie nawet wspomnieć, człowiek najbardziej kochany nie powinien wystawiać na próbę miłości swych bliskich. Jest to kuszenie Boga. Nie należy domagać się zbyt wielu rzeczy od rodzaju ludzkiego. Dzieci moje są dobre i nie mam żadnego powodu żalić się. Ale są lepsze jeszcze, kiedy nie mam potrzeby uciekać się do nich o pomoc. Mógłbym o tym rzec niejedno. Poza tym mam swą porcję ambicji i nie lubię odbierać pasztetu temu, komu go raz dałem. Zdawałoby się, że mówię: »Zapłać!«. Niezarobiony kawałek chleba staje mi kością w gardle. Zdaje mi się, że widzę, jak liczą moje kęsy i łyki. Chcę wszystko zawdzięczać własnej pracy. Muszę być wolny, czuć się panem u siebie, wchodzić i wychodzić wedle upodobania. Jestem do niczego, czując się upokorzony. Ot, bieda staremu, źle być zawisłym od miłosierdzia swych bliskich, to gorsze jeszcze niż zależność od współobywateli, bo bliscy są do tego zmuszeni i człowiek nie wie nigdy, czy robią to ochotnie. Wolałbym zdechnąć niż zawadzać”.

Dziecko, Rodzina

Tak wdychałem, dotknięty w swej dumie i poczuciu niezależności, po utracie wszystkiego, co kochałem: poszły z dymem wspomnienia przeszłości dobre i złe. Wiedziałem, że cokolwiek uczynię, bunt mój jest próżny. Trzeba mi będzie pójść jedyną drogą, jaka pozostała. Wyznaję, że zapomniałem wówczas o wszelkiej filozofii. Czulem się jak nieszczęsne drzewo powalone na ziemię i pocięte na sęgi²¹⁶. Nagle dostrzegłem przezierające poprzez gałęzie drzew wieżyczki zamku Cuncy²¹⁷ i przypomniałem sobie wszystkie rzeźby, które w ciągu lat dwudziestu pięciu wykończyłem dla właściciela, zacnego Imc Pana Philberta. Straszny to był oryginał i nieraz się nań nazłościłem. Pewnego dnia kazał mi wyrzeźbić swe kochanki w strojach Ewy i siebie w stroju Adama, w zbrojowni zaś polecił nadać wszystkim jeleniom fizjonomie²¹⁸ przypominające najdokładniej mężów oszukiwanych przez żony, znanych w okolicy. Śmiano się z tego długo. Ale trudno go było zadowolić. Skoro tylko skończyłem jedną rzecz, zamawiał zaraz inną, natomiast płacił bardzo rzadko. Mniejsza o to zresztą. Piękne rzeczy rzeźbione w drzewie kochał na równi z rzeźbionymi w ciele, a miłość tę objawiał niemal w ten sam sposób. (I słusznie. Trzeba bowiem kochać dzieło sztuki tak, jak kocha się kochankę: całą namiętnością, duszą i ciałem).

Praca, Chleb

Starość, Miłosierdzie

Ale jeśli nawet, łobuz, mi nie płacił, dziś przecież winienem mu ocalenie. W chwili zatonięcia wypływam tutaj, a chociaż drzewo przeszłości mej pożarł ogień, to owoce się dochowały w miejscu bezpiecznym od mrozu i żaru. Napadła mnie ogromna chęć wbić w nie zęby, by odzyskać ochotę do życia.

Piękno, Uroda, Sztuka,
Miłość

Niebawem znalazłem się w zamku. Znano mnie tu dobrze. Właściciela nie było, lecz podawszy za pozór konieczność wzięcia pomiarów dla wykonania nowych rzeźb, zacząłem przechadzać się po komnatach, gdzie mieszkały moje drogie dzieciątka. Nie widziałem ich od kilku już lat. Artysta, czując się płodnym i płodząc, nie myśli o tym, co stworzył, dopiero potem...

Artysta

Ale dosyć rozważań. Imc Pan Philbert, gdym razu pewnego chciał obejrzeć swe rzeźby, zabronił mi wstępu, śmiejąc się przy tym dziwnie. Nie wziąłem nu tego za złe. Wiedziałem, że jest postrzelony, a przy tym lubi kobiety. „Pewnie ma tam jakieś damulki” — pomyślałem sobie, będąc zaś pewien, że nie na moją żonę się zlakomił, zostawiłem go w spokoju. Zresztą z zachciankami możliwych nie ma żartów; ostrożność nigdy nie zawadzi. Mieszkańcy Cuncy nie wgłębiają się zbyt w pobudki swego pana: wiadomo powszechnie, że ma lekkiego bzika.

Wstępowałem na główne schody pełen radości, ale nie uszedłszy dziesięciu kroków,

Sztuka, Przemoc, Szaleniec,
Artysta, Rozpacz,
Przekleństwo

²¹⁶ *sagg* — stos drewna; także miara objętości drewna. [przypis edytorski]

²¹⁷ *Cuncy-lès-Varzy* — wioska w Burgundii, ok. 15 km na pld.-zach. od Clamecy. [przypis edytorski]

²¹⁸ *fizjonomia* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

stanąłem skamieniały niby żona Lota²¹⁹. Witki winorośli, grona, gałązki brzoskwini, zdo-
biące poręcz, wszystko było pocięte, pokrajane, zniszczone jakimś toporkiem czy nożem!
Nie wierzyłem oczom i przesuwalem palcem po skaleczeniach, ranach, a z piersi mych
wyrwały się jęki. Szedłem dalej, drżąc na myśl, co zastanę w komnatach.

Zniszczenie przekraczało wszelkie wyobrażenie. W jadalni, w sypialni, w zbrojowni
wszystkie figurynki mebli i boazerii były bez nosów, bez rąk, bez nóg, a na płaszczy-
znach skarbczyków i skrzyń oraz na obramieniu kominka i podstawach kolumn widniały
głębokimi wcięciami poczynione napisy, monogramy właściciela, sentencje głupkowate,
różne daty świadczące, którego to dnia i godziny dokonane zostało dzieło zniszczenia —
dzieło naprawdę herkulesowe²²⁰.

W głębi głównej galerii moja precudna nimfa, oparta jednym kolaniem o kark lwi-
cy, musiała służyć za cel, gdyż w brzuchu jej tkwiło mnóstwo kul. A wszędzie, gdzie
spojrzałem, widniały cięcia siekiery czy noża, dziury, plamy z atramentu i wina, wąsy
wymalowane na twarzach kobiecych i sprośne facecje grubo nasmarowane.

Co tylko może wysmażyć głupota nudzącego się w zamku bogatego nicponia, wszyst-
ko to zwróciło się przeciw dziełom mych rąk i duszy. Gdybym go zastał, sądzę, że nie
wyszedłby żywy. Jęczałem, płakałem, biłem czołem o ściany, przez długą chwilę nie mo-
głem mówić, a czułem tylko, że mi krew nabiega do głowy i oczy z orbit wychodzą. Po
pewnym czasie wyrzuciłem nareszcie klątwę ze ściśniętego gardła. Czas był najwyższy,
inaczej, kto wie, co by się ze mną stało.

Za pierwszą pośpieszyły inne. Rozwrzeszczałem się na dobre.

— Aa... Psie jeden! — ryczałem. — Na tom do budy twej wpuścił moje piękne dzia-
tki, byś je dręczył, kaleczył, gwałcił, kalał i obsikiwał? W jakimże to stanie widzę was, moje
drogie, kochane dzieciątka, poczęte wśród radości? Wszakże pewny byłem, iż zostanie-
cie mymi spadkobiercami, uczyniłem was zdrowymi, silnymi, dałem wam pulchne ciała,
wyposażyłem członkami jak się patrzy, bez żadnych usterek, zrobiłem was z drzewa, które
trwać może i tysiąc lat. I cóż widzę? Oto odrapano was, poobrzynano, pokiereszowano
z przodu, z tyłu, z góry, z dołu, na pośladkach, na piersiach, z wszystkich stron, tak że
wyglądacie obscurnie i pokracznie, niby banda starych rabusiów wracająca z wojny! Czyż
ja to jestem ojcem całego tego batalionu Łazarzy? Mocny Boże, wysłuchaj mnie i udziel
tej łaski (być może, prośba ma wyda Ci się zresztą zbyteczna), bym po śmierci nie poszedł
do raju, ale do piekła i stanął u pieca, w którym Lucyfer²²¹ smaży dusze potępieńców,
a to w celu obracania własnoręcznie z pieczołowitością wielką różną, na który nabity
będzie morderca dzieci moich!

Właśnie doszedłem do tego miejsca, gdy stary lokaj Andoche, który mnie znał i lubił,
przyszedł z prośbą, bym przestał boleć tak głośno.

— Czyż warto unosić się do tego stopnia z powodu kilku kawałków drzewa? —
pocieszał mnie pocziwina, popychając równocześnie z lekka ku wyjściu. — Cóż byś,
majstrze, począł, gdybyś musiał, jak ja, żyć ciągle z tym wariatem? Czyż nie lepiej, że się
zajmie owym drzewem, za które ci zresztą pewnie zapłacił, miast dręczyć biedne chře-
ścijańskie dusze, które mu nic nie zawiniły?

— Ach, mój Andoche, niechby ci trochę przetrzepał skórę! Chętnie przyjąłbym baty
w zamian za poszanowanie tego drzewa, które w rękach moich nabrało życia. Człowiek
jest niczym, dzieło jego jest świętością! Podwójny to morderca, kto niweczy ideę!

Byłbym mówił dłużej, ale spostrzegłem, że słuchacz mój nic nie rozumie. Czułem
przy tym, że Andoche uważa mnie niemal za takiego samego wariata jak jego pan.

Zatrzymałem się w progu, chcąc ostatnim spojrzeniem ogarnąć cały obraz owego pola
bitwy — i nagle dostrzegłem śmieszność tego wszystkiego: moje biedne beznose bogi, na

²¹⁹żona Lota (bibl.) — postać z biblijnej *Księgi Rodzaju*: Bóg ostrzegł Lotę, jedynego sprawiedliwego w So-
domie, by nie oglądając się za siebie, uciekł z całą rodziną z miasta, na które zostanie zesłana zagłada; żona
Lota, która nie posłuchała zakazu i podczas ucieczki obejrzała się, zamieniła się w słup soli (Rdz 19, 17–26).
[przypis edytorski]

²²⁰herkulesowy — taki jak u Herkulesa, mitycznego starożytnego bohatera słynącego z nadludzkiej siły i do-
konania wielu niezwykłych czynów. [przypis edytorski]

²²¹Lucyfer, znieksz. *Lucifer* (rel., łac. *luciferos*: niosący światło) — w demonologii chrześcijańskiej imię
przywódcy zbuntowanych przeciw Bogu aniołów, który za karę został strącony w otchłań. [przypis edytorski]

których wywarł swą wściekłość Attyla²²². Andoche spoglądał bezmyślnym, pełnym litości wzrokiem na mnie, który jak nierozumne zwierzę wydawałem ryki bóleści, tracąc na próżno ślinę i monologując do bezrozumnych słuchaczy... Fiuu! Gniew mój i żal spłonęły jak garść perzu. Roześmiałem się osłupiałemu lokajowi prosto w nos i wyszedłem.

Znalazłszy się na gościńcu, powiedziałem do siebie:

— Teraz już koniec. Straciłem wszystko! Tylko się kłaść do grobu. Zostały mi jeno skóra własna i kości. Tak, u diaska, prawda, ale i to coś warte. Wszak znacie, drodzy państwo, odpowiedź, jaką dał dowódca obleganej fortecy, gdy oblegający odgrządzali się, że w razie dalszego oporu pozabijają ich dzieci: „Pozabijajcie! Posiadamy przy sobie narzędzia dla sporządzenia innych!”.

I ja mam swoje narzędzie, nikt mi go wyrzucić nie zdoła. Świat to jałowa pustynia, a tylko tu i ówdzie widnieje nieduże poletko obsiane przez nas, artystów. Bydło przychodzi, wyjada rośliny, depce nogami zagony, niweczy wszystko, bo bydło nic innego uczynić nie jest zdolne. A my bierzemy się na nowo do roboty i żniwo daje ciągle nowe plony. Mniejsza o kilka kłosów, w łonie ziemi trwa wieczysta siła, która nie dopuści do zatury. Jestem przyszłością, bo żyję tworzeniem, a nie tym, co było. A kiedy nadejdzie dzień, gdy siły ze mnie wyciekną, stracę wzrok i węch łakomy i stwardnieje mi obrotny język, gardziel, gdzie dziś spływa gładko wino, gdy osłabną mi ramiona i ustaną zręczne dłonie, i ochłodnie moja krzepkość, gdy stanę się już bardzo stary i krew ze mnie ujdzie, i zdrowy rozsądek... Wtedy, mój Breugnon, koniec z tobą! Nie trapi się więc teraz! Czymże bowiem jest Breugnon, który nie czuje, Breugnon, który nie tworzy, Breugnon, który się nie śmieje i nie krzesze ognia z czterech podków naraz? Znak to już będzie, że wyszedł na zawsze ze swoich zgrzebných portek. Możecie je po nim spalić.

Skończywszy z przeszłością, wstałem i ruszyłem żywo ku miastu. Niebawem znalazłem się na grzbiecie wzgórz okalających Clamecy. Czułem się spokojny, nawet żwawy. Szedłem, machając laską. Nagle patrzę, a tu biegnie ku mnie mały, jasnowłosy człowieczek i płacze głośno. Poznałem mego ucznia Robineta, zwanego Binet.

Smakacz miał niespełna trzynaście lat i wcale nie odznaczał się pracowitością. W warsztacie śledził zazwyczaj lot much, nie zwracając uwagi na robotę. Przy tym wołał przebywać poza warsztatem, wywracać kozły lub podglądać łydki dziewcząt przechodzących ulicą. Dwadzieścia razy dziennie musiałem po gromić. Ale zręczny był jak małpeczka, palce jego ruszały się błyskawicznie, tak że mógł zostać zdolnym artystą. Mimo wszystkich wad lubiłem jego szczery, otwarty pyszczek, drobne ząbki myszy, szczupłe policzki, chytre oczka i zadarty nosek. Wiedział, nicpoń, o tym. Toteż mogłem do woli grozić pięścią i miotać pioruny. Dostrzegał zawsze uśmiech, kryjący się w oku Jowisza. Gdy go zwyzyślał, otrząsał się najspokojniej, nie biorąc sobie gróźb do serca, a za chwilę rozpoczynał na nowo psie figle. Był skończonym nicponiem.

Zdziwiłem się więc niepomału²²³, że niby tryton²²⁴ tryska łzami ogromnymi jak gruszki, łzami płynącymi kaskadą z oczu i z nosa. Przybiegł, rzucił się mnie, całował, gdzie tylko mógł sięgnąć. Zalał mnie łzami i ogłuszył beczaniem wprost cielęcym. Nie wiedząc, o co idzie, spytałem:

— No, no, cóż ci to? Puść mnie! Trzeba wytrzeć nos, zanim się całuje...

Ale miast się uspokoić, trzymał się mnie dalej jak konar drzewa, a potem osunął mi się do kolan, do stóp i ryczał coraz głośniejsze. Uczulem niepokój.

— Kochany chłopcze — powiedziałem serdecznie — wstań z ziemi i powiedz, co masz na sercu!

Wziąłem, go za ramię, podniosłem... no, no... wstał nareszcie. Patrzę, a tu jedno ramię owinięte brudną szmatą, przez którą przecieka krew. Ubranie w strzępach, a w dodatku brwi zupełnie opalone.

Zapomniawszy o swej sprawie, pytam:

— Widzę, zrobiłeś znowu coś głupiego!

²²²Attyla (ok. 406–453) — wódz koczowniczego ludu Hunów, twórca rozległego imperium, najpotężniejszy z władców barbarzyńskich atakujących cesarstwo rzymskie. [przypis edytorski]

²²³nepomału (daw.) — niemało. [przypis edytorski]

²²⁴Tryton (mit. gr., mit. rzym.) — bóstwo morskie, syn i herold Posejdona (w mit. rzym. Neptuna); przedstawiany jako postać o ludzkim tułowi i rybim ogonie; czasem uznawany za ojca trytonów, podobnych sobie istot morskich, których rzeźby często zdobiją fontanny. [przypis edytorski]

Artysta, Obraz świata,
Kondycja ludzka

Starość

Wzdychał długo.

— Ach, majstrze... takie mam zmartwienie! — wyjąkał.

Sadzałam go przy sobie nad rowem i mówię:

— Gadajże wreszcie jak człowiek!

Nagle wrzasnął:

— Wszystko spalone!

I znowu lzy polały się strumieniem z jego oczu. Teraz zrozumiałem nareszcie, że moja strata do takiej go doprowadziła rozpacz, i wielka błogość nappełniła moje serce.

— Chłopcze, więc dlatego płaczesz? — pytam.

Mysząc, że nie rozumiem, powtórzył:

— Warsztat spalony, cały warsztat!

— Wiem, wiem! Już się dowiedziałem! Co chwila mi to ktoś opowiada. Ha, trudno!

Nieszczęście, i basta!

Spojrzał na mnie z widoczną ulgą.

— Więc żal ci klatki, mały czyżyku, przecież nie mogłeś w niej usiedzieć? Ej, mówiono mi, że wraz z innymi tańczyłeś wokoło ognia.

Nie wierzyłem w to sam.

— Kłamstwo! Bezczelne kłamstwo! Kto to powiedział? — wrzasnął na całe gardło. —

Bilem się z nimi! Uczyniliśmy obaj wszystko, cośmy tylko mogli, by wstrzymać pożar, ale było nas tylko dwu. Cagnat (drugi uczeń) był bardzo chory, a wyskoczył z łóżka i mimo gorączki wybiegł na dwór i zasłonił sobą drzwi. Ale jakże zatrzymać stado rozjuszonych byków? Przeszli po nas, zgnetli, przydeptali, zdusili. Na próżno biliśmy i krzyczeli, szli jak woda, gdy otworzą służy. Cagnat zerwał się, pobiegł za nimi i prał po plecach drągiem. Mało go na śmierć nie zatłukli. Gdy on walczył, ja wśliznąłem się do płonącego warsztatu... Boże mocny, co za ogień! Wszystko naraz stanęło w płomieniach. Dym i języki czerwone wypełniały całe wnętrze. Płakałem, kaszlałem, zaczęło na mnie płonąć ubranie. Powiedziałem sobie: „Robin, upieczesz się we własnym tłuszczu!”. Ano, zobaczymy! Wziąłem rozmach i... hop! Przeskoczyłem ogień niby sobótkę świętojańską i spadłem na kupę wiórów. Czuję, jak palą się na mnie spodnie i wędzi się skóra. Uderzyłem głową w ścianę i uczulem taki zawrót, że przez chwilę leżałem bez ruchu. Słyszałem wokoło syk i trzask ognia, i śpiew szaleńców tańczących wokoło domu. Próbuję wstać, potykam się, wreszcie spostrzegam waszą, majstrze, ulubioną świętą Magdalenę²²⁵, malutką, drobnutką, nagusienką, tylko przysłoniętą trochę włosami, tłusciutką i taką śliczną. Płomień oblizywał ją już. Krzyknąłem: „Czekaj!”. Nie wiedząc już, co czynię, przyskoczyłem, rękami zgasiłem płonące jej stopki, objąłem ją ramionami... Dalibóg, całowałem ją, ścisnąłem i mówiłem z płaczem: „Nie dam cię! Nie bój się, nie spalisz się, daję ci na to słowo! Ale ty mi także dopomóż, Madelon, a uratujemy się oboje!”. Nie było czasu do stracenia, bo właśnie... bum!... Spadł pułap. Nie mogłem wydostać się już wtedy, którędy wszedłem. Ale opodał ujrzałem okrągłe okno, wychodzące na rzekę. Wybiłem pięścią szybę i wylazłem głową naprzód. Akurat było miejsca na nas dwoje. Bums! Spadłem prosto w wodę i uderzyłem głową o dno Beuvronu. Na szczęście było miętko, więc tylko napchało mi się do gęby mułu, ale Magdalena wyszła cało z przygody. Ze mną było trochę gorzej. Umoruśałem się strasznie, opilem się wody, tak że do teraz zgrzyta mi piasek w zębach. Zresztą nie ma co dalej opowiadać, jesteśmy oboje cali! Przebaczone mi, majstrze, przebaczone, z duszy serca chciałem uratować warsztat, ale nie mogłem!

Zaczął rozwijać strzępy kamizelki, wyjął Madelon i pokazał mi jej nadpalone stopki. Uśmiechał się przy tym z dziwną, niewinną kokieterią. A mnie ogarnęło takie wzruszenie, że się rozplakałem. Czego dokazać nie mogła śmierć żony, choroba Głodzi, katastrofa majątkowa i zniszczenie mych rzeźb, tego dokazał czyn tego malca.

Całowałem długo Robineta i Magdalenę, a potem spytałem:

— A Cagnat?

Przemoc, Walka

Pożar, Sztuka, Poświęcenie

²²⁵ *Maria Magdalena* a. *Maria z Magdali* (bibl.) — postać biblijna z ewangelii *Nowego Testamentu*, uczennica Jezusa, która pierwsza przybyła do jego grobu; święta katolicka i prawosławna; w Kościele zachodnim w średniowieczu utożsamiona z Marią z Betanii, siostrą Łazarza (J 11, 2; 12, 3) oraz z anonimową nawróconą nierządnicą, która obmyła nogi Jezusa własnymi łzami i osuszyła swoimi włosami (Łk 7, 37–38) i w związku z tym w sztukach plastycznych często przedstawiana nago jako piękna kobieta o długich, rozpuszczonych włosach. [przypis edytorski]

— Cagnat umarł ze zmartwienia!

Ukląknę na gościńcu, ucałowałem ziemię i powiedziałem:

— Dziękuję ci, chłopcze!

Spojrzałem na malca tulącego figurkę w poranionych ramionach i wskazując nań palcem, powiedziałem niebiosom:

— Oto najcudniejsze z moich dzieł: wyrzeźbiłem te dusze. Nikt mi ich nie zabierze. Niech płonie drzewo. Dusza należy do mnie.

X ROZRUCHY

Koniec sierpnia

Gdy minęło wzruszenie, powiedziałem Robinetowi:

— Dość tego! Co z gęby wypadło, to i przepadło. Zastanówmy się nad tym, co dalej czynić należy.

Kazałem mu opowiedzieć zwięźle i jasno, co zaszło w mieście w czasie mej nieobecności, to jest od dwóch czy trzech tygodni. Historia wczorajszego dnia to dzieje starożytne, rzecz główna wiedzieć, jaka jest sytuacja danego momentu. Dowiedziałem się, że nad Clamecy zawisła klęska zarazy i strachu, a raczej niemal wyłącznie strachu, bo zaraza widocznie szukała sobie już innego terenu operacyjnego. Ustępowała teraz miejsca sępom-
-ścierwożercom zlatującym się zewsząd, przyciąganym odorem zgnilizny. Inne ptactwo, przerażone, zgłodniałe, nie broniło im wstępu, albo, biczem strachu smagane, czyniło to samo. Wągabundy i draby wszelkiego rodzaju opanowali wszystko i wydzielali zarazie łup ze szponów. Prawa przestały istnieć, a ci, którym powierzono ich straż, porozbiegali się pilnować swych pól i winnic. Z czterech naszych ławników jeden zmarł, dwu uciekło, a prokurator wycofał się na inny odcinek frontu. Kasztelan zamku był to człowiek dzielny, ale stary i podagryczny²²⁶, w dodatku stracił jedną rękę, nogi miał opuchłe, a mózg godny cielęcia. Pozostał tylko jeden radny: Racquin, ale znalazłszy się w obliczu rozpetanego tłumu, przerażony, a także powodowany chytrą, zamiast stawić czoło uznał za stosowne ustąpić i nawet przyłączyć się do złoczyńców. Za jednym zachodem mógł teraz zaspokoić swe dawne urazy, kierując podpalaczy w stronę tych, których szczęście kłuło go w oczy. Mścił się, to rzecz jasna, znałem go dobrze, i ten fakt objaśniał dostatecznie, dlaczego mój dom pierwszy padł ofiarą. Spytałem malca:

— Co robią mieszczanie?

— Czekają z otwartymi gębami, co los przyniesie — odparł Binet — to trzoda owiec. Siedzą w domu, spodziewając się przyścia rzeźnika. Zabrakło pasterzy i psów, tedy nie wiedzą, co czynić.

— No, drogi chłopcze, a ja to nie pies? Cóż ty na to? Czyż sądzisz, że mi stępiąły zęby? Spróbujemy!

— Majstrze! Jeden pies nie da rady!

— Spróbuję, spróbuję!

— Oni was złapią w pazury, majsterku.

— To i cóż? Nie mam nic, kpię sobie z wszystkich. Jakże uczeszą diabła, który wyłysiał ze złości... ha?

Zaczął tańczyć.

— Cha, cha, cha! A to ci frajda! Tra-ra-ra-ra! Hop siup, hop siup!

Poparzonymi rękami machał w powietrzu, brał się pod boki i tańczył jak wariat.

Zrobiłem surową minę.

— Małpo szkaradna, czyż teraz czas tańczyć, skakać z drzewa na drzewo? Cicho bądź i słuchaj uważnie, co powiem.

Słuchał z roziskrzonym wzrokiem.

— Nie będziesz się śmiał za chwilę. Oświadczam, że natychmiast udaję się, i to sam jeden, do Clamecy.

— A ja?

²²⁶podagryczny — cierpiący na podagrę, czyli artretyzm (dnę moczanową), chorobę charakteryzującą się nawracającymi epizodami ostrego zapalenia stawów. [przypis edytorski]

— Ty pójdziesz jako mój ambasador do Dornecy i powiesz magistrowi Nicole, jednemu z naszych ławników, że jutro dobiorą się złodzieje do jego piwnicy. Jest to człowiek rozumny, ma dobre serce, jeszcze lepsze nogi i kocha swoje mienie bardziej niż własną skórę. Stamtąd posuniesz się aż do Sardy²²⁷ i powiesz panu prokuratorowi Wilhelmowi Courtignon, że dom jego zostanie tej nocy niewątpliwie spalony, zdemolowany, okradziony i tak dalej, jeśli natychmiast nie przybędzie. Nie potrzebuję ci dyktować, co masz mówić, potrafisz łąć sam, prawda?

Malec poskrobał się za uchem i powiedział:

— Naturalnie, to rzecz łatwa, ale nie chcę was opuszczać, majstrze.

— Czy się pytałem, co chcesz, a czego nie chcesz? Ja tak chcę, i basta! Twoja rzecz słuchać.

Zaczął się wykręcać.

— Dość tego! — krzyknąłem.

Niepokoilo go, co się ze mną stanie.

— Nie zabraniam ci przecież pośpieszyć się. Załatw sprawę i wracaj. Najlepszy sposób pomocy to sprowadzić posiłki.

— Lecę galopem, jak koń wyścigowy! — wrzasnął malec. — Na nogach, na głowie, na brzuchu będę leciał i sprowadzę Courtignona i Nicole’a, choćbym miał im wydrzeć wszystkie włosy z brody.

Ruszył w podskokach, ale zatrzymał się i krzyknął:

— Majstrze! Powiedzcie mi przynajmniej, co chcecie uczynić?

Przybrawszy poważną, tajemniczą minę, odparłem:

— Coś niezwykłego!

Pojęcia najmniejszego nie miałem w tej chwili, jak się wziąć do rzeczy.

*

Przybyłem do miasta około ósmej wieczorem. Słońce zaszło, a złote chmury snuły się jeszcze po zachodnim niebie. Noc się ledwo rozpoczęła. Cudna noc, ale nie było komu rozkoszować się nią. U bram nie napotkałem ani jednego strażnika, ani jednego włóczęgi nawet. Wszedłem jak do otwartej stodoły. W głównej ulicy napotkałem kota gryzącego kromkę chleba: gdy mnie ujrzał, najeżył się, parsknął, a potem uciekł. Domy pozamykały oczy, stały oślepie, drętwe, zgasłe. Ani jeden dźwięk głosu nie dolatywał znikąd.

— Wszyscy pomarli! Przybyłem za późno! — powiedziałem do siebie.

Wtem usłyszałem szelest za okiennicami. Śledzono uchem odgłos moich kroków. Zastukałem tedy:

— Otwierać!

Nikt się nie poruszał. Podeszedłem do drugiego domu. Stukałem ręką, kolaniem, laską. Nie otwarto. Posłyszałem tylko wewnątrz jakby chrobot myszy.

Teraz zrozumiałem wszystko.

— Aha! Siedzą jak świstaki w jamach! Czekaście, już ja was wykurzę, głuptaki! Kroćset diabłów!

Idę do księgarni i walę w drzwi, niby w bęben, a przy tym trąbię:

— Hejże, stary ośle, przyjacielu Denise Saulsoy, otwieraj! Inaczej połamię wszystko w kawałki! Otwieraj, bałwanie, to ja, Colas Breugnon!

Ledwo te słowa przebrzmiały, nagle, jakby dotknięte różdżką czarodziejską, rozwarły się wszystkie okiennice domów, potem okna i oto ujrzałem, jak długa ulica, twarz przy twarzy, przerażone fizjonomie mych kochanych mieszczuchów. Tkwiły przy sobie rzędem, niby jabłuszka na półce piwnicy.

Patrzyli na mnie, patrzyli, patrzyli... Nie wiedziałem, że jestem tak piękny; poklepałem się tedy po brzuchu. Na ten widok twarze rozjaśniły się nagle, a tu i ówdzie błysnął nawet uśmiech.

„Kochają mnie te bałwany” — pomyślałem, nie bacząc, że nie tyle miłość co obecność moja w tej chwili dodała im otuchy i rozpogodziła oblicza.

Miasto

²²⁷ Sardy-lès-Épiry — wioska w Burgundii, ok. 35 km na pld. od Clamecy. [przypis edytorski]

Zaczęła się rozmowa Breugnona z gęsiami. Gęsi gęgały wszystkie razem, a ja musiałem sam jeden odpowiadać.

— Skąd wracasz? Coś robił? Coś widział? Co zamierzasz? Jak udało ci się dostać do miasta? Którędy można uciekać?

— Hola! — krzyknąłem. — Dość tego! Widzę, że języków wam nie powyrywano. To dobrze, ale szkoda, że wam dusze powpadały do majtek. Czegóż siedzicie w dziurach, wyjdźcie na świat, noc śliczna! Czy wam pokradziono portki i spódnice?

Miast odpowiedzi pytali:

— Breugnon, powiedz, kogo spotkałeś na ulicach?

— Po cóż wam będę opowiadał, skoro siedzicie wszyscy w gniazdach?

— Pewnie spotkałeś złoczyńców!

— Złoczyńców?

— Rabują i palą...

— Gdzież to?...

— W Béyant!

— Więc chodźmy ich schwycić!

— Wolimy strzec domów.

— Najlepiej strzeże domu ten, kto broni domu bliźniego.

— Każdemu bliższy własny...

— Czyli jak mówi przysłowie: Kocham mego sąsiada, ale niech tam przepada! Głup-taki! Idźcie na rękę złoczyńcom. Gdy skończą łupić tamtych, przyjdą do was! Nikogo to nie minie!

— Pan Racquin powiedział, że to niebezpieczne. Najlepiej siedzieć spokojnie w domu, brać udział w paleniu domów zarażonych i czekać, aż zostanie przywrócony ład.

— Któż go przywróci?

— Książę de Nevers.

— Oho, dużo przedtem wody upłynie. Ma on swoje sprawy na głowie, a tymczasem całe miasto spłonie. Dalejże, dzieci, wyłaźcie z jam. Każdy powinien bronić własnej skóry, i to w kupie!

— Ależ ich jest dużo! Mają broń!

— Skąd wiecie? Strach ma wielkie oczy!

— Nie ma kto nami kierować!

— Kierujcież sobą sami!

Zaczęli gadać, rozprawiać z okna do okna, niby ptaki w koronie drzewa. Klócili się, ale nikt nie ruszył z miejsca. To mnie zniecierpliwiło.

— Więc zostawicie mnie przez całą noc na ulicy, z nosem zadartym w górę i przekrzywionym karkiem? Nie przyszedłem po to, by śpiewać serenadę i słuchać szczękania waszych zębów. Otwórzcież, wpuście mnie, inaczej, dalibóg, podłożę ogień pod pierwszy lepszy dom. Dalejże! Niech przyjdą tu koguty! Kury starczą na obronę gniazd!

Rozległy się kłatwy i śmiechy, potem uchyliły się jedne drzwi, potem drugie, ukazał się jakiś nos, węszył, za nosem wylazło całe zwierzę. A kiedy zobaczono pierwszego barana na polu, wysypała się cała trzódka. Każdy oglądał mnie od stóp do głów.

— Czyś całkiem zdrow?

— Zdrow jestem jak głowa kapusty!

— I nikt cię nie zaczął po drodze?

— Tylko sroka! Krzyczała z drzewa!

Widząc, że uszedł jakoś zarazie, odetchnęli i polubili mnie tym bardziej. Powodzenie budzi sympatię.

— Przypatrzcież mi się dobrze! — powiedziałem. — Jestem w komplecie, nie brak mi ani jednego kawałka! Może weźmiecie okulary... No, dość tego, będziecie widzieli lepiej jutro, za dnia. A teraz dość gadania... Gdzie możemy się naradzić?

— U mnie w kuźni! — zaproponował Gangnot.

W kuźni niskiej i dusznej rozłożyliśmy się na ziemi udeptanej kopytami koni. Zamknęto drzwi, postawiono lampkę i zaraz ogromne cienie poczęły skakać po czarnych ścianach i pułapie. Zrazu wszyscy milczeli, potem wszyscy zaczęli mówić naraz. Gangnot ujął młot i trzasnął w kowadło. Nastąpiła znowu cisza. Skorzystałem z niej i powiedziałem:

— Szczędźmy słów. Znam całą historię. Złoczyńcy są wśród nas; wyrzućmy ich tedy precz!

— Są silni. Flisacy i holownicy drzewa są po ich stronie.

— Flisacy — odparłem — to to samo co złoczyńcy. Pożądam cudzego dobra. Widząc, że drudzy piją, czują sami pragnienie! Nie wódź nas na pokuszenie... Jeśli zezwolicie na rabunek, to bądźcie pewni, rozwieliż się do tego stopnia, iż wszyscy zejdzicie na dziady. Ani jeden się nie uchroni! Uczynmy rzecz mądrą, przyłożmy siekierę do korzenia zła!

— Ależ pan Racquin, jedyny radny, jaki pozostał, zabrania mieszać się do tego! A wszakże on jeden daje dziś rękojmę porządku i bezpieczeństwa...

— Czy istnieje porządek i bezpieczeństwo?

— Podobno...

— Tak czy nie?

— Hm, właściwie to nie!

— Tedy my obejmujemy władzę!

— Pan Racquin obiecał, że jeśli się zachowamy spokojnie, to zło nas ominie. Rozruchy zostaną ograniczone do przedmieść.

— Skądże on o tym wie?

— Musiał rad nierad zawrzeć umowę ze złoczyńcami.

— Ależ taki fakt to zbrodnia!

— Powiada, że uczynił to, aby uspić ich czujność...

— Ich czujność albo waszą czujność. Ha, ha! Waszą, cymbały, waszą!

Gangnot huknął znowu młotem w kowadło. To był jego sposób zabierania głosu.

— Breugnon mówi prawdę! — oświadczył.

Wszyscy zamilkli zawstydzeni, wściekli i przerażeni, a Denis Saulsoy wymruczał półgłosem:

— Gdyby człek śmiał mówić, co myśli... ho, ho, ho!

— Czemuż nie gadasz? Jesteśmy w kole przyjaciół. Czegóż tu się obawiasz?

— Hm, ściany mają uszy!

— Nie jest tak źle! Gangnot, mój drogi, weź do garści młot i stań pod drzwiami. Ktokolwiek chciałby tu wejść lub stąd wyjść przed czasem, palnij go w sam brzuch. Czy mury mają uszy, by szpiegować, czy nie, to zaręczam, że nie starczy im języka, by denuncjować. Wyjdziemy stąd dopiero po uchwale jako władza wykonawcza i nas będzie słuchało całe miasto! Kto piśnie słowo, będzie wisiał. No, gadajcież! Kto milczy, ten jest zdrajcą!

Uczynił się straszliwy hałas. Wybuchła nagle cała nienawiść, cały tłumiony strach. Każdy potrząsał pięścią i dał się co sił:

— Ten łajdak Racquin trzyma nas w łapie! Judasz²²⁸ śmierdzący, sprzedał nas i mienie nasze złodziejom i podpalaczom. Ale cóż robić? Nie ma rady. Ma władzę, siłę, policję!

Spytałem:

— Gdzież jego gniazdeczko?

— W ratuszu. Spędza tam dni i noce, dla większego bezpieczeństwa otoczył się bandą nicponiów, złodziei i kryminalistów. Czuwają nad nim, a może nawet pilnują go, by nie uciekł. Któż tam wie?

— Tedy jest więźniem? Doskonale! Pójdziemy przede wszystkim uwolnić go! Gangnot, otwórz drzwi!

Nie mogli się jeszcze zdecydować.

— Czegóż czekacie? — spytałem.

— To sprawa gardłowa. Nie boimy się, ale zważ no, Breugnon, że właściwie nie mamy prawa. On jest przedstawicielem władzy, a występować przeciw władzy — to znaczy brać na siebie wielką...

— Od-po-wie-dział-ność! Czy tak? Dobrze! Oświadczam, że całą odpowiedzialność biorę na siebie. Uspokój się, Denis. Gdy widzę przed sobą zbója, zaczynam od rozbicia

Władza, Zło, Bunt

²²⁸ Judasz (bibl.) — postać biblijna z ewangelii *Nowego Testamentu*, jako jeden z uczniów Jezusa miał go zdradzić i wydać w ręce władz, przekupiony sumą 30 srebrników; jego imię stało się synonimem człowieka obłudnego, dopuszczającego się zdrady. [przypis edytorski]

mu czaszki, a potem dopiero pytam, jak się zwie: prokurator czy papież. Tak być powinno i tak się stanie! Gdy bezład rządzi, rząd prawdziwy spocząć musi w rękach uciemżonych!

Gangnot rzekł:

— Idę z tobą!

Wziął w potężną łapę swój młot ogromny, oparł go o ramię i ruszył przodem, wysoki, czarny, poważny, niby maszerująca wieża. Inni tłumnie pośpieszyli za nim, skryci za bastionem jego olbrzymiego ciała. Każdy pobiegł jeszcze do domu po arkebuz²²⁹, kuszę, młot, kosę lub siekierę. Rozpierzchli się, a mnie napadły wątpliwości, czy wrócić. Wrócili, wprawdzie przerzedzeni trochę, ale zbrojni i zdecydowani.

Bardzo nam to było na rękę, żeśmy zastali drzwi ratusza otwarte. Pasterze byli tak pewni głupoty swych owieczek, tak dalecy byli od przypuszczenia, że oprą się one rozpętej już strzyży wełny, iż spali najspokojniej snem niewiniątek, podjadłszy przedtem do syta.

Ofensywa nasza, przyznając szczerze nie miała zgoła cech bohaterstwa. Wystarczyło po prostu wybrać pisklęta z gniazdka. Wyciągnęliśmy wszystkich wprost z łóżek. Byli porozbierani niemal do naga, niby króliki, z których zdarto skórę.

Racquin był to sobie człowieczek tłusciutki, różowiutki, na czole miał poduszczeni słoniny, na karku cały poleć, oczęta zaś słodziutkie połyskiwały zgoła niegłupio. Od pierwszego momentu wiedział, o co idzie. Mignęła mu w oczach błyskawica strachu, ale się opanował i głosem władczym spytał, po cośmy przyszli, napastując dom i naruszając prawo.

— Przyszliśmy ci sądzić, obwiesiu! — powiedziałem cichutko.

Oburzył się, zaczął kłąć. Saulsoy rzekł mu wówczas spokojnie:

— Panie Racquin, nie groź pan. Jesteś oskarżony. Przychodzimy, byś zdał sprawę z zarządu miastem. Broń się, jeśli możesz!

Natychmiast zmienił ton.

— Drodzy współobywatele! — powiedział słodko. — Nie pojmuję, czego sobie życzycie! Komuż się stała krzywda? Czyż nie pozostałem w mieście, narażając własne życie, a to dla waszego dobra? Wszyscy uciekli, tylko ja jeden stawiam czoło zarazie i rozruchom. Cóż mi więc zarzucacie? Dlaczego przypisujecie mi jakąś winę miast okazać uznanie?

Rzekłem mu:

— Wiadomo, że chytry lekarz jątrzy ranę, bo z niej żyje. To samo czynisz ty, oprawco miasta. Podniecasz rozruchy, żywisz się zarazą, porozumiewasz się ze zbójcami, palisz nasze domy, wydajesz na łup tych, których ci bronić przystało, a szczujesz na nich tych, których zwalczać trzeba. Powiedz nam tedy, zdrajco, czy przez chciwość zysku, czy ze strachu oddajesz się temu haniebnemu procederowi! Powiedz, jaki ci mamy napis zawiesić na szyi? Czy taki: „Oto człowiek, który zaprzedał zbójom rodzinne miasto za trzydzieści srebrników” — czy taki: „Oto radny miasta, który salwując²³⁰ własną głowę, oddał głowy obywateli pod topór”?! Gadaj!

Wpadł w złość i krzyknął:

— Czynię, com czynić winien! Mam władzę! Palę domy nawiedzone zarazą, gdyż tak mówi prawo!

— Znaczysz krzyżem zarazy domy tych obywateli, którzy nie trzymają z tobą! Kto chce psa uderzyć, łatwo znajdzie kij! Ha, ha! Więc pewnie pozwalasz także rabować domy, by zwalczać zarazę?

— Nie mogę temu zapobiec! Zresztą złoczyńcy, rabując domy zapowietrzone, zarażają się i giną. Stąd podwójna korzyść, bo się pozbywam tej hołoty.

— Genialny wynalazek! Jeśli tak dalej pójdzie, to zostaniesz królem na zgliszczach miasta, co? Wybornie! Szczętnie choroba i szczętnie chory, a sam lekarz zostanie i schowa zysk za pazuchę. Nie uznajemy twej metody, mój Racquin! Od tej chwili obejmujemy sami opiekę nad miastem, a ponadto zaopiekujemy się tobą, by cię nie spotkał jaki wypadek, aż do czasu, kiedy zostaniesz wynagrodzony...

— Piękną tablicą pamiątkową na grobie! — dokończył Gangnot.

²²⁹ arkebuz — dawna ręczna długa broń palna, używana od XV do pocz. XVII w.; wyparta przez muszkiet. [przypis edytorski]

²³⁰ salwować (z łac., daw.) — ratować. [przypis edytorski]

Jakby ktoś rzucił kość między psy, wszyscy zaczęli się cisnąć do Racquina z wrzaskiem nieludzkim:

— Pogrzebać go żywcem! Podpalacz! Zdrajca! Do grobu! Do grobu!

Wyrwał się i uciekł do alkowy²³¹. Tam, oparty o mur, blade, szczyrzył zęby gotów gryźć. Powstrzymałem sfotę:

— Czekajcie! Ja to załatwię!

Nędznik szczykał zębami ze strachu i zimna. Był nagi. Uczułem litość i powiedziałem:

— Wdziewaj portki. Dość mamy widoku twego zadka!

Śmiech się rozległ donośny. Korzystając z momentu, zaapelowałem do rozsądku obywateli, a Racquin tymczasem ubierał się, rzucając złe spojrzenia. Uczułem, że niebezpieczeństwo nie jest już tak bezpośrednie, więc ubrawszy się, nabrał odwagi i zaczął krzyczeć. Nazwał nas buntownikami i zapowiedział, że będziemy oskarżeni o zbrodnię obrazy urzędnika. Odpowiedziałem:

— Nie jesteś urzędnikiem, zbój. Wypędzam cię z urzędu!

Teraz wściekłość zwróciła się przeciwko mnie. Żądza zemsty wzięła górę nad rozsądkiem. Powiedział, że mnie zna, że ja jestem przywódcą buntowników i że na moją głowę spadnie odpowiedzialność. Wymyślał mi ostatnimi słowy i pluł na mnie.

— Czy go ubić? — spytał Gangnot.

— Sprytny jesteś, Racquin — powiedziałem. — Wiesz dobrze, że natychmiast mogę cię zakatrupić, ale nie uczynię tego, gdyż myśłano by, że się mszczę za spalenie domu. Jednak należy ci się strycalek. Ale ten strycalek załóż ci kto inny na szyję. Zaczekaj troszkę. Tymczasem mamy cię w rączkach, składamy z urzędu i zaczynamy rządzić sami.

Wybełkotał:

— Wiesz chyba, Breugnon, czym to pachnie!

Odparłem:

— Wiem, skróceniem o głowę! Zaryzykuję tedy głowę własną za głowy obywateli.

Zamknięto go w więzieniu. Zajął miejsce po wypuszczonym przez nas starym policjancie, którego kilka dni przedtem wtrącił do lochu, ponieważ nie chciał wykonywać jego łajdackich rozkazów. Zarówno woźni, jak i odźwierni zatrudnieni w ratuszu mówili nam — kiedy zamach został już dokonany — że postąpiliśmy słusznie, bowiem Racquin był zdrajcą. Łatwo im teraz gadać!

*

Do tej pory nasz plan rozwijał się i posuwał tak gładko jak hebel po suchuteńkiej, wolnej od sęków desce orzechowej. Byłem tym wprost zdziwiony i pytałem siebie samego: „Gdzież są właściwie złoczyńcy?”

Ale w tej chwili rozległy się okrzyki:

— Do broni! Do broni!

Rabowano gdzieś. Zbiegliśmy na ulicę i tam jakiś zadyszany człowiek powiedział nam, że banda złodziei podpala i rabuje składy Piotra Poullard w Betlejemie, tuż za bramą Lourdeau.

Rzekłem do współobywateli:

— Może byśmy im zagrali do tańca?

Pobiegliśmy do Mirandoli. Z terasy²³² widać było dolną część miasta i właśnie od tej strony dolatywał zgiewk i wrzawa. Dzwon z wieży św. Marcina bił na trwogę.

— Przyjaciele, trzeba nam będzie wleźć do tego pieca, nie ma innej rady! Będzie trochę ciepło. Czyście gotowi? Ale przede wszystkim potrzeba dowódcy! Czy chcesz objąć komendę, Saulsoy?

— Nie! Nie! Nie! — zawołał, odskakując trzy kroki w tył. — Nie chcę! Nie umiem! Nie znam się na tym! Wystarczy, że odbywam swoją wartę ze starym muszkietem. Uczynię, co trzeba, ale komenda? Broń Boże! Nigdy nie umiałem prędko się decydować!

— Więc kto się zgłasza?

Nikt się nie odezwał. „Znam ja was, ptaszki — pomyślałem — maszerować, gadać, to

²³¹alkowa — mały pokój bez okien, przylegający do większego pokoju, przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

²³²terasa — płaski teren na zboczu doliny rzecznej. [przypis edytorski]

Bunt

Mieszczanin

jeszcze jakoś idzie, ale gdy trzeba coś zrobić, nie ma nikogo! Przechytrzy taki mieszczuch swoje życie, sto razy będzie macał, zastanawiał się a targował, zanim kupi towar, aż wreszcie okazja mija, i tyle ją widział! Ot, tak zawsze bywa z mieszczuchem”. Wyciągam przeto rękę:

— Jeżeli nikt nie chce, tedy ja obejmuję komendę!

Powiedzieli chórem:

— Zgoda!

— Ale musi mnie każdy słuchać bez gadania. Inaczej diabli nas wezmą. Do rana tedy jestem wyłącznym panem sytuacji. Jutro będziecie mnie sądzić, zgoda?

— Zgoda! — powtórzyli.

Zeszliśmy ze wzgórza. Szedłem na przedzie, po lewej miałem Gangnota, po prawej Bardeta, herolda miejskiego z bębniem. U samego początku przedmieścia natknęliśmy się na rozbawiony tłum, który naiwnie, bez wszelkiej złośliwości dążył ku miejscu, gdzie rabowano. Szli jakby na uroczysty obchód. Wiele kobiet niosło koszyki, niby na targ...

Ludzie zatrzymywali się i patrzyli na nasz oddział, rozstępowano się z wielką uprzejmością. Nikt nie wiedział, co to znaczy, i wielu przyłączyło się, maszerując w takt w ostatnim szeregu. Jeden z takich wolontariuszów niósł papierowy lampion ze świeczką płonącą w środku: był to fryzjer Perruche. Zbliżył lampion do mego nosa i poznając mnie, zawołał:

— To ty, Breugnon, chłopcze kochany! Wróciłeś, to doskonale, właśnie jest sposobność popicia razem!

— Jest na wszystko czas właściwy, mój Perruche! Popijemy jutro!

— Postarzałeś się, widzę, Colasie! Pragnienie nie uznaje przepisanej pory. Zresztą do jutra wino będzie już wypite. Ot, właśnie otwierają beczki! Spieszmy się! Czyżbyś stracił gust do wina?

— Do kradzionego wina nigdy gustu nie miałem!

— Kradzione? Przeciwnie, uratowane! Gdy dom płonie, należy przecież ratować dobre i smaczne rzeczy!

Odsunąłem go na bok.

— Złodzieju! — warknąłem.

— Złodzieju! — powtórzyli Gangnot, Bardet, Saulsoy i inni. I przeszliśmy mimo niego. Stał chwilę jak skamieniały, potem usłyszałem jego kłatwy i pogróżki i obejrzwszy się, spostrzegłem, że biegnie, potrząsając pięścią. Gdy nas dogonił, zamilkł nagle i maszerował w szeregu.

Doszedłszy do brzegu Yonne'y, stanęliśmy u przyczółka mostu. Ścisk panował taki, że nie sposób było przejść. Kazałem bębnić. Pierwsze szeregi tłumu rozstały się bezwiednie. Wbiliśmy się klinem i utknęli w ciżbie. Spostrzegłem dwu flisaków znanych mi dobrze: Joachima z Kalabrii²³³ zwanego „Królem” i Gadina zwanego „Gueurlu”.

— Cóż, majsterku Breugnon? — spytał mnie Joachim. — Cóż tu robisz? A taki poważny, ho, ho, uzbrojony... phi! Czyż to wybierasz się na wojnę?

— Zgadłeś, Kalabryczyku. Właśnie jestem komendantem Clamecy i będę go bronił przed wrogami.

— Wrogami? Czyś oszalał? Któż jest tym wrogiem?

— Podpalacze!

— I cóż cię to obchodzi? Wszakże twoja chałupa już spalona! Co prawda, przyznajemy, bardzo nam żal, zaszła omyłka, nie należało palić twego domu! Ale Poullard, ten piernik, ten drab utuczony naszym potem, ten rabuś, który pyszni się wełną zdartą z naszej skóry, a obdarłszy nas, udaje moralnego i pogardza biedakami... o, musi on dzisiaj beknąć. Kto go okradnie, ten pójdzie prosto do nieba po śmierci. Nie wtrącaj się więc do nas. Co ci do tego? Nie musisz przecie sam grabić. Ale przeszkadzać innym? Wszak nic nie mamy do stracenia, a zdobycz ciśnie się do rąk.

Chciałem z nim pogadać przed użyciem przemocy.

— Kalabryczyku, a gdzie honor?

— Gwiżdżę na honor! — zapiał Gueurlu. — Mam gdzieś honor. Alboż honor to dobre wino czy smaczne żarcie? Kto wie, co z nami będzie jutro. Co z nas zostanie po

Honor, Bogactwo, Bieda

²³³Kalabria — południowa część Półwyspu Apenińskiego. [przypis edytorski]

śmierci? Nic. Kto o nas pomyśli? Nikt. Honor to dobre dla bogaczy, którym stawiają nagrobki z napisami. Cóż zostanie z honoru nędzarza we wspólnym grobie? Wrzucą nas tam jak odpadki z ryb. Kto by baczył, które z nich lepiej czy gorzej pachną.

Nie odpowiadając Gueurlu, odezwał się do Joachima:

— Może każdy z nas niewiele znaczy, królu Kalabrii, ale wszyscy razem więci — to już nie żarty. Gdy minie sława wielkich rodów, gdy przeminą ich nazwiska, wówczas pozostanie jeszcze pamięć dzielnych flisaków z Clamecy; w historii tego miasta przetrwają jako najlepsi jego synowie o twardych dłoniach i głowach tęgich jak pięści. Jakże straszną byłoby rzeczą, by właśnie tych budowniczych nazwać miano kiedyś podpalaczami i złodziejami!

— Gwizdź na to! — wrzasnął Gueurlu.

Ale Król krzyknął, spluwając:

— Gwizdaj sobie, ścierwo! Breugnon mówi prawdę! Nie ścierpię myśli tak ohydnej. Na świętego Mikołaja²³⁴, tego o nas nikt nie powie! Honor nie jest wyłącznym prawem bogaczy. Te *siry* czy *messiry*²³⁵ niewarte żadnego z nas!

— Ee, nie ma co się krępować! Czy oni sobie robią jakieś skrupuły? Trudno znaleźć większych drabów niż książęta i diuki. Weźmy na przykład Kondeusza²³⁶ lub grubasa d'Épernon²³⁷, poplecznika Włoszki, dalej księcia Soissons²³⁸, a wreszcie choćby naszego Nevera. Czyż nie nadziewają się do pęknięcia milionami, niby świnię kasztanami? A kiedy zginął nasz Henryk, to przecież wszyscy, jak byli, rzucili się kupą i rozkradli skarb państwa. Oto macie honor magnatów! Tfu! Więc dłaczegóż my mamy być gorsi?

Kalabryczyk zaklął:

— Czekajcie! Jeszcze przyjdzie na nich kryska! Henryk się zjawi, wyjdzie z grobu i powyrzyna ich jak świnię, albo nie, lepiej my zrobimy z nimi porządek: nadziawszy złotem, niby proszę kluskami, upieczemy ich na wolnym ogniu. Tak ukarzymy kanalie, to wolno. Lecz nie wolno nam pod żadnym warunkiem naśladować ich łajdactw. Powiedziałem już i powtarzam, że flisak ma więcej honoru w pięcie niż taki rozbójnik w całym sercu.

— Tedy, Królu drogi, przyłącz się do nas! — zawołałem.

— Dobrze. I Gueurlu pójdzie z nami!

— Nie, nie, ja nie pójdę! — wrzasnął Gueurlu.

— Widzisz rzekę? — spytał Król. — Pójdiesz tam z nami razem albo sam... do wody. Marsz, naprzód! Heej... rozstąpić się! — wrzasnął w tłum. — Idzie król Kalabrii, kielbaśniki zatracone! Z drogi!

Uciekano przed nim, bo walił w prawo i lewo sękatym drągiem, my zaś sunęliśmy za nim, niby płotki za potężnym szczupakiem. Złoczyńcy byli zupełnie pijani, nie budziło to żadnej wątpliwości. Każda sprawa ma swoje miejsce: argumenty są najpierw na języku,

²³⁴Mikołaj z Miry a. Mikołaj z Bari — biskup Miry w Licji (Azja Mniejsza), który miał żyć w III w., znany ze wzmianek z VI w. i średniowiecznych legend; brak dowodów na jego historyczność; jeden z najpopularniejszych świętych chrześcijańskich, patron m.in. młodych panien, dzieci, żeglarzy i rybaków; patron miasta Bari w pld. Włoszech, centrum jego kultu, gdzie mają znajdować się jego relikwie; w kulturze masowej jako postać przynosząca prezenty w dniu jego święta (6 grudnia) oraz podczas świąt Bożego Narodzenia. [przypis edytorski]

²³⁵*sire, messire* — formy zwracania się do pana feudalnego w dawnej Francji; *messire* (starofr.; połączenie *mes* i *sire*): mój panie. [przypis edytorski]

²³⁶Henryk II de Bourbon-Condé (1588–1646) — francuski książę z rodu Kondeuszy, bocznej linii dynastii Burbonów; do narodzin Ludwika XIII w 1601 był pierwszym księciem krwi i domniemanym następcą tronu Francji; podejrzany o chęć zamachu stanu, uwięziony w 1616 na rozkaz regentki Marii Medycejskiej, za zgodą małoletniego Ludwika XIII; zwolniony w 1620. [przypis edytorski]

²³⁷Nogaret de La Valette, Jean Louis de, książę Épernon (1554–1642) — jeden z najbardziej wpływowych arystokratów francuskich na przełomie XVI i XVII w.; faworyt króla Francji Henryka III, od 1581 pierwszy książę Épernon; po zabójstwie Henryka III sprzeciwiał się wstąpieniu na tron Henryka Nawarskiego (Henryka IV) i próbował ustanowić niezależny rząd w Prowansji; w 1610 zamieszany w spisek, który doprowadził do zabójstwa Henryka IV; odegrał dużą rolę w powierzeniu rządów Marii Medycejskiej w okresie małoletności Ludwika XIII. [przypis edytorski]

²³⁸Bourbon-Soissons, Karol de (1566–1612) — francuski książę krwi, syn Ludwika I Burbona, hugenockiego przywódcy i pierwszego z Kondeuszy, bocznej linii rodu Burbonów; podczas wojen religijnych dołączył do Ligi Katolickiej, następnie wspierał Henryka Nawarskiego, przyszłego Henryka IV; mianowany przez króla najwyższym urzędnikiem dworu oraz zarządcą Bretanii i Delfinatu; po śmierci Henryka w 1610 znalazł się w opozycji do doradców królowej-wdowy Marii Medycejskiej, która dla pozyskania go mianowała go zarządcą Delfinatu; w 1612 otrzymał od króla Ludwika XIII urząd wicekróla Nowej Francji. [przypis edytorski]

potem w pięściach. Staraliśmy się ich przewracać na ziemię, w ten sposób jednak, by jak najmniej ucierpieli. Pijany człowiek to rzecz święta!

Znaleźliśmy się u drzwi składu. W domu Piotra Poullard roilo się od bandytów, niby od wszy na baranie. Jedni wyciągali kufry i toboły, inni je rozbijali i ubierali się w kradzione suknie, jeszcze inni wreszcie zabawiali się rzucaniem z piętra na dół naczyń porcelanowych i glinianych. Na środek podwórza zatoczono beczułki. Widziałem jednego, który pił, przyłożywszy usta wprost do szpuntu, a potem przewrócił się w kałużę czerwonego wina, wznosząc w górę wszystkie cztery łapy. W kałużach cennego płynu chlapały się dzieci. Przyświecano sobie, paląc na podwórzu meble. Z głębi piwnic dolaływały przygłuszone uderzenia młotów i siekier, ryki i wrzaski, kaszel i śpiew. Cały dom tętnił, jakby mu wlał do brzucha rój szerszeni. Tu i ówdzie spod dachu wymykały się jęczyczki płomienia i wstęgi dymu, snując się po belkowaniu ścian.

Dostaliśmy się na podwórze. Nikt nie zwracał na nas uwagi, wszyscy byli zbyt zajęci sobą. Tedy rzekłem Bardetowi:

— Uderz w bęben!

Bardet załomotał co sił w psią skórę i okrzyknął głośno, iż miasto oddało mi w ręce władzę. Zabrałem potem głos i wezwałem hołotę, by się wyniosła precz. Na odgłos bębna zbiegli się niby rój much obsiadający pełny kocioł i zamilkli, gdy jednak bębnienie ustało, zaczęli na nowo wrzeszczeć, kłać, śmiać się oraz rzucać w nas kamieniami. Chciałem wyważyć drzwi piwnicy, ale rzucali na nas ze strychu belkami i dachówkami. Weszliśmy mimo to, odparwszy łajdactwo, ale nie bez strat. Gangnot stracił dwa palce, a Kalabryjczykowi wybito lewe oko. Ja sam, podpierając drzwi, które chciano zatrzaskać, znalazłem się w pułapce, niby lis, bo oto palec mój dostał się między zawiasy. Do licha! Mało co nie zemdlałem jak baba i byłbym oddał wszystko, co miałem w brzuchu, gdy spostrzegłem napoczętą baryłkę z wyśmienitą wódką, tedy zwilżyłem sobie gardło i wymoczyłem mój biedny kciuk. Nabrałem straszelivej odwagi i wziąłem się do roboty. Wściekłość moja rosła. Poniósł mnie zapal wojenny.

Walczyliśmy teraz na stopniach schodów piwnicznych. Należało skończyć co prędzej, bo te diabły strzelały z muszkietów prosto w twarz, i z tak bliska. że Saulsoyowi zapaliła się broda, który to pożar ugasił Gueurlu w swych twardych dłoniach. Szczęściem, strzelającym pijakom dwoiło się w oczach, inaczej żaden z nas nie byłby wyszedł żywy z tego piekła. Musieliśmy wykonać odwrót i wrócić po schodach na górę.

Stojąc u wnijścia, zobaczyłem, że pożar posuwa się wzdłuż obu skrzydeł obejścia w głąb ku piwnicom. Kazałem przeto wznieść wał z kamieni i szczątków, wysoki na człowieka, na wierzch zaś nakłść skorup i kłujących przedmiotów, uniemożliwiających przedostanie się na drugą stronę. Potem krzyknąłem:

— Zbóje, lubicie ogień, przeto użyjcie sobie teraz do woli.

Nie zrozumieli niebezpieczeństwa, a gdy się połapali, o co idzie, było już za późno. Pożar ogarnął ściany i gdy zaczęły się sypać płonące krokwie, a z piwnicy zagrzmiały wycia szatańskie, z drzwi piwnicy wylał się potok ludzkich postaci. Na wielu płonęło już ubranie. Zwarta fala uderzyła czołem o mur przez nas wzniesiony, i ci, którzy wyszli pierwsi, utworzyli coś w rodzaju korka, który uniemożliwił ratunek pozostałym. Ryki potępieńcze dobywały się ciągle z podziemi. Straszna to była, zaprawdę, muzyka. Okropnie jest słuchać rozpacznych wołań cierpiącego i zdjętego strachem śmiertelnym człowieka. Gdybym był zwykłym sobie Colasem Breugnon, byłbym niezawodnie zawołał:

— Ratujmy ich!

Ale dowódcy nie wolno mieć serca i uszu, a tylko oczy i rozum. Wiedzieć i czynić nieugięcie to, co trzeba, oto jego zadanie. Uratować bandytów znaczyło tyle co zgubić całe miasto, gdyż w razie wydobycia się na wierzch, jako kilkakrotnie liczniejsi i lepiej od nas uzbrojeni, byłiby wzięli nad nami górę, a co za tym idzie, myśliwi staliby się zwierzyną. Trudno, trzeba było wydusić trutnie w ulu.

Widziałem, jak płomienie z lewej i prawej strony połączyły się nad piwnicami, strzelając i rzucając w powietrze pióropusze dymu.

Nagle ujrzałem u wnijścia do piwnicy wciśniętego w tłum, stojącego bez ruchu starego znajomego, wołano na niego Gambi. Był to nicpoń zgola nieszkodliwy, odznaczający się tylko niesłychaną poządliwością wina. Płakał, to znowu śmiał się, jakby stracił zmysły. Skąd, u licha, wziął się on pomiędzy bandytami? Zasłużył na karę, ale mimo wszystko

Pijaństwo

Upadek

Walka

Pożar

Przywódcą

nie mogłem przecież pozwolić, by się żywcem usmażył. Bawiliśmy się z sobą jako malcy, a potem przystąpiliśmy razem do pierwszej komunii.

Odsuwam tedy gapiów, przesadam zaporę i stąpając po głowach (gryźli mnie w nogi), idę poprzez miazgę ciał ludzkich, z której się już kurzyło, ku Gambiemu. Chwytam go za kołnierz, ciągnę... Niepodobna! Ciągnę mocniej... Nie sposób wyrwać go w całości, chyba krajać po kawałku! Szczęście jednak zawsze sprzyja pijakowi. Gambi wynurzył się o głowę w górę, ci, którzy pchali się z tyłu, podtrzymali go w powietrzu, tak że był jak pestka wyduszona ze śliwki. Kopiąc obcasami w prawo i lewo, zdołałem wyluskać go do końca.

A był już czas najwyższy. Płomień dał, niby straszliwa trąba powietrzna, kominem schodów piwnicznych. Słyszałem skwierczenie palących się ciał. Z najwyższym wysiłkiem, krocząc wolno, bo z ciężarem, niebacznym na to, gdzie stawiam nogi, wróciłem za barykadę, wlokąc Gambiego za włosy. Wyszliśmy jakoś cało z tego piekła, rzuciłem ocalonego na ziemię, ogień zaś dopełnił już dzieła zniszczenia. Mimo śmiertelnego strachu Gambi nie puścił dwu emaliowanych talerzy i obrazka, którą to zdobycz wyniósł lichy wie skąd. Ścisnął je pod pachą. Kiedy wstał i przyszedł do siebie, odrzucił precz swój łup, a potem zanosząc się od płaczu, zaczął wymiotować, a w przerwach ryczał:

— Nie chcę kraść... Oddaję wszystko, co zrabowałem... Nie chcę kraść...

O świcie przybył prokurator Wilhelm Courtignon, eskortowany przez Robineta, który go dostawił na miejsce niemal jak więźnia. Wraz z nim przybyło trzydziestu uzbrojonych żołnierzy oraz oddział chłopów z kosami. W ciągu dnia przysłał nam magistrat większe posiłki, nazajutrz zaś książę de Nevers odkomenderował poważne siły do Clamency i okolicy. Wojsko stwierdziło straty, „osobistości powołane” spisały całe góry protokołów, oszacowały wartość obiektów zniszczonych, dodały do rachunku kosztu swego urzędowania i podróży, a potem „władza” oddaliła się drogą, którą przybyła.

Morał całej awantury brzmi w ten sposób:

Pomagaj sam sobie nieboże,
A król ci dopomoże!

XI KSIĄŻĘCA ŁĄKA

Koniec września

Powrócił spokój, zgłiszczą ostygły i zaraza gdzieś przepadła. Ale miasto długo pozostawało pod wrażeniem katastrofy. Mieszczuchy przeżuwały przeróżne rzeczy, które im się przydarzyły. Próbowali stopą ziemi, niepewni, czy się pod ich ciężarem nie zapadnie. Nie mogli uwierzyć, że zwyciężyli. Kryli się po domach, położywszy uszy po sobie i podkuliwszy ogon. Diabli wzięli ambicję, nikt nie śmiał spojrzeć bliźniemu w oczy. Bano się własnego odbicia w lustrze, albowiem wylazło czasu onych dni szydło z worka. Kanalia ludzka ukazała się w całej nagości. A to nie było miłe, o nie! Jedni wstydziła się drugich, nie dowierzano sobie wzajem. Ja sam nie czułem się zadowolony. Zrobiłem wprawdzie, co trzeba, ale zawsze, owa masakra, ten odór pieczonego ciała ludzkiego... Ponadto wspomnienie łajdactwa, okrucieństwa u ludzi z najbliższego otoczenia, wszystko to wytrąciło mnie z równowagi. A ludzie czuli, co o nich myślę, i mieli urazę. Krępowaliśmy się wzajem. Rad bym im powiedzieć: kochani współobywatele, przebaczenie mi. Oświadczam, że nie widziałem nic... Upał jesienny ciążył miastu, koniec lata przejął wszystko dziwnym odrętwieniem.

Racquin odstawiony został pod dobrą eskortą do Nevers, a rząd i książę zaczęli spierać się o to, kto go ma sądzić. Korzystając z tego, śnił plany wykręcenia się sianem. Co do mnie, kasztelański urząd raczył patrzeć przez palce na to, co uczyniłem. Okazało się, że ocalając miasto, popełniłem mnóstwo zbrodni i przekroczeń prawa, za co powinien bym właściwie zostać zesłany na galery. Ale ponieważ nie byłbym się mógł dopuścić tych deliktów²³⁹, gdyby władza wytrwała na stanowisku, przeto nie nastawano na karanie

²³⁹ delikt (praw.) — przewinienie, wykroczenie przeciw prawu. [przypis edytorski]

Pożar, Bohaterstwo

Upadek

Prawo, Sprawiedliwość

mnie, a ja również nie upominałem się, oczywiście, o wymiar sprawiedliwości. Człowiek czuje się niewinny, ale diabeł sam jeden wie, co o tym mówi tak zwane prawo. Wystarczy włożyć jeden palec w maszynę ustawodawczą, a całe ramię stracone! I trzeba odciąć rękę, bo inaczej... człek lichy bierze z kośćcami! Tedy bez niepotrzebnych słów stanął między mną a tymi panami milczący pakt tego rodzaju, że ja nic nie zrobiłem, a oni niczego nie widzieli, to zaś, co się stało onej nocy pod moim przewodem, stało się z woli i ramienia władzy. Jednak ani ja, ani obywatele nie mogliśmy o tym zapomnieć, przeto bano się mnie w całym mieście. Pamięć to rzecz kłopotliwa. Prawdę mówiąc, uczuwałem sam przed sobą rodzaj strachu i zdziwienia, iż mogłem być tak okrutny. Pół sześć rolę Attyli czy Cezara²⁴⁰! Piorun Jowiszowy wyobrażam sobie w formie fantazji czy uniesienia przy szklance wina, ale wojna, wojna domowa zwłaszcza, to nie moja rzecz! Krótka i węzłowata, wszyscy byliśmy rozstrojeni i niezadowoleni z siebie, czuliśmy wyrzuty sumienia i ucisk w trzewiach.

Zabraliśmy się z zapalem do roboty. Praca, niby gąbka, wypija poczucie wstydu i wyrzuty sumienia, przy pracy dusza okrywa się nową skórą i wzbiera świeżą krwią. A pracy tej nie brakło, albowiem ruiny i zgłiszczą zaległy wokół. Ziemia tego roku wspomogła nas dzielnie i wydatnie. Od dawna nie było takiej obfitości owoców i zboża, a szczytem dostatku stało się tegoroczne winobranie.

Zdało się doprawdy, że ta kochana matka nasza chce nam w winie oddać krew, która w nią wsiąkała. Zaprawdę nic nie ginie w świecie. Wszakże woda spadająca z nieba wraca w postaci oparu, czemuż tedy wino nie ulegałoby takiej samej cyrkulacji pomiędzy ziemią a krwią ludzi. Toż to ten sam sok. Wyobraźmy sobie, że jestem szczepem winnym albo że byłem nim ongiś lub kiedyś będę. O, jakżebym pragnął zostać w ten sposób nieśmiertelny, odnawiać się z każdą wiosną, czuć, że rosnę, puszczam liście, wydaję kragle, pełne jagody pękające w słońcu z obfitości soku, a potem (to najlepsze!) zostać zjedzonym... Jak się tedy powiedziało, soku winogrodowego było tego roku co niemiara, aż zabrakło beczek. Musiano użyć wszystkich garnków, balii, koryt i nie można było dać rady z wyciskaniem. Zdarzyła się rzecz niesłychana dotąd, mianowicie stary winiarz z Andries²⁴¹, ojciec Coullemard, obwieścił, iż sprzedaje beczkę winogron za trzydzieści su²⁴² pod warunkiem, że nabywca sam je sobie zabierze z winnicy.

Wyobrazić sobie łatwo nasze wzruszenie. Wszakże, jako ludzie oszczędni i stateczni, nie mogliśmy ścierpieć, by się dar boży zmarnował. Musieliśmy się poświęcić i pić, pić, pić beztrósko, by sprostać tej pracy Herkulesa. Nieraz też biedny Herkules musiał dotykać ziemi, wyręczając w tym słynnego Anteusza²⁴³. Dobrą stroną tej ciężkiej pracy było, że myśli nasze przybrały inny kierunek, że czoła się rozchmurzyły, a policzki nabrały kolorów.

Ale mimo wszystko zostało coś na dnie pucharu; jakieś męty ciemne i niesamowite sprawiały, że ludzie trzymali się z osobna, unikali się wzajem i patrzyli na siebie spoode łba. Każdy przyszedł po trochu do siebie, odzyskał (bardzo chwiejną zresztą) równowagę umysłu, ale nikt nie chciał zbliżyć się do sąsiada, pito w pojedynkę, zamykano się u siebie, a jak wiadomo, jest to bardzo niezdrowa rzecz. I byłby ten przykry stan trwał Bóg wie jak długo, gdyby nie przypadek. Przypadek to chytra sztuka. Dzięki niemu właśnie natrafiliśmy na coś, co łączy ludzi, mianowicie na wspólnego wroga. Miłość także zbliża, ale uczynić z całej gminy jednego męża może tylko wróg wspólny, wrogiem zaś owym stał się nasz władca.

Tej jesieni strzeliło do głowy księciu Karolowi, by zalać nam sadła za skórę. Tego było już nadto! Nawet podagrycy, kulawcy i beznodzy poczuli swędzenie w piętach. Poszło o korzystanie z łąk podmiejskich, będących rzekomo jego własnością, a zwłaszcza pastwisk zwanych z dawna *Pré-le-Comte*. Łąki owe czy pastwiska, położone tuż za bra-

Praca

Wino, Krew, Ziemia

Wino

Wino

Wróg

²⁴⁰Cezar, właśc. *Gajusz Juliusz Cezar* (100–44 p.n.e.) — rzymski dowódca wojskowy, polityk, dyktator i pisarz; członek I triumwiratu; zdobywca Galii; odegrał kluczową rolę w wydarzeniach, które doprowadziły do upadku republiki i początku cesarstwa w państwie rzymskim; dążył do przejęcia w Rzymie władzy absolutnej; zginął zastrzycony przez spiskowców. [przypis edytorski]

²⁴¹Andries, daw. *Andries*, *Andrie* a. *Andria* — wioska w Burgundii, ok. 9 km na płn. od Clamecy. [przypis edytorski]

²⁴²su (fr. *sou*) — dawna moneta francuska o wartości 1/20 liwra, używana do 1795. [przypis edytorski]

²⁴³Anteus (mit. gr.) — syn Posejdona i Gai (Ziemi), olbrzym, który w walkach zapaśniczych był niezwyciężony, gdyż zyskiwał siły, dotykając ziemi; kiedy walczący z nim Herakles (łac.: Herkules) zorientował się, dlaczego nie może go pokonać, uniósł go w powietrze i zmiażdżył w uścisku. [przypis edytorski]

mami miasta, przez które snuje się kapryśny wężyk Beuvronu, to od lat trzystu przedmiot sporu. Książę ciągnie potężnymi swymi zębiskami w jedną stronę, a my naszymi zębami w drugą. Mniejsze i nie tak potężne mamy zęby, ale nie przywykliśmy puszczać zdobyczy z paszczy.

Ani po jednej, ani po drugiej stronie nie ma żadnego zacierzawienia, uśmiechamy się wzajem, mówimy do siebie: „Drodzy przyjaciele...”, „Jaśnie Oświecony Książę...”, ale przeciwnicy czynią wszystko, co w ich mocy, by zalać sobie wzajem sadła za skórę, i ani im w głowie ustępować choćby piędzi ziemi. Prawdę powiedziawszy, nie przyznano nam nigdy słuszności. Wszystkie trybunały, aż do najwyższego, zadekretowały jednogłośnie po wiele razy, iż nasza łąka nigdy naszą nie była. Wiadomo jednak, że tak zwana sprawiedliwość jest to sztuka robienia — za dobre pieniądze — czarnym tego, co jest białe. Toteż wyroki sądów mało nas obchodziły. Sądzić to rzecz sędziów; posiadać to rzecz nasza. Czy czarna krowa, czy biała, rzecz główna — komu mleko dawała. Nam dawała mleko, przeto uważaliśmy ją za swoją. Mamy łękę w rękach i nie odstąpimy nikomu: dawała nam zbyt wiele korzyści. Po pierwsze, był to jedyny w Clamecy kawał gruntu nienależący wyłącznie do żadnego z obywateli. Będąc tytułarnie własnością księcia, była własnością wszystkich i każdy mógł ją niszczyć do woli. Robiono też tam wszystko, czego nikt nie chciał robić u siebie. Pracowano tam, czyszczono, trzepano materace i dywany, wyrzucano śmieci, grano w gry towarzyskie, spacerowano, pasiono kozy, tańczono przy muzyce, ćwiczone się w strzelaniu z kuszy i samopału oraz w bębnieniu, nocą zaś wśród traw rozkwieconych różnobarwnymi papierami, przy szmerze Beuvronu, który się niczemu nie dziwił (widział bowiem niemało), uprawiano miłość.

Póki żył nasz kochany książę Ludwik, wszystko szło po staremu, bo udawał, że niczego nie widzi. Człowiek ten wiedział, że chcąc mocno trzymać wodze rządu, trzeba na niejedno pozwolić poddanym. Cóż mu to szkodziło, że mieliśmy złudzenie swobody, gdy on był w rzeczywistości panem? Ale synalek jest pyszałkiem i ile razy któryś z kogutków na jego podwórku zapieje, zaraz pokazuje pazury władzy (w rzeczywistości jej zresztą nie posiada). Nie rozumie, że Francuz musi kpić ze swego władcy. Jeśli się nie śmieje, na pewno zamyśla podnieść bunt. Nikt Francuzem nie owdładnie, jeśli sprawę bierze serio, kocha on bowiem tylko tych, z których się może śmiać, będąc tego zdania, iż śmiech równa ludzi.

Otóż gąsior ów zaprzeczył nam pewnego pięknego poranku prawa tańczenia, dep-tania i kochania się na Pré-le-Comte. Zaiste, właściwy obrał czas zakazu! Powinien był nas raczej wobec strat poniesionych zwolnić od podatków! Ale trafiła kosa na kamień. Postanowiliśmy pokazać pyszałkowi, że mieszkańcy Clamecy nie są zrobieni z drzewa fletowego, by na nich miało grać byle książątka, ale z suchej, twardej dębiny, w którą z trudem wbić siekierę, a wydobyć jej już zgoła nie można.

Odbierać nam łękę? A to co? Wszakże posiadamy ją (prawem kaduka²⁴⁴, co prawda, ale kradzież uświęcona trzechsetletnim posiadaniem jest nienaruszalna), posiadamy ją, uczyniliśmy sobie z niej podarek, a przy tym zdobyliśmy cał po calu w wytrwałej, upartej walce zaborczej. Wszakże to jedyna rzecz, która nas nic nie kosztowała, przeto zabór jej sprawił nam tyle uciechy! Czyż warto by coś brać w ogóle, gdyby się miało oddawać? Cóż warto by było życie? Zaprawdę, gdybyśmy ustąpili, przodkowie nasi wstaliby z grobów ku obronie zagrożonej łąki. „To kwestia honoru miasta!” Tak zawołaliśmy jednogłośnie i stanęliśmy jak jeden mąż do rozprawy.

Wieczorem onego dnia, kiedy tambur²⁴⁵ miejski obębnił i ogłosił fatalny dekret (uczynił to w sposób tak ponury, jakby głosił wyrok śmierci na kogoś), wszyscy znaczniejsi obywatele, urzędnicy, przewodniczący stowarzyszeń i starsi bractw zgromadzili się na rynku. Znalazłem się tam i ja, jako przedstawiciel bractwa pani Joachimowej, babki, św. Anny (jak każdemu wiadomo). Różne posłyszałem zdania co do sposobów wprowadzenia w czyn akcji obronnej, wszyscy jednak godzili się, że trzeba koniecznie zaraz działać.

Gangnot, przedstawiciel św. Eligiusza²⁴⁶, i Kalabryjczyk, przedstawiciel św. Mikołaja, oświadczyli się za użyciem metody silnej pięści. Proponowali obaj, aby niezwłocznie

Sąd

Władza

Władza, Śmiech, Bunt

²⁴⁴prawem kaduka — bezprawnie, bez podstaw prawnych. [przypis edytorski]

²⁴⁵tambur (daw.) — rodzaj bębna. [przypis edytorski]

²⁴⁶Eligiusz z Noyon, fr. *Éloi de Noyon* (ok. 588–660) — frankijski złotnik, doradca Chlotara II i Dagoberta I, biskup Noyon; święty katolicki, patron złotników, kowali i mechaników. [przypis edytorski]

podpalić bramy zamku, by rozwalić mur, porozbijać głowy straży książęcej oraz zniszczyć wszystko na łące, aż do gołej ziemi.

Przeciwnie, piekarz Florymond, przedstawiciel łagodnego z natury św. Honoriusza²⁴⁷, oraz ogrodnik Maclou, wyznawca św. Fiakra²⁴⁸, objawiali uczucia zgola jagnięce, pojednawcze, i wskazywali, że właściwą jest jedynie droga pisemnych układów, przedstawień i suplik²⁴⁹, popartych zresztą znacznymi dawkami wytworów pieca piekarskiego i produktami ogrodu owocowego, złożonymi na ręce księżnej.

Owe wnioski nie przeszły, gdyż na szczęście ja z moją Joachimową oraz Jan Robin, przedstawiciel bractwa św. Kryspina²⁵⁰, i Edmund Poifou, z bractwa św. Wincentego²⁵¹, nie dopuściliśmy ani do gwałtu, ani do upadającego włazenia księciu bez mydła tam, gdzie nie potrzeba. *In medio virtus!*²⁵² Każdy rozumny Burgund znajdzie sposób zakpienia z kogoś, kto mu jest nie na rękę, i napluje mu spokojnie w brodę, nie wrywając zaraz włosów garściami. To jest nawet oszczędniejsze, bo nie tyle kosztuje, a zemsta jest tym milsza, gdy ubawi zarazem.

Czyż mam opowiedzieć farsę przez siebie wymyśloną, zanim się rozegrała? Nie, nie. Wystarczy, jeśli zanotuję, że wielka nasza tajemnica przez dwa tygodnie dochowana została ściśle, mimo iż wiedział o niej każdy obywatel miasta. Idea przewodnia była moja, ale każdy dorzucił coś od siebie celem upiększenia: ten wstążkę, ów klamrę, tak że wspólne nasze dziecko przedstawiało się ślicznie, nie brakło mu bowiem ojców. Mer i ławnicy dowiadywali się co dzień dyskretnie, co słychać z projektem, a notariusz Delavau, otulony płaszczem, co noc przychodził na posiedzenie i wskazywał nam sposoby gwałcenia prawa pod pozorem najwyższej uległości dla jego postanowień.

Pokazywał nam też wypracowane starannie sentencje łacińskie, gloryfikujące księcia i dające wyraz naszemu posłuszeństwu, tak skonstruowane, że można je było interpretować wprost przeciwnie.

Zemsta, Śmiech

*

Nareszcie nadszedł wielki dzień. Zgromadziliśmy się ogoleni, przybrani odświętnie, ustawiając się rzędami pod godłami brackimi. Oczekiwaliśmy mera i rady miejskiej. Z wieży św. Marcina wybiła dziesiąta, a jednocześnie zagrały wszystkie dzwony. Na dany znak rozwarły się na ścieżaj²⁵³ podwoje²⁵⁴ ratusza i podwoje katedry i na obu tarasach, niby marionetki, ukazała się z prawej biała komża kanonika, a z lewej zielono-żółty korowód radnych. Zamieniono ponad naszymi głowami uroczyste ukłony, potem z prawej, poprzedzony pąsowo ubraną służbą kościelną (nosy były też pąsowe), począł kroczyć po schodach kanonik, a z lewej rada poprzedzona strażą miejską i sługusami przybranymi w łańcuchy, emblematy i godła. My, ugrupowani wokoło placu św. Marcina, staliśmy szeroko zatoczonym kręgiem, pośród którego znalazły się władze i dostojnicy. Nie brakło nikogo, nikt się nie spóźnił. Palestra²⁵⁵, urzędnicy prokuraturii²⁵⁶ i notariusz pod sztandarem św. Iwona²⁵⁷, doradcy prawnego Boga Ojca, aptekarze zaś, kuglarze i lekarze wykwinłi znawcy uryny i klistyrodawcy²⁵⁸ *sub invocatione*²⁵⁹ św. Kosmy, który odświe-

Święto, Miasto

²⁴⁷Honoriusz a. Honorat z Amiens (zm. ok. 600) — biskup Amiens; święty katolicki, patron piekarzy i cukierników. [przypis edytorski]

²⁴⁸Fiaker z Brie (zm. ok. 670) — irlandzki opat, pustelnik i ogrodnik działający na terenie Francji; święty katolicki, patron ogrodników. [przypis edytorski]

²⁴⁹suplika (daw., z łac.) — prośba lub skarga, zwykle pisemna, skierowana do osoby stojącej znacznie wyżej w hierarchii; podanie. [przypis edytorski]

²⁵⁰Kryspin i Kryspinian (zm. ok. 285) — bracia szewcy ze Soissons w ob. Francji; święci chrześcijańscy, patroni szewców, tkaczy, krawców, garbarzy i siodlarzy. [przypis edytorski]

²⁵¹Wincenty z Saragossy (zm. 304) — diakon w Saragossie; święty chrześcijański, patron winiarzy i sprzedawców win oraz leśników, drwali i rolników. [przypis edytorski]

²⁵²*In medio virtus!* (łac.) — cnota leży pośrodku. [przypis edytorski]

²⁵³na ścieżaj (daw.) — na oścież; szeroko (o otwartych drzwiach, oknach). [przypis edytorski]

²⁵⁴podwoje (książk.) — wielkie, dwuskrzydłowe drzwi wejściowe. [przypis edytorski]

²⁵⁵palestra — ogół prawników; adwokatura. [przypis edytorski]

²⁵⁶urzędnicy prokuraturii — tu: urzędnicy sądowi. [przypis edytorski]

²⁵⁷Iwo z Bretanii (1253–1303) — francuski franciszkanin świecki; święty katolicki, patron prawników, przedstawiany jako sędzia w todzie i birecie. [przypis edytorski]

²⁵⁸klistyrodawca — od daw. klistyra a. klistera: lewatywa. [przypis edytorski]

²⁵⁹*sub invocatione* (łac.) — pod wezwaniem. [przypis edytorski]

za pono wnętrzności mieszkańców raj, tworzyli wokół kanonika coś w rodzaju świętej gwardii. Spośród mieszkańców brakło tylko jednego, mianowicie samego prokuratora — przedstawiciela księcia ożenionego z córką ławnika; prokurator, zwąchawszy pismo nosem, jak przystało na pocziwego mieszkańca Clamecy, sprzyjał nam szczerze, jednak w poczuciu własnego interesu wołał się ulotnić w przeddzień uroczystości.

Przez czas jakiś czekano na placu, który zdawał się beczką pełną musującego moszczu. Rozbrzmiewały radosne pomruki, śmiechy, strojono skrzypce, naszczekiwały psy... Czekano widocznie na coś ważnego. Cierpliwości, oto niebawem wszystko się wyjaśni. Już idzie, niosą! Jeszcze zanim ujrano niespodziankę, zapowiedziały ją okrzyki, a głowy wszystkich, niby chorągiewki pod uderzeniem wiatru, zwróciły się w jedną stronę.

Z ulicy du Marché poczęła się wysuwać, niesiona na ramionach ośmiu tęgich młodzieńców, wysoko ponad tłumem płynąca, jakaś dziwna budowla z drzewa. Miała kształt piramidy, coś niby trzy coraz mniejsze stoły, postawione jeden na drugim. Nogi wszystkich stołów owinięte były wstęgami, galonami, obandażowane jaskrawą materią jedwabną, na szczycie zaś widniała pod baldachimem, bogato przystrojonym w pęki wstęg, jakaś zawołowana figura. Nikt się nie dziwił, wszyscy bowiem znali tajemnicę. Każdy zdjął grzecznie czapkę przed figurą, ale śmiali się wszyscy ukradkiem.

Cała machina ustawiona została pośrodku placu pomiędzy murem i kanonikiem, a korporacje z muzyką na czele zaczęły defilować wokoło. Pierwszy, jak przystoi, kroczył święty Mikołaj. Kalabryczyk ubrany w infulę²⁶⁰, ze słońcem wymalowanym na plecach, trzymał w żyłastych, czarnych rękach godło patrona rzek: okręt z figurą świętego błogosławiącego dwoje dzieci. Towarzyszyło mu czterech starych marynarzy niosących żółte, grube jak palki, twarde jak drzewo świece, których w razie potrzeby można było użyć do innego celu. Kalabryczyk kroczył uroczystie, wznosząc w niebo swe jedyne oko i wystawiając naprzód brzuch.

Za nim postępowali metalowcy, synowie świętego Eligiusza, nożownicy, ślusarze, kowale pod wodzą Gangnota, który w okaleczonej czasie walki ręce niósł wysoki krzyż; na jego drzewcu widniały emblematy cechu: kowadło i młotek. My, stolarze i bednarze, znane moczymordy, kroczyliśmy swobodnym pochodem za chorągwią ze świętym Józefem, i teściową jego, świętą Anną. Trzódka świętego Honoriusza, tłusciutka i umączona, niosła jak rzymskie trofea okrągłe, pięknie przystrojone bochny chleba wbite na ostrza drągów. Za tymi czystioszkami, swobodnie podskakując, tłoczyli się wokół świętego Kryspina czarni smolarze i łaciarze. Wreszcie, jak wspaniały bukiet na cześć świętego Fiakra, ogrodnicy i ogrodniczki dźwigający na ramionach snopy goździków i lewkonii, róże przy kapeluszach, łopatach i grabiach. Ich chorągiew z czerwonego jedwabiu łopotą na jesiennym wietrze, widniał na niej wizerunek świętego Fiakra, podkasanego, z gołymi łydkami i stopą wspartą na rydlu.

Gdy korowód przesunął się koło dziwacznej figury, drewniana budowla drgnęła i ruszyła.

A przed nią, niby przed arką przymierza²⁶¹, kroczyły białe ubrane dziewczęta, piszcząc jakieś pieśni. Mer i trzech ławnicy postępowali obok, dzierżąc w rękach chwasty wstążek spływających z baldachimu. Radnych otaczała świta dzieci Iwona i Kosmy, za nimi kroczył szwajcar²⁶² katedralny, wyglądający niby nadęty hardo kogut. Za nimi kanonik w asyście księży (jeden z nich chudy jak Wielki Piątek²⁶³, drugi — tłusty i przypłaszczony jak złe wyrośnięty placek) — intonował co dziesięć kroków fragment litanii niskim basem; nie wysiłał się jednak zbyt, pozwalając wyśpiewać się innym, i z rękami złożonymi na brzuchu, idąc, podrzemywał.

Dalej płynęła fala tłumy, zbita, gęsta jak powidła, a ruchliwa jak rój os. Wyszliśmy

Drzewo, Wiatr

²⁶⁰infula — wysokie, ceremonialne nakrycie głowy biskupa. [przypis edytorski]

²⁶¹Arka Przymierza — obita złotem skrzynia, która stanowiła najważniejszy przedmiot w kulcie religijnym staroż. Izraelitów; przechowywano w niej kamienne tablice z przykazaniami, otrzymane przez Mojżesza na górze Synaj; w czasie wędrówki Izraelitów do ziemi Kanaan oraz podczas kampanii wojskowych przechowywana w Namiocie Spotkania i przewożona specjalnym wozem, później złożona w najświętszym pomieszczeniu świątyni zbudowanej w Jerozolimie przez króla Salomona. [przypis edytorski]

²⁶²szwajcar (daw.) — odźwierny, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

²⁶³Wielki Piątek — święto chrześcijańskie upamiętniające śmierć Jezusa na krzyżu; wiernych obowiązuje w tym dniu ścisły post. [przypis edytorski]

z miasta i udali się wprost na łąkę. Wiatr rozwiewał liście platanów. Cale ich chmary pędziły drogą w słońcu, a rzeka unosiła je jak żółty płaszcz swym powolnym nurtem.

Wstępu na łąkę broniła święto ustawiona bariera, trzech policjanci oraz kapitan, który niedawno objął służbę w zamku. Kapitan był przybyszem świeżym, przeto wziął wszystko zbyt poważnie i w pierwszej chwili chciał wzbronić procesji wstępu (biegał i przewracał oczyma). Toż samo, ale tylko na pozór, czynili wtajemniczeni policjanci. Z tłumy, jak to było wówczas ułożone, podniosły się okrzyki i pogrożki, nie bez trudu jednak przyszło nam zachować powagę. Kto wie, czy długo utrzymałby się ów żartobliwy ton rozmów, Kalabryjczycy bowiem poczęli się już zbyt przejmować swą rolą.

W sam czas wysunął się mer i zawołał:

— Odkryć głowy!

W tej chwili spadła zasłona okrywająca figurę, a heroldowie miejsca wrzaśli:

— Z drogi! Idzie książę!

Hałas ucichł natychmiast. Wszyscy święci: Józef, Anna, Honoriusz i Fiakier, uszeregowani w szpaler, sprezentowali broń, a kapitan, osłupiały z odkrytą głową, przestał wraz z policjantami bronić nam wstępu. Korowód wtoczył się, prowadząc z sobą księcia *in effigie*²⁶⁴. Tak przynajmniej głosił *urbi et orbi*²⁶⁵ notariusz, ale prawdę mówiąc, figura wcale nie wyobrażała księcia. Nie mając ani czasu, ani ochoty rzeźbić go, wzięliśmy z jakiegoś strychu starą figurę (nigdy nie dowiedziano się, kogo przedstawiała ani kto ją wykonał), na której podstawie widniał zatarty napis: „Baltazar”²⁶⁶. Ale cóż to szkodzi? Wszakże wiadomo, wiara zbawia. Czyż bardziej są prawdziwe portrety Eligiusza, świętego Mikołaja lub Jezusa? Jeśli tylko wierzysz, zobaczysz wszystko, co chcesz widzieć. Potrzebujesz Boga? Wystarczy na mieszkanie dla niego i dla mojej wiary prosty kawałek drzewa. Tego dnia potrzebny nam był książę. I znalazł się. Książę tedy przeszedł środkiem szpaleru, a chorągwie skłoniły się przed nim. Przybrany był w liście laurowe, na czoło nasunięty miał kapelusz, szabla wisiała na brzuchu. Wkraczał w ten sposób na swoją łąkę, a my z nim jako jego świta, z muzyką, śpiewem, wianem sztandarów. Któż mógł coś zarzucić, upatrywać choćby cień nieposłuszeństwa? Chcąc nie chcąc, i kapitan musiał się zgodzić. Miał do wyboru: albo zaarrestować księcia, albo przyłączyć się do orszaku. Oczywiście, uczynił, co musiał uczynić.

Wszystko szło jak najlepiej, gdy nagle nawa²⁶⁷ omal nie zatoneła w samym porcie skutkiem sporu reprezentantów świętego Mikołaja i świętego Eligiusza oraz świętego Józefa i jego teściowej, wszczętego o to, kto ma wejść pierwszy na łąkę. Nie patrząc na względy wieku i uprzejmości, dnia tego byliśmy wszyscy w nastrojach wojowniczych i swędziały nas pięści. Jako wielbiciel wszystkich świętych, pośpieszyłem na pomoc.

— Bracia! Nie ma tutaj u nas pierwszych i ostatnich! Pierwszy jest sam książę, reszta to ludzie równi sobie, a jeśli już chcecie, bym wam wskazał kogoś godniejszego od innych... Oto macie go, macie przedstawiciela boga Bachusa!

W tej chwili chwyciłem za kołnierz stojącego tuż obok niego zacnego Gambiego i wpakowałem go na wózek z beczką pełną winnego moszczu, do której mój przyjaciel wlał bez namysłu. Potem chwytam za lejce i wjeżdżamy pierwsi na książęcą łąkę. Mój Bachus zanurzony po pas w soku przebiera nogami i śmieje się. Teraz już zgodnie, ręka w rękę, kroczyli za nami, tańcząc, wszyscy święci i święte. Jakże miękka była trawka na łące! Rozpoczęły się wokoło księcia zabawy, tańce, jedzono, pito, biwakowano do późnego wieczora, a nazajutrz łąka wyglądała jak chlew, jak śmietnik. Ani śladu trawy, wszystko wdeptały w miękka ziemię podeszwy czcicieli księcia, a zapał, z jakim czciło go całe miasto, zniweczył doszczętnie jego własność. Sądzę, że był zadowolony, a my także.

Wiara

Zabawa, Zemsta

²⁶⁴*in effigie* (łac.) — pod postacią obrazu; zwykle jako nazwa dawnego zwyczaju wykonywania symbolicznego wyroku śmierci na podobiznie zmarłych lub zbiegłych przestępców. [przypis edytorski]

²⁶⁵*urbi et orbi* (łac.) — miastu i światu; określenie uroczystego przemówienia i błogosławieństwa wygłaszanego przez papieża w Rzymie w ważnych okolicznościach oraz z okazji najważniejszych świąt. [przypis edytorski]

²⁶⁶*Baltazar* — tu zapewne jeden z mędrców-magów, którzy przynieśli dary nowo narodzonemu Jezusowi; albo też: postać z biblijnej *Księgi Daniela* (Dn 5, 1–31), przedstawiona jako ostatni król babiloński przed podbojem perskim; wydał ucztę, podczas której ukazała się w sali ręka pisząca na ścianie słowa: *Mane, tekel, fares*, co zwykle się tłumaczy: „policzone, zważone, rozdzielone”; była to przepowiednia bliskiego upadku królestwa Baltazara, która spełniła się jeszcze tej samej nocy. [przypis edytorski]

²⁶⁷*nawa* (daw.) — statek, okręt. [przypis edytorski]

Wprawdzie prokurator, wróciwszy nazajutrz, zaprotestował i rozpoczął śledztwo, ale go nie dokończył. Nikomu zresztą nie zależało na tym, by rzecz wyjaśnić.

*

W ten sposób pokazaliśmy światu, iż możemy być dobrymi poddanymi księcia i czynić, co się nam podoba, nie licząc się z jego wolą; ta udana farsa wprowadziła wszystkich w doskonały humor. Ci i owi zbliżali się do siebie, mrugali oczyma i mówili:

— Jeszcze trochę nam zostało fantazji, prawda? Nie damy się! Wszystko będzie dobre!

I wspomnienie przebytych klęsk uleciało z dusz mieszkańców Clamecy.

XII CUDZY DOM

Październik

Trzeba się było ostatecznie zdecydować, gdzie zamieszkam. Zwlekałem z tym, ile tylko mogłem. Człowiek cofa się, mając wykonać skok. Tymczasem wałęsałem się od jednego znajomego do drugiego; tu przespałem jedną noc, tam znów dwie. Dopóki na wszystkich ciążyła z mora strachu i wspomnienie przejść okropnych, każdy się czuł dobrze u drugiego. Ale wiecznie to trwać nie mogło. Niebezpieczeństwo oddalało się, a każdy właził w swoją skorupę. Cóż, kiedy nie miałem skorupy! Nie mogłem zamieszkać w gospodzie; córka i synowie nie dopuściliby do tego. Chłopcy, oczywiście, nie mieli dla mnie serca, ale jako mieszczuchy w Clamecy, znane i zajmujące pewne stanowiska, nie mogli dopuścić, by ich wytykano palcem. Nieśpieszno jednak im było. Mam za długi język, a to bigoty straszne. Namyślali się, który ma się poświęcić, i byli zaambarasowani²⁶⁸ tak samo jak ja. Martynka kocha mnie naprawdę i od pierwszego dnia upominała się, bym u niej mieszkał. „Ba, ale coś powie pan zięć — myślałem ze strachem. — Ten już z pewnością nie pragnie mnie za lokatora”. Przyglądali mi się tedy wszyscy badawczo, ja zaś unikałem ich, jak mogłem. Zdawało mi się, jakby moje stare ciało wydane było na licytację. Tymczasem ulokowałem się w szalasy w winnicy na wzgórzu Beaumont. Tu spędziłem w lipcu noc z zarazą, a ci zaślepińcy, którzy spalili mój dom, zgoła nietknięty chorobą, pozostawili zapowietrzoną budę. Ale nie bałem się już owej damy i czułem się wcale wygodnie w tej chałupie z klepiskiem zamiast podłogi, na którym leżały jeszcze dotąd resztki mej przedwczesnej stypy. Wiedziałem zresztą dobrze, że zimować niepodobna w kolebie o nieszczelnych drzwiach, wybitych szybach w oknie, dziurawym dachu, przez który leje się woda deszczowa. Ale jakoś deszcz nie padał, a jutro... Ej, kto by tam myślał o jutrze! Gdy nie mogę wydobyć się z matni, mam zwyczaj odkładać to na drugi dzień.

„I na coś to się zda?” — powiedziałby ktoś. Trzeba i tak przelknąć pigułkę!

A oto, co bym odparł: „Czekajże, nie wiadomo wcale, czy za tydzień świat będzie istniał jeszcze. Okropnie by mi było, gdyby akuratnie po przelknięciu pigułki ozwały się trąby Pana Zastępów²⁶⁹. Po coś tak się śpieszyłem? Przyjacielu, nie odkładaj nic na godzinę szczęścia, bo szczęście pije się na gorąco. Natomiast niedola ma czas. Nie zaszkodzi niedoli, gdy trochę ochłonie, będzie miała lepszy smak!”

„Głowić się nie ma co” — powiedziałem sobie i czekałem, a raczej nie czekałem na nic, tylko sobie odpoczywałem, dla większego bezpieczeństwa zamknąwszy i zabarykadowawszy drzwi. Rozmyślałem, ale bez zbytnej goryczy. Skopałem swój ogród, poobcinałem suche gałęzie, okryłem winorośle, okopałem karczochy²⁷⁰, przewiązałem rany w korze starych drzew, słowem przygotowałem swój ogród na sen zimowy pod śniegową kołderką.

Napracowawszy się, sięgałem czasem po rudą lub złotą gruszeczkę zapomnianą na drzewie i rozkoszowałem się przepysznym wonnym sokiem spływającym mi do gardła.

²⁶⁸ *zaambarasowany* (daw.) — zakłopotany. [przypis edytorski]

²⁶⁹ *Pan Zastępów* — biblijne określenie Boga; *trąby Pana Zastępów*: tu: siedem trąb, w które wg nowotestamentowej *Apokalipsy św. Jana* (Ap 8–11) zadną aniołowie, obwieszczając koniec świata i czas Sądu Ostatecznego. [przypis edytorski]

²⁷⁰ *karczoch* — roślina warzywna uprawiana w krajach o ciepłym klimacie. [przypis edytorski]

Szczęście, Carpe diem

Nie chodziłem do miasta, chyba gdy trzeba było odnowić zapasy amunicji (to jest picia, jedzenia i nowinek), a czyniłem to, starannie unikając swej progenitury²⁷¹. Chciałem wpoić w nich przekonanie, że udałem się w podróż. Nie wiem, czy wierzyli, ale jako synowie pełni szacunku, nie twierdzili, że tak nie jest. Graliśmy z sobą tedy w ciuciubabkę! Ale nie braliśmy w rachubę Martynki. Kobieta zawsze oszukuje w grze. Martynka nie dała się zwieść; znała mnie dobrze i przeniknęła wkrótce mój podstęp. A jeśli szło o obowiązki rodzinne wobec ojca, dzieci, sióstr, braci itp., nie było z nią żartów.

Pewnego dnia, wychodząc z szałas, spostrzegłem ją z dala. Więc wszedłem do środka i zamknąłem drzwi. Siedziałem z zapartym oddechem. A właśnie chciało mi się kaszleć, gdy jak na złość Martynka zapukała.

— Otwórz, ojczu. Wiem, że tam jesteś!

Bębniła pięścią, kolanami, sabotem. Mało nie rozwalila drzwi. Pomyślałem sobie: „A to zuch baba! Jeśli się włamie, przepadłem”. I miałem już ochotę otworzyć, by ją wyciągnąć, ale pokpiłbym całą sprawę. Ja zaś, kiedy już gram, stawiam na wygraną. Uparłem się. Martynka wołała ciągle, wreszcie dała spokój. Posłyszałem, że odchodzi, wyszedłem tedy i zacząłem się śmiać. Śmiałem się, kaszlałem, łzy mi zalewały oczy. Nagle posłyszałem za sobą głos:

— Nie wstyd ci, ojczu?

Omam nie upadłem na ziemię. Obejrzałem się i zobaczyłem, że stoi pod murem i patrzy mi surowo w oczy.

— Mam cię, stary błaznu! — powiedziała.

Oglupiały całkiem, odparłem:

— Ano, wpadłem w sidła.

Nagle wybuchnęliśmy oboje śmiechem. Zawstydzony, otworzyłem drzwi, a ona weszła niby zwycięski Cezar, stanęła przede mną i biorąc mnie za brodę, rzekła:

— A teraz prosz o przebaczenie!

Powiedziałem:

— *Mea culpa!*

(Przy tej okazji, zupełnie jak na spowiedzi, pocieszałem się, że zacznę na nowo).

Wzięła mnie za brodę i potrząsnęła dosyć mocno w prawo, w lewo, do góry i na dół.

— To wstyd — powiedziała. — Taki siwy jegomość, a trzymają go się psie figle.

Jeszcze potrząsnęła parę razy brodą moją, niby dzwonkiem, potem pocałowała mnie serdecznie i powiedziała:

— Czemuż to, zły człowieku, nie zjawileś się, choć wiedziałeś, że czekam?

— Wytlumaczę ci to dokładnie, dziecko — powiedziałem.

— Wytlumaczysz w domu! No chodźmy!

— Ależ nie jestem gotów! Muszę się przecież spakować!

— Spakować? — spytała. — Więc pakujmy!

Zarzuciła mi na plecy kaftan, włożyła na głowę stary, zniszczony kapelusz, otrzepała mi kolana z pyłu i zawołała:

— Już wszystko spakowane, marsz!

— Zaczekaj chwilkę! — poprosiłem i usiadłem na progu.

— Jak to! — krzyknęła oburzona. — Opierasz się, ojczu, nie chcesz iść do mnie?

— Nie opieram się! Nie, naturalnie, widzę, że będę musiał iść do ciebie, bo innej rady nie ma!

— A to ładnie! Nie kochasz mnie, widzę!

— Kocham cię bardzo, droga Martynko, ale wołałbym kochać cię u siebie niż iść do cudzego domu!

— Cudzy? Przecież mój...

— Hm... W połowie! — zauważyłem.

— O, nie! — zawołała stanowczo. — Bądź, ojczu, spokojny. Ja godzę się na to, czego on chce, ale on się musi godzić z tym, co jest moją wolą. Zobaczysz, będzie uszczęśliwiony! Dałabym mu, gdyby nie był uszczęśliwiony! Ho, ho!

— Wierzę ci! — odparłem. — Ale dotąd miewałem tylko lokatorów, na przykład żołnierzy z załogi księcia de Nevers, więc nie jestem przyzwyczajony być lokatorem.

²⁷¹progenitura (z łac.) — potomstwo. [przypis edytorski]

— Przywykniesz, ojcze! — powiedziała. — Nie mówmy dłużej daremnie. Dalej w drogę!

— Dobrze, ale jeden warunek.

— Już stawiasz warunki?

— Że zamieszkam tam, gdzie zechcę.

— Widzę, że będziesz tyranem! No, ale zgoda!

— Przyrzekasz?

— Przyrzekam!

— I jeszcze jedno...

— Ani słowa! W drogę!

Wzięła mnie za ramię i nagle... A to szelma baba: uszczypała mnie do krwi. Trudno, musiałem iść.

Gdyśmy przyszedli do domu, pokazała mi przeznaczony dla mnie pokoik za sklepem, miły, ciepły i w pobliżu jej pokoju położony. Pocziwa kobietka traktowała mnie jak dziecko przy piersi. Łóżko było gotowe, czyste, wonne, ponętne, a na stoliku nocnym stał w szklance bukiet z wrzósów. Byłem rozczulony, ale powiedziałem sobie: „Doprowadzę ją do pasji”, i rzekłem stanowczym głosem:

— To mi nie odpowiada!

Urażona, pokazała mi inne pokoje na parterze, ale nie chciałem żadnego, natomiast obrałem sobie maleńką stancjikę na poddaszu. Zaczęła się złościć, lecz powiedziałem jej:

— Jak chcesz, moja droga. Tak czy nie? Albo tu zamieszkam, albo wrócę do szataś!

Musiła ustąpić.

Ale co dnia i co godzinę wracała ciągle do swego.

— Nie możesz tu mieszkać, ojcze! Lepiej ci będzie na dole. Powiedz, co ci się tam nie podoba? U licha, gadajże raz, uparciuchu, czemu się opierasz?

Odparłem przekornie:

— Bo tak mi się podoba!

— Wścieknę się ze złości! — wrzasnęła oburzona. — Ho, ho, wiem ja dobrze, za rozumiałcze, o co idzie! Nie chcesz niczego zawdzięczać dzieciom, mnie nawet! Dalibóg, spiorę cię na kwaśne jabłko!

— Ano dobrze, spróbujemy się, ale przestrzegam, że ci posiniaczę pośladki!

— Jesteś człek bez serca!

— Kochane dziecko...

— Tak, tak, przymilaj się teraz, służ na łapkach, obrzydliwy jesteś!

— Kochana córuś, słodka Martynko, drogi babiszonku, śliczna bestyjko...

— Zalecasz się do mnie, widzę, ty miodousty pochlebco, kpiarzu, kłamco! Skończże raz drwiny, nie śmiej mi się w nos, nie rób małpich min!

— Martynko! Popatrz mi w oczy. Ty także żartujesz, prawda?

— Ani mi się śni!

— Ej...

— Nie, nie i raz jeszcze — nie!

— Ale przecież widzę wyraźnie!

Nacisnąłem palcem jej policzek wzdęty od śmiechu, aż musiała wypuścić powietrze.

— Dość głupstw! — zawołała. — Mam do ciebie, ojcze, wielką urazę, a nie mogę się nawet zdobyć na gniew. Robisz takie miny, że mimo woli śmiać się muszę. Rób, co chcesz, nienawidzę cię! Stary kpiarz zrujnowany udaje Artabana²⁷² i robi miny pyszałka wobec swych dzieci. Nie masz do tego prawa!

— Mam prawo, i to jedyna rzecz, jaką posiadam.

Zasypała mnie docinkami, a ja jej wetknąłem również parę ostrych szpileczek. Języki nasze były wprawne, obrażały się wartko, a słowa błyskały i cięły niby noże. Na szczęście, w chwilach największego zacierzewienia to ja, to ona musieliśmy palnąć coś komicznego i nie sposób się nam było powstrzymać od wybuchu śmiechu. Potem zaczęliśmy na nowo.

Kłótnia

²⁷²Artaban — postać z 12-tomowego romansu rycerskiego Gauthiera de Coste de la Calprenède'a pt. *Cléopâtre* (1647–1658), od której pochodzi francuski frazeologizm: *fier comme Artaban* (dumny jak Artaban). [przypis edytorski]

Kiedy dostatecznie wytrzepała na wszystkie strony język (od długiej chwili nie słuchałem jej już), powiedziałem:

— Teraz pora zamykać bramę. Jutro będzie ciąg dalszy.

— Dobranoc! Więc odmawiasz?

Milczałem.

— Pyszałku! Pyszałku! — zawołała.

— Posłuchaj no, moja droga! — rzekłem. — Jestem pyszałek, Artaban, paw, zgódzę się na wszystko, co chcesz. Ale powiedz mi szczerze, Martynko, jak byś postąpiła, znalazłszy się w moim położeniu?

Zadumała się, a potem odparła:

— To samo bym uczyniła, ojcze, co ty!

— A widzisz. Tedy basta i pocałuj mnie na dobranoc!

Pocałowała mnie serdecznie, potem zaś odeszła, mrucząc:

— Czyste utrapienie, kiedy niebo obdarzy człowieka dwoma takimi ananasami!

— Racja! — dodałem. — Powiedz tedy kazanie twemu drugiemu ananasowi, nie mnie.

— Usłyszysz, co trzeba, ale to nie skwituje nas obojga!

I nie kwitowaliśmy się. Zaczęła na nowo następnego ranka. Nie wiem, co o tym sądziły niebiosy, ja jednak utrzymałem się na posterunku.

*

Przez kilka pierwszych dni było mi jak w raju. Wszyscy mnie psuli, nadszali, nadskakiwali, sam Florymond starał się odgadywać moje myśli i zasypywał dowodami miłości synowskiej. Martynka śledziła każdy jego krok, gdy zbliżał się do mnie, a Głodzia ćwierkała jak ptaszynka. Miałem najlepszy fotel, podawano mi pierwszemu półmisek, słuchano z nabożeństwem, gdy otwierałem usta. Było mi tak dobrze, ach, tak wyśmienicie, że nie mogłem wytrzymać. Diabli mnie brali, nie mogłem dosiedzieć na miejscu, włożyłem się dwadzieścia razy na godzinę po schodach na strych i zlałem znowu na dół. Czulem, że to drażni wszystkich. Martynka podskakiwała ze zdenerwowania, ile razy usłyszała trzask schodów uginających się pod moimi stopami. Gdyby to było lato, uciekłbym w pole, teraz wracałem na strych. Jesień nastała ciemna, lodowata, gęsta mgła przysnuła pola, a deszcz lał po całych dniach i nocach jak z cebra. Byłem przykuty do miejsca, a w dodatku do cudzych kątów. Boże wielki!

Martynka nie zdawała sobie dostatecznie sprawy, że poglądy estetyczne Florymonda były straszne, a cały dom zapchany był rzeczami, które doprowadzały mnie wprost do rozpacz. Dałbym nie wiem co, by móc je zmienić w kształcie albo przynajmniej przedstawić na inne miejsce. Ale właściciel czuwał i robił zawsze awanturę, ile razy dotknąłem choćby palcem jego skarbów. Zwłaszcza w jadalni znajdowała się rzecz wprost ohydna, mianowicie duży dzban z podstawą metalową i ozdobami przedstawiającymi dwa całujące się gołąbki oraz panienkę uśmiechającą się z ciętą czułością do młodzieńca. Mdlilo mnie, ile razy na to spojrzałem, więc poprosiłem Florymonda, by tę potworność usunął ze stołu bodaj na czas posiłków. Jedzenie bowiem rośło mi w ustach i dusiło w gardle. Ale w poczuciu praw swoich odmówił stanowczo, był dumny z onego dzbana i uważał go za ostatni wyraz sztuki, moje zaś kaprysy potraktował humorystycznie.

Cóż było robić? Czy śmiać się z samego siebie, czy płakać nad sobą? Po całych nocach przewracałem się z boku na bok, niby kotlet na patelni, i słuchałem szumu deszczu po dachu. Nie śmiałem nawet chodzić po mojej stancyjce, gdyż stąpanie wstrząsało całym stropem i budziło śpiących.

Gdy tak raz pewnego siedział na łóżku z bosymi nogami zwieszonymi na dół i dumał, postanowiłem dokonać rzeczy wielkiej: „Colasie Breugnon — powiedziałem sobie — nie wiem, kiedy i w jaki sposób, ale musisz wziąć się do odbudowania chałupy!” Od tej chwili poweselałem i zacząłem potajemnie akcję, nie wspominając, oczywiście, dzieciom o tym, co zamierzam. Ale skądże wziąć pieniędzy?

Gdybym był Orfeuszem²⁷³, mógłbym poruszyć śpiewem kamienie i kazać im utworzyć ściany. Ale nigdy nie miałem pięknego głosu. Tedy udałem się bez wahania do przyjaciela Paillarda, chociaż pocziwiec nie uczynił mi propozycji pożyczki. Ale skoro mnie nie sprawia przykrości poprosić przyjaciela o przysługę, on winien mi ją oddać również bez przykrości. Korzystając z powrotu pogody, udałem się do Dornecy. Właściwie tylko deszcz ustał, pogody nie było, po niebie pęły nisko ciężkie chmury, a żółte liście orzechów zaścielały drogę.

Za pierwszym słowem Paillard drgnął, skrzywił się i przerywając mi, zaczął narzekać na zastój w interesach, na brak gotówki i na złych klientów, tak że mu powiedziałem:

— Drogi Paillard, może chcesz ode mnie drobnej pożyczki na codzienne wydatki?

Byłem dotknięty do żywego, on tak samo, a może bardziej jeszcze. Rozmawialiśmy lodowatymi głosami o różnych rzeczach potocznych. Wstyd mu było. Wiem, że nie jest złym człowiekiem, że mnie serdecznie kocha i w tej chwili dałby mi wszystko, czego bym zażądał. Takie już wszystkie te mieszcuchy. Nawet najhojniejszy z nich zawsze powie: nie, gdy tylko ktoś uczyni aluzję do jego kieszeni. Paillard dałby wszystko, gdybym mu teraz pisał słowo, ale nie uczyniłem tego. Mam swoją dumę i kiedy proszę o coś przyjaciela, spodziewam się, że sprawię mu tym przyjemność. Jeśli się waha, wszystko na nic. Pogadawszy jeszcze z przymusem o tym i o owym, wstałem z krzesła. Odprowadził mnie do samych drzwi. W chwili gdy je otwierał, nie mogłem dłużej wytrzymać, otoczyłem ramieniem jego szyję i pocałowałem go bez słowa.

Oddał mi pocałunek i rzekł bojaźliwie:

— Dam ci, ile chcesz... Ile chcesz...

— Nie mówmy o tym! — odparłem stanowczo.

— Colasie! — powiedział błagalnie. — Zjedźmy bodaj obiad razem!

— Ano... dobrze! — zdecydowałem. — To inna sprawa. Możemy zjeść obiad, mój drogi!

Jedliśmy obficie i gadali, ale pozostałem nieugięty. Mimo że sam na tym ucierpiałem najwięcej, chciałem ukarać Paillarda.

Powróciwszy do Clamecy, zacząłem roztrząsać problem. Szło o to, by odbudować dom bez materiału budowlanego, pieniędzy i robotników. Ale trudności nie odwiodły mnie od postanowienia. Przede wszystkim zbadałem dokładnie całe miejsce pożaru i poskładałem porządnie wszystko, co jeszcze się mogło przydać, więc przepalone belki, osmalone kaffe i cegły, stare żelazko, potem zaś obliczyłem, jak zużytkować cztery chwiejące się ściany, czarne niby dusza potępieńca.

Następnie udałem się do kamieniołomu w Chevroches²⁷⁴ i zacząłem kopać, grzebać, dobywać po kawałku ową kość ziemi, ów kamień ciepły w tonie, jakby czerwony od krwi, która niegdyś w nim pulsowała, zanim ścięła się w bryłę twardą. Nie przeczę, że idąc przez las, dopomogłem kilku starym dębom do ukończenia kariery życiowej i spoczynku wiekuistego. Stało się to tak jakoś mimochodem. Może popełniłem coś, czego nie wolno, ale cóż warto byłoby życie, gdyby się miało robić tylko to, co wolno? Drzewo jest własnością miasta, ja także, prawda? Tedy skorzystałem z mych praw po cichu, spokojnie, i basta! Nie nadużywać — to rzecz główna! Zresztą tak czynił każdy...

Ale objąć w posiadanie to jeszcze nic, konieczne było przewieźć budulec, i tu mi dopomogli sąsiedzi. Jeden dał mi wóz, drugi woły, trzeci pożyczył narzędzi, a nawet sam popracował koło obróbki, bo wszakże pomoc taka nic nie kosztuje. Możesz u nas żądać od sąsiada wszystkiego, co ma, nawet żony, tylko nie pieniędzy. Rozumiem to dobrze, pieniądze to możliwość posiadania, czego dusza zapagnie, to symbol marzeń, to rzecz nieobliczalna, a przeto bezcenna. Reszta niewiele warta, albowiem ma się ją już, posiada, a przeto człowiek dla niej zobojetniał.

Mróz ścisnął właśnie owego dnia, kiedy wraz z kochanym mym Robinetem mogliśmy rozpocząć zaciąganie pierwszych belek. Wszyscy jednogłośnie oświadczyli, że jestem szaleńcem. Dzieci moje robiły mi co dnia sceny, a człowiek najbardziej pobłażliwy radził

Mieszczanin, Pieniądz

Ziemia

Sąsiad, Poświęcenie,
Pieniądz

Sąsiad, Pieniądz

Dom

²⁷³Orfeusz (mit. gr.) — niezrównany tracki śpiewak i poeta, swoim śpiewem uspokajał dzikie bestie i poruszał nawet rzeczy nieożywione. [przypis edytorski]

²⁷⁴Chevroches — wioska w Burgundii, ok. 4 km na pld.-wsch. od Clamecy; w pobliżu znajdował się kamieniołom, obecnie porzucony. [przypis edytorski]

mi, bym przynajmniej zaczekał do wiosny. Ale nie słuchałem nikogo. Lubię doprowadzać do wściekłości bliźnich mych i wielmożów. Wiedziałem, co prawda, że nie zdołam sam, i w dodatku w zimie, zbudować domu, ale nie o dom szło na razie, tylko o budę, o przytulisko, o norę króliczą.

Lubię bardzo ludzi, ale pod warunkiem, by ich nie widzieć na oczy, gdy nie jestem usposobiony. Lubię gadać, mleć językiem, ale obejść się nie mogę bez rozmawiania z sobą samym. Jestem dla siebie najlepszym przyjacielem i poszedłbym na koniec świata, by się z nim spotkać. Lekceważąc sobie zdanie ogółu, nie zważając na zaklęcia dzieci — uparłem się budować dalej.

Niestety, nie było mi pisane, że wygram sprawę. Pewnego dnia pod koniec października mrozik ścisnął kawalerski i belki pokryły się lodem. Wstępując na rusztowanie, pośliznąłem się i nagle... bums! Znalazłem się na ziemi.

— Zabił się! — wrzasnął Robinet.

Przybiegł do mnie, chciał mnie podnieść. Ale powiedziałem z przekorą:

— Zeskoczyłem umyślnie!

Chciałem wstać... Aj... aj! Okropnie mnie boli noga w kostce!... Upadłem z powrotem na ziemię. Przyniesiono nosze, złożono mnie, sąsiedzi utworzyli orszak, odprowadzili mnie do domu, a Martynka załamała ręce. Wyglądało to jak złożenie do grobu, przedstawiane na świętych obrazach, a Maryje nie szczędziły krzyków i lamentów. Umarły zmartwychwstałby od tych hałasów. Ale ja uczyniłem, co mogłem najlepszego: udawałem trupa i w ten sposób umknąłem powodzi wymówek i zarzutów. Leżałem z odrzuconą w tył głową, z brodą wymierzoną w górę, spokojny i nieruchomy, jednak mimo tych pozorów w sercu moim wrzało z wściekłości.

XIII

SAM NA SAM Z PLUTARCHEM

Koniec października

Zostawiłem nogę w paści losu... Oj, źle! Boże drogi, czemuż uwziąłeś się okrutnie na moją nogę? Czyż nie starczyłoby ci żebra lub nawet ręki? Dlaczegoś mi przetrzął filar? Byłbym, oczywiście, jęczał, ale stał, jak się patrzy, a oto teraz walę się! Niechże cię... (chwałą narody ziemi!). Wszystko, co ze mną uczyniłeś, Panie Boże, wygląda tak, jakbyś mnie chciał doprowadzić do ostatniej wściekłości.

Wie on dobrze, że ponad wszelkie dobrodziejstwa ziemi, pracę, hulankę i przyjaźń, cenię sobie wolność, i właśnie dlatego przywiązał mnie za nogę do belki na strychu. Leżę sobie, jak bałwan, na grzbiecie i patrzę na pajęczynę zwisającą z góry. Masz, braciszku, wolność!

Ale nie dam ci się, bratku, tak łatwo. Trzymaj mnie z całej siły, przywiąż, przytrocz, nadzieję jak kurę na rożen. Myślisz, że masz mnie w ręce? Zdaje ci się, bo głowa wolna i fantazja buja swobodnie. Spróbuj ją złapać. Trzeba by mieć dobre nogi, ona bowiem wyszła cało z opresji. Spróbujmyż się więc, przyjacielu.

W pierwszych dniach nie byłem zbyt przyjemny, prawda! Mając nienaruszony język, kłamałem co wlezie, wiedząc zresztą dobrze, że sam jeden tylko jestem winien. Mało, że nie wiedział; kto tylko się zbliżał do mego łóżka, gdał bez ustanku:

— Wszyscy ci mówili: daj spokój! Po cóż łaziłeś po belkach jak kot? To wstyd staruchowi! Musisz ciągle dreptać. Aha, dreptaj sobie teraz!

Ładna pociecha. Gdy człowiek cierpi, udowadniać mu, że jest durniem — tego chyba za wiele. Wszyscy mi to ciągle powtarzali: Martynka, zięć, przyjaciele, obcy, słowem — całe miasto. A ja musiałem słuchać, bezsilny, złapany w paść, wściekły i znudzony. Nawet ta sroka Głodzia przylazła raz do mnie i wrzasnęła:

— Robisz zbytki, dziadku, dobrze ci się stało!

Cisnąłem w nią szlafmycę i huknąłem:

— Wynoś mi się stąd, smarkulo!

Zostałem sam i spostrzegłem, że palnąłem kapitalne głupstwo. Wprawdzie Martynka ostatnim wysiłkiem usiłowała przekonać mnie, iż koniecznie trzeba przenieść me łóżko na dół, do pokoiku za sklepem, ale (mimo ogromnej chętki) uparłem się i wrzasnąłem:

— Nie! Nie, do kroćset diabłów! Nie chcę się pokazywać ludziom, gdy jestem połamany. — Byłbym się zresztą chętnie zgodził, gdyby nie ustawiczne domagania się Martynki. Nie mogłem dopuścić, by otrąbiła uroczyście swoje zwycięstwo. Wyrzuciłem ją przeto za drzwi.

I stało się, co się stać musiało: zostawiono mnie w pokoju na strychu... Nie płacz, Colasie, sameś sobie piwa nawarzył.

Ale nie wyjawilem prawdziwej przyczyny mego uporu. Kiedy człowiek nie jest u siebie, boi się, by w niczym nie krępować swych gospodarzy, chce im jak najmniej zawdzięczać. Rachunek jednak zawiódł. Największa mądrość to być kochanym, największe głupstwo — pozwolić, by ludzie o człowieku zapomnieli. No i stało się... Zapomnieli, i to niewypowiedzianie szybko. Nikt mnie odtąd nie odwiedził. Nawet Głodzia nie zjawiała się już.

Słyszałem, jak się śmiała, jak biegła, i uśmiechałem się do niej z głębi duszy, ale wzdychałem jednocześnie. Czynilem wyrzuty niewdzięcznicy, a przyznawałem, że na jej miejscu uczyniłbym to samo. Baw się zdrowo, maleństwo, ja nie mam wyjścia i muszę gnić, niczym Hiob²⁷⁵ na śmietniku.

Pewnego dnia (a właśnie byłem bardzo smutny) przybył Paillard. Przyjąłem go niezbyt uprzejmie. Usiadł przy łóżku, trzymając na łonie książkę zawiniętą starannie w papier. Usiłował nawiązać rozmowę, ale nie kleiło się jakoś. Ukręcałem kark każdemu tematowi, przecinałem wątek twardym słowem wypowiadanych z wściekłością w głosie.

Nie wiedział, co mówić, pokaszliwał, wreszcie zaczął dla kontenansu²⁷⁶ bębnić marsza po brzegu łóżka. Poprosiłem go, by przestał. Skulił się zaraz, zmartwiał i nie śmiał się ruszyć. Śmiałem się w duchu i myślałem:

„Aha, masz teraz wyrzuty sumienia. Gdybyś był pożyczył pieniędzy, nie byłbym zmuszony łaźnić po belkach. Złamałem nogę, dobrze ci tak! Cieszy mnie to! Bo właśnie twoje sknerstwo doprowadziło mnie do nieszczęścia!”

Nie śmiał ust otworzyć, a ja również milczałem, chociaż świerzbiał mnie język. Na koniec wybuchnąłem:

— Gadajże, u licha! Myślałby kto, że siedzisz u łóża konającego! Któż przyłazi po to, by milczeć? Gadaj albo wynos mi się. Nie wytrzeszczaj gał, nie skub tej przeklętej książki... Cóż to jest?

Biedaczysko wstał i powiedział:

— Drogą Colasie, widzę, że jesteś poirytowany. Przeto odchodzę. Przyniosłem ci książkę... to Plutarcha²⁷⁷ *Żywoty sławnych mężów* przełożone na francuski przez biskupa Auxerre, messira Jakuba Amyot. Myślałem... (nie był jeszcze zdecydowany), myślałem, że może... (ach, ileż go to kosztowało!), sądziłem, że cię to zajmie, że znajdziesz pewną rozrywkę... pociechę pewną w czytaniu...

Znałem jego niechęć do pożyczania książek, wiedziałem, że zazdrośny jest o nie, że dalby raczej wór dukatów niż najmniejszy tomik. Wiedziałem, że na widok dotknięcia swego skarbu przez innego człowieka drżał niby kochanek, gdy jakiś włóczykić obejmuje wół jego umiłowaną!

— Drogą przyjacielu! — powiedziałem. — Jesteś lepszy ode mnie. Jestem kanalia. Chodź, pocałujmy się!

Ucałowałem go, wziąłem książkę, a kiedym już ją trzymał, Paillard uczynił gest, jakby chciał mi ją odebrać.

— Ale proszę cię, nie zniszcz.

— Bądź spokojny! — odparłem. — Włóż ją pod głowę niby poduszeczkę...

Poszedł smutny, niepewny, zatroskany o los swego skarbu.

*

Zostałem tedy sam na sam z Plutarchem z Cheronei, malutkim, grubiutkim tomi-

²⁷⁵Hiob (bibl.) — główny bohater biblijnej *Księgi Hioba*, dla wypróbowania jego wiary doświadczony przez Boga nieszczęściami. [przypis edytorski]

²⁷⁶kontenans (daw.) — pewność siebie. [przypis edytorski]

²⁷⁷Plutarch z Cheronei (ok. 50–ok. 125) — grecki pisarz, filozof i biograf; autor popularnych *Żywotów równoległych*, zbioru zestawionych parami życiorysów sławnych Greków i Rzymian; pierwszy przekład tego dzieła na francuski, autorstwa biskupa Jacques’a Amyota, ukazał się w 1565. [przypis edytorski]

kiem, o tysiącu przeszło stronach drobnego, zbitego druku. Pełny był słów, jak worek ziaren pszenicy.

Pomyślałem sobie:

„Jest co jeść przez trzy lata bez przestanku dla trzech żarłoków”.

Z początku zabawiałem się oglądaniem nagłówków rozdziałów, ozdobionych owalnymi medalionami wyobrażającymi głowy słynnych mężów, ucięte, niby świńskie główki, zamarynowane i przybrane bobkowymi wieńcami. Brakło jeno chrzanu i pietruszki w nozdrzach.

Myślałem:

„I cóż mnie obchodzi, u diaska, ci wszyscy Grecy i Rzymianie? Pomarli dawno, a ja żyję! Cóż mi mogą nowego i ciekawego powiedzieć? Wiem wszystko, wiem doskonale, że człowiek to zwierzę złe, choć zabawne, że wino, starzejąc się, staje się coraz lepsze, kobieta zaś coraz gorsza, że na całym świecie wielki i mocny pożera słabszego i małego, mały zaś i słaby kpi z wielmoży. Mierzą mnie te długie wywody, lubię krasomówstwo, ale pod warunkiem, bym sam gadał”.

Zacząłem przeglądać książkę z miną łaskawą, wodząc spojrzeniem po wierszach, niby po smudze rzeki. I nagle... nagle wzięło mnie, powiadam wam, moi państwo... co za połów! Pławik wędkę zanurzał się raz po raz. Wyciągałem karpie, liny, szczupaki, ryby złote, srebrne, amarantowe, tęczowe, wysadzone klejnotami, miotające wokoło siebie blaski. A wszystkie żyły, rzucały się, trzepotały ogonami, skakały po brzegu! Cóż za cymbał śmiać twierdzić, że pomarły? Dawać go tu!

Od tej chwili świat mógł się chwiać pod moimi stopami, ziemia rozpadać się w kawałki. Nie zwracając na nic uwagi, zapuszczałem wędkę i śledziłem pławik, który dawał ciągle nura w fale. „Co za stwora wyłoni się teraz z wody?” — myślałem za każdym razem z najwyższym zaciekawieniem. I oto... jest! Nowa, nieznana dotąd rybka wypłynęła z toni, z białym brzuszkiem, nakrapianymi bokami, grzbietem zielonym i niebieskim, mieniącym się słońcu. Dni (czy tygodnie, nie wiem dobrze) spędzone na tym rybołówstwie zaliczam do największych skarbów mego życia. Niech żyje moja złamana noga!

Dziękowałem Bogu, że mi nie zabrał oczu, gdyż za ich pomocą mogłem czerpać cudne wizje zawarte w tej księdze. Oczy to cudotwórcy! Przemieniają jednostajne, czarne paski liter, podobne stadku owiec biegnących gościńcem pomiędzy dwoma rowami, w nieśmiertelne zjawy przemienionych dawno kształtów. Powstają z martwych armie, miasta rozpadło w proch, piękni, dostojni mówcy, wojownicy zajadli, bohaterowie i kobiety, które ich za nos wodziły, wieją wichry po pustyniach, kłębią się chmury na graniach, błyska w słońcu roztoz morza, żarzy się niebo Wschodu, bieleją lodowce na szczytach...

Widzę Cezara²⁷⁸. Błady, zawiędły spoczywa w lektyce niesionej przez sługi, a za nim świta dostojników. Oglądam Antoniusza²⁷⁹ idącego przez pola z wojskiem, z zapasami, naczyniem i dziewczętami, patrzę, jak rozbija obóz na skraju lasu, ucztuje, pożera całego dzika, pije, oddaje, co pochłonał, i pakuje na nowo! Dalej kroczy Pompejusz²⁸⁰ rozważny, Poliorketes²⁸¹ w wielkim kapeluszu i w wyszywanym złotem płaszczu, na którym widnieją symboliczne figury ziemi i nieba. Jawi mi się przed oczyma wielki Artakserk-

Książka

Wzrok, Książka

²⁷⁸ Cezar, właśc. *Gajusz Juliusz Cezar* (100–44 p.n.e.) — rzymski dowódca wojskowy, polityk, dyktator i piosarz; członek I triumwiratu; zdobywca Galii; odegrał kluczową rolę w wydarzeniach, które doprowadziły do upadku republiki i początku cesarstwa w państwie rzymskim; dążył do przejęcia w Rzymie władzy absolutnej; zginął zaszyty łotwami przez spiskowców. [przypis edytorski]

²⁷⁹ Antoniusz, właśc. *Marek Antoniusz* (83–30 p.n.e.) — rzymski polityk i dowódca wojskowy, stronnik i współpracownik Juliusza Cezara; jako członek II triumwiratu rządzący prowincjami na wschodzie związał się z królową Egiptu, Kleopatrą; skonfliktowany z Oktawianem, został przez niego pokonany w bitwie pod Akcjum, po czym uciekł do Egiptu, gdzie popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

²⁸⁰ Pompejusz, właśc. *Gnejusz Pompejusz*, zw. *Magnus* (Wielki) (106–48 p.n.e.) — rzymski polityk i wódz, jeden z twórców I triumwiratu (razem z Juliuszem Cezarem i Markiem Krassusem); po rozpadzie triumwiratu konflikt między nim i Cezarem przerodził się w otwartą wojnę domową, zakończoną bitwą pod Farsalos, w której Pompejusz odniósł druzgoczącą klęskę. [przypis edytorski]

²⁸¹ Poliorketes, właśc. *Demetriusz I Poliorketes* (337–283 p.n.e.) — wybitny wódz macedoński, król Macedonii (294–286), pierwszy z dynastii Antygonidów; słynny z wielu zwycięstw, m.in. w 307 zdobył Ateny, witany jako oswobodziciel; w 305–304 prowadził oblężenie Rodos z użyciem nowych maszyn oblężniczych, zyskując przydomek Poliorketes (gr: oblegający miasta); w 285 pokonany przez Seleukosa, zmarł w niewoli. [przypis edytorski]

ses²⁸², jak byk w stajni panujący nad czterystoma kobietami swego haremu, dalej piękny Aleksander²⁸³ przebrany za Bachusa, wracający z Indyj na wspaniałym wozie zaprzężonym w osiem koni, pokrytym dywanami i świeżym kwieciami, a pochodowi towarzyszą tony skrzypek, piszczałek, oboi i innych instrumentów. Pije i biesiaduje ze swymi marszałkami, przybranymi w kapelusze z kwiatami, oraz żołnierzami, co płyną za nim falą, wznosząc puchary, oraz kobietami płaszącymi w podskokach.

Czyż to nie cuda?

Królowa Kleopatra²⁸⁴, Lamia-fletnistka²⁸⁵, Statejra²⁸⁶ tak piękna, że od patrzenia na nią bolały oczy... Ba, przysięgam na brodę Antoniusza lub Artakserksesa, osiąść je mogę, gdy jeno zechcę. Wkraczam do Ekbatany²⁸⁷, uczuję z Tais²⁸⁸, spędzam noc z Roksana²⁸⁹, unoszę w tłumoku na piersiach Kleopatę, płonę wraz z Antiochem²⁹⁰ trawionym namiętnością dla teściowej swej, Stratoniki²⁹¹ (ładna sprawa!), tępię Galów²⁹², przybywam, patrzę i zwyciężam²⁹³, a wszystko to dzieje się (co rzecz najlepsza) bez straty choćby jednej kropli krwi.

Jakżem bogaty! Każda opowieść to karawana przywożąca mi z Indyj czy Dalekiego Wschodu drogocenne metale, ogromne beczki starego wina, dziwaczne zwierzęta i branki wojenne. Śliczne, szelmy! Co za piersi, biodra, uda, zady! A wszystko to moje. Mocarstwa powstawały, kwitły i zamierały dla mojej wyłącznej rozrywki.

Cóż to za karnawał? Wydaje mi się, że jestem każdą po kolei maską. Włazę w ich skórę, dopasowuję sobie ich członki, wchłaniam namiętności i tańczę. Jednocześnie jestem

²⁸²Artakserkses II Mnemon (ok. 445–358) — król perski z dynastii Achemenidów, syn i następca Dariusza II; walczył o tron ze swoim bratem, prowadził wojnę ze Spartą, zmagał się z buntami namiestników i z powstaniem w Egipcie; wg Plutarcha miał mieć w swoim haremie kilkaset żon, po jednej na każdy dzień roku. [przypis edytorski]

²⁸³Aleksander III Macedoński, zw. Wielkim (356–323 p.n.e.) — król Macedonii, uczeń Arystotelesa, zwycięzca w wojnie z Persją; wybitny strateg i jeden z największych zdobywców w historii ludzkości, jego podboje zainicjowały epokę hellenistyczną; w wielkiej wyprawie wojennej dotarł do zachodnich Indii, podporządkowując sobie tereny w dorzeczu Indusu; Aleksander przebrany za Bachusa, wracający z Indyj: wg niektórych opowieści bóg wina Dionizos (rytm. Bachus) zawędrował aż do Indii, które podbił. [przypis edytorski]

²⁸⁴Kleopatra, właśc. Kleopatra VII Filopator (69–30 p.n.e.) — ostatnia królowa Egiptu, słynna z urody i uroku osobistego; była kochanką rzymskiego polityka i wodza Gajusza Juliusza Cezara (100–44 p.n.e.), a po jego śmierci kochanką jego bliskiego współpracownika Marka Antoniusza (83–30 p.n.e.); po jej śmierci Egipt został przyłączony do imperium rzymskiego. [przypis edytorski]

²⁸⁵Lamia (ok. 340–ok. 305 p.n.e.) — grecka kurtyzana, kochanka hellenistycznego króla Demetriusza I Poliorketes; wg Plutarcha zanim została kurtyzana, była znana jako utalentowana fletnistka. [przypis edytorski]

²⁸⁶Statejra (zm. 323 p.n.e.) — córka Dariusza III, króla perskiego z dynastii Achemenidów; wzięta do niewoli bitwie pod Issos (333 p.n.e.) przez Aleksandra Wielkiego, w 324 p.n.e. została jego żoną; po śmierci Aleksandra zamordowana na rozkaz Roksany, jego innej żony. [przypis edytorski]

²⁸⁷Ekbatana — starożytna stolica państwa Medów, później jedna z rezydencji królewskich (stolic) perskiego imperium Achemenidów; po zajęciu przez Aleksandra III Macedońskiego w 330 p.n.e. stała się głównym skarbcom nowego imperium. [przypis edytorski]

²⁸⁸Tais (IV w. p.n.e.) — pochodząca z Aten grecka hetera (kurtyzana), przyjaciółka Aleksandra Wielkiego, która towarzyszyła mu w jego kampaniach wojennych; w 330 p.n.e., po zdobyciu przez Aleksandra Persepolis, stolicy perskiego państwa Achemenidów, podczas wielkiej pałacowej uczty miała go skłonić do spalenia pałacu w odwecie za spalenie przez Persów świątyni Ateny na Akropolu 150 lat wcześniej. [przypis edytorski]

²⁸⁹Roksana (zm. 310 p.n.e.) — księżniczka baktryjska, żona Aleksandra III Macedońskiego, którą poślubił w 327 p.n.e., po podboju Baktrii i Sogdian; po śmierci Aleksandra i urodzeniu jego syna-pogrobowca Aleksandra IV Ajgosa stała się kartą przetargową w walce wodzów macedońskich o państwo jej zmarłego męża; na polecenie jednego z nich, Kassandra, zamordowana wraz z synem. [przypis edytorski]

²⁹⁰Antioch I Soter (ok. 324–262 p.n.e.) — drugi król z dynastii Seleucydów, rządzącej rozległym królestwem hellenistycznym w zach. Azji, syn Seleukosa I Nikatora; jako młodzieniec chorobliwie zakochany w Stratonice, żonie swojego ojca, który po konsultacji medycznej, obawiając się o jego życie, darował mu ją jako żonę i uczynił go zarządcą wschodnich prowincji państwa (Plutarch, *Żywot Demetriusza*, 38). [przypis edytorski]

²⁹¹Stratonika (ok. 320–254 p.n.e.) — królowa państwa Seleucydów, córka króla macedońskiego Demetriusza I Poliorketes; w 300 p.n.e. wydana za męża za Seleukosa I Nikatora, urodziła mu córkę; ponieważ młody syn Seleukosa, Antioch I Soter, był w niej chorobliwie zakochany i się głodził, w 294 p.n.e. obawie o jego życie ojciec darował mu ją za żonę (Plutarch, *Żywot Demetriusza*, 38); urodziła Antiochowi pięcioro dzieci, w tym następcę tronu. [przypis edytorski]

²⁹²tępię Galów — odniesienie do wojen z celtyckimi plemionami Galów, prowadzonych przez Gajusza Juliusza Cezara w l. 58–51 p.n.e., zakończonych całkowitym podbojem Galii i włączeniem jej do państwa rzymskiego. [przypis edytorski]

²⁹³przybywam, patrzę i zwyciężam — odniesienie do słynnych słów Gajusza Juliusza Cezara: *Veni, vidi, vici*, tzn. „Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem”, którymi zawiadomił senat rzymski o błyskawicznym wykonaniu zadania: przybyciu do Azji Mniejszej i szybkim zwycięstwem w krótkiej wojnie z Farnakesem II, królem Pontu. [przypis edytorski]

wodzirejem, a także kapelmistrzem, wreszcie jestem też samym czcigodnym Plutarchem. To ja, ja, u diaska, sam napisałem te wszystkie cudenka. (Miałem natchnienie, nieprawdaż?) O, jakże to miło delektować się muzyką słowa, okrągłością zdania, jak słodko dać się unosić w przestrzeń wśród uśmiechu, czuć się wyzwolonym z więzów ciała, wolnym od wszelakiego zła, od starości! Ach, wszakże duch to Bóg! Niech będzie pochwalony Duch Święty!

Czasem przerywam opowiadanie w połowie i komponuję ciąg dalszy, a potem porównuję dzieło mej wyobraźni z tym, które ukształtowało życie lub też sztuka. Jeśli sztuka — odgaduję często tajemnicę. Oo, bo ze mnie stary lis znający się na wszystkich sposobach i sposobikach, przeto śmieję się do siebie, rad, że ją umiał przeniknąć. Gdy jednak sprawa dotyczy życia, myślę się niemal zawsze. Życie drwi z naszych forteli, a wyobrażenia jego przekracza o wiele naszą. To zajażdża kumoszka! Pod jednym jeno względem nie wysiła się na wielkie urozmaicenie historyjki, a mianowicie jej końca. Wojny, miłości, facecje — wszystko to kończy się nurkiem w dziurę znaną dobrze. Pod tym względem życie powtarza się do niemożliwości. Czyni jak kapryśne dziecko, co psuje zabawki, gdy ich ma dosyć. Wściekam się i wrzeszczę: „Ohydny brutalu, zostaw w spokoju moje bawidelka!”. Wydieram mu je z rąk... Niestety, za późno to uczynił... już zepsute. Doznaję słodkiego upojenia, kołysząc w ramionach, jak to czyni Głodzia, szczątki mych laleczek. Owa śmierć nadchodząca punktualnie, jak godzina po obiegu wskazówki dokoła tarczy zegara, nabiera uroku powtarzającego się refrenu. Niechże tedy tętnią dzwony, niech biją godziny: ding, ding, don!

Kondycja ludzka, Śmierć

— Jestem Cyrus²⁹⁴, ten, który podbił Azję, władca Persów, i proszę cię, drogi przyjacielu, nie zazdrość mi tej odrobiny ziemi nakrywającej ciało moje²⁹⁵.

Grób

Odczytuję epitafium²⁹⁶ u boku Aleksandra, który drży, bo zdaje się słyszeć własny głos dochodzący z ziemi. O Cyrusie, Aleksandrze, o ileż bliżsi mi jesteście przez to, żeście pomarli!...

Widzę ich czy marzę o nich? Szczypię się i mówię sobie: „Cóż to, Colasie, czyś zasnął?”. Biorę z małego stoliczka u wezgłowia łóżka dwa medale (wykopałem je z ziemi w winnicy mojej zeszłego roku). Jeden przedstawia kudłatego, ubranego jak Herkules²⁹⁷ Kommodusa²⁹⁸, drugi wyobraża Kryspinę Augustę²⁹⁹ o podwójnym podbródku i spiczastym, sroczym nosie. Powiadam sobie tedy: „Nie śnię, mam oczy otwarte i Rzymu dotykam palcami”.

Cóż to za rozkosz zatapiać się w koniunktury³⁰⁰, w rozpamiętywania moralne, dysputować samemu z sobą, przywracać do życia problemy światowej wagi, rozstrzygnięte już przez życie, namyślać się nad Rubikonem³⁰¹: przejść czy zostać na brzegu... a może

²⁹⁴ *Cyrus II Wielki*, zw. *Starszym* (ok. 590–529 p.n.e.) — król Persji z dynastii Achemenidów; wystąpił przeciwko zwierzchnictwu Medów i pokonał ostatniego ich króla; podbił państwa Bliskiego Wschodu, tworząc imperium obejmujące tereny od Azji Mniejszej do Azji Centralnej. [przypis edytorski]

²⁹⁵ *Jestem Cyrus, ten, który podbił Azję (...) nie zazdrość mi tej odrobiny ziemi nakrywającej ciało moje* — napis, jaki wg Plutarcha (*Żywot Aleksandra* 69) widniał na grobowcu Cyrusa II Wielkiego w pobliżu pałacu w Pasargadach (grobowiec zachował się do naszych czasów, ale bez inskrypcji); treść napisu miała głęboko poruszyć zwiedzającego Aleksandra Wielkiego, który nakazał dodać poniżej jego grecką wersję. [przypis edytorski]

²⁹⁶ *epitafium* — napis nagrobkowy lub utwór poetycki na cześć zmarłego. [przypis edytorski]

²⁹⁷ *Herkules* (mit. rzym.) a. *Herakles* (mit. gr.) — grecki heros, mityczny siłacz, słynny z wykonania 12 trudnych i niebezpiecznych zadań; przedstawiany jako muskularny mężczyzna, często z maczugą oraz skórą lwa, którego udusił gołymi rękami. [przypis edytorski]

²⁹⁸ *Kommodus*, właśc. *Marek Aureliusz Kommodus Antonin* (161–192) — cesarz rzymski (od 180), syn Marka Aureliusza, ostatni z dynastii Antoninów; brutalnie zwalczał opozycję, pod koniec panowania kazał się uznać za nowe wcielenie Herkulesa; zamordowany w wyniku spisku pałacowego. [przypis edytorski]

²⁹⁹ *Kryspina*, właśc. *Bruttia Kryspina* (164–191) — żona rzymskiego cesarza Kommodusa (od 178), w 188 pod zarzutem niewierności wygnana przez niego na wyspę Capri, później stracona; *augusta*: tytuł nadawany cesarzowym rzymskim, żeńska forma tytułu *augustus*. [przypis edytorski]

³⁰⁰ *koniunktura* — splot okoliczności, szczególnie tych istotnych, mających wpływ na jakość życia, ekonomię itp. [przypis edytorski]

³⁰¹ *namyślać się nad Rubikonem* — nawiązanie do wydarzenia historycznego, kiedy w styczniu 49 p.n.e. Juliusz Cezar, wypowiadając słowa „Kości zostały rzucone”, przekroczył ze swoim legionem rzekę Rubikon, stanowiącą granicę Italii, do której wodzom rzymskim nie wolno było wkraczać z armią; przekroczenie Rubikonu na czele wojska stanowiło jawne przeciwstawienie się legalnej władzy Senatu i wszczęcie wojny domowej. [przypis edytorski]

by przejść... ej, nie! Co za miła rzecz walczyć z Brutusem³⁰² czy Cezarem, godzić się na jego zapatrywanie, potem nabierać przeciwnego poglądu, a wszystko czynić z taką finezją i tak bałmutnie, że człowiek nie wie w końcu, po czyjej stoi stronie. To najzabawniejsze właśnie, że człowiek się zapala, zatapia w dyskusję, dowodzi, wysila się, replikuje, ripostuje, zadaje ciosy, kładzie przeciwnika na obie łopatki... a w końcu spostrzega, że został zapędzony w kozi róg. Ha, pobity został człek przez samego siebie. To wina Plutarcha. Ile razy swym pozłocistym językiem powie z życzliwą, dobroduszną miną: „Mój drogi”, człowiekowi wydaje się, że ma słuszość zupełną, a że owa racja zmienia się w każdym opowiadaniu, to już do sprawy nie należy. Krótko i węzłowato, spośród bohaterów jego najbardziej i najwyłączniejszej podoba mi się ostatni, o którym czytałem. A dzieje się to tym pewniej, że wszyscy oni są powolni tej samej heroinie, zaprzężeni do jej wozu. Czymże wobec tego jest triumf Pompejusza? Ona to kieruje historią. Heroina owa to Fortuna³⁰³, która pędzi na toczącym się ciągle i nigdy niezatrzymującym się kole, przechodząc na sposób księżycy lunacje³⁰⁴, jak rzecz u Sofoklesa³⁰⁵ określa rogal-Menelaos³⁰⁶. Jest to sprawa bardzo pomyślna dla tych zwłaszcza, którzy się znajdują w pierwszej kwadrze³⁰⁷.

Czasem powiadam sobie: „Breugnon, przyjacielu mój, jakże, u stu tysięcy starych diabłów, może cię to bawić? Cóż cię, powiedz szczerze, obchodzi cała ta rzymska sławna historia, a tym bardziej szaleństwa onych wielkich oczajduszów? Masz dość szaleństw własnych, skrojonych na twoją miarę. Czy już nie masz nic do roboty lepszego jak brać na plecy błędy, występki i nędzę ludzi, którzy pomarli tysiąc osiemset lat temu? Przyznaj, drogi chłopcze (tak gada Breugnon, rozsądny, osiadły mieszczuch z Clamecy), że twój Cezar, Antoniusz i ta szelma Kleo, twoi książęta perscy, mordujący synów swych i gwałcący córki własne, to po prostu bujda! Pomarli, a w ciągu życia nie zrobili nic naprawdę rozsądnego. Zostaw ich popioły w spokoju. Jakże człowiek wiekowy i rozsądny może lubować się w tych wszystkich zdrożnościach? Pomyśl tylko o Aleksandrze! Czyż cię nie oburza, że zmarnował skarb całego narodu po to jeno, by pogrześć młodego faworyta swego, Hefajstiona³⁰⁸? Darujmy im zresztą mordy i wojny. Nasienie ludzkie diabła warcie! Ale zmarnować tyle pieniędzy? Widać zaraz, że zbóje te nie pracowały nigdy na życie. A tobie się to podoba. Oczy ci wyłażą ze łba i uczuwasz dumę, jakby dukaty owe z twojej uleciały kabzy. Słuchaj, gdyby nawet tak było, byłbyś osłem dardanelskim, a jesteś dubeltowym³⁰⁹, radując się szaleństwami, które popełnili za ciebie inni”.

Odpowiadam: „Drogi Breugnon, mowa twa złotem jest i masz zawsze rację. Niemniej jednak faktem jest, że dałbym sobie wlepić porcję kijów za tych draniów i że uważam owe cienie, uwolnione z ciał przed dwoma tysiącami lat, za twory żywsze od nas samych. Znam tych ludzi i kocham ich. Zgadza się chętnie, by mnie Aleksander zabił, byle się zgodził płakać nade mną podobnie jak nad zwłokami Klejtosa³¹⁰. Ścisła mnie w gardle, gdy

³⁰²Brutus, właśc. *Marek Juniusz Brutus* (85–42 p.n.e.) — rzymski polityk i dowódca wojskowy; jeden z przywódców spisku i zabójców Juliusza Cezara; razem z Kasjuszem, innym przywódcą spisku, zebrał wojska i oparował prowincje wschodnie; po klęsce w bitwie pod Filippi popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

³⁰³Fortuna (mit. rzym.) — bogini ślepego przypadku, losu; przedstawiana z kołem, symbolizującym zmienność. [przypis edytorski]

³⁰⁴lunacja (daw.) — faza księżyca; jeden z kształtów, pod którymi widoczny jest na niebie przez księżyc. [przypis edytorski]

³⁰⁵Sofokles (496–406 p.n.e.) — jeden z trzech największych tragicznych greckich. [przypis edytorski]

³⁰⁶Menelaos (mit. gr.) — król Sparty, brat Agamemnona; jego żona Helena uciekła razem z trojańskim królewiczem Parysem, co doprowadziło do wojny trojańskiej; Fortuna, która pędzi na toczącym się (...) kole, przechodząc na sposób księżyca lunacje, jak rzecz u Sofoklesa określa rogal-Menelaos: we fragmencie niezachowanej sztuki Sofoklesa, cytowanym przez Plutarcha w *Żywocie Demetriusza Poliorketes* (45, 2). [przypis edytorski]

³⁰⁷pierwsza kwadra — faza księżyca, podczas której ma on kształt litery „D” i wielkość jego widocznej części rośnie, przypadająca po nowiu, kiedy jest niewidoczny, a przed pełnią, kiedy widoczna jest cała jego tarcza. [przypis edytorski]

³⁰⁸Hefajstion (ok. 356–324 p.n.e.) — macedoński arystokrata i dowódca, najbliższy przyjaciel Aleksandra Wielkiego; zmarł młodo, po krótkiej chorobie; Aleksander wyprawił mu niezwykle kosztowny pogrzeb, wg Plutarcha (*Żywot Aleksandra* 72), zamierzał wydać na pogrzeb i grobowiec 10 tys. talentów srebra (danimy ze wszystkich prowincji imperium perskiego w czasach Herodota, tj. 150 lat wcześniej, wynosiły ok. 16 tys. talentów rocznie). [przypis edytorski]

³⁰⁹dubeltowy — podwójny. [przypis edytorski]

³¹⁰Klejtos (ok. 375–328 p.n.e.) — oficer macedońskiej gwardii, jeden z najbliższych towarzyszy Aleksandra Wielkiego; w bitwie nad Granikiem uratował Aleksandrowi życie; po podboju przez Macedończyków imperium perskiego podczas uczty krytykował Aleksandra, który w gniewie przebił go włócznią; kiedy władca ochłonął, przez kilka dni rozpaczał, nie jedząc ani nie pijąc. [przypis edytorski]

widzę Cezara w senacie pod ciosami sztyletów, podobnego zwierzęciu osaczonemu przez myśliwych i psy gończe. Patrę z otwartymi ustami na łódź pozłocistą, co wiezie Kleopatrę otoczoną nereidami³¹¹ uwieszonymi pośród lin i małymi nagimi pazikami, podobnymi do amorków³¹². Rozwierają mi się nozdrza, chwytając wonny powiew od barki płynącej. Płacę jak cielę na widok śmierci Antoniusza, okrytego krwią, konającego, spętanego liną i ciągniętego z całej mocy przez kochankę, co wychyla się przez okienko wieży (ach, jakież ciężki, boję się, by go nie puściła), gdy widzę, jak biedny człowiek wyciąga do niej ręce³¹³”.

Wzrusza mnie i przywiązuje do nich, jak do familiantów³¹⁴, to właśnie, że są ludźmi, moimi krewniakami!

Ach, jakże serdecznie współczuję z wydziedziczonymi, którzy nie znają rozkoszy czytania! Zdarzają się ludzie drwiący z przeszłości i bardzo dumni z tego, że ich jeno teraźniejszość obchodzi. To krótkowidze niesięgający wzrokiem poza koniec swego nosa. Oczywiście, dobra jest chwila bieżąca. Ale, u licha, wszystko jest dobre, przeto biorę, co się da i gdzie się da, i nie myślę dąsać się na żadną zastawioną ucztę. Nie mówilibyście tak, drodzy przyjaciele, gdybyście wiedzieli, co to jest przeszłość. A może macie kiepskie żołądki? Moim zdaniem, trzeba pchać, ile się zmieści. Wy, zdaje się, nie jesteście pojemni, a kochanki wasze są również chude. Dobrze, a mało to — *summa summarum*³¹⁵ — mało. Wolę dużo i dobrze. Trzymać się chwili bieżącej to uchodziło, moi mili, za czasów Adama, który z braku odzieży chadzał nago, a nie widząc nic, poprzestawać musiał na pośladkach swej samicy. Ale nam przypadło żyć w długi czas po nim i zamieszkać w domu dostatnim, do którego ojcowie i arcyprzodkowie nasi naznosili wszelakiego dobra. Toteż bylibyśmy szaleńcami, pałac nasze spichrze dlatego jeno, że pola rodzą świeże zboże. Poczciwy stary Adam był dzieckiem. Jestem również starym Adamem, albowiem jestem człowiekiem, ale urosłem znacznie od tego czasu. Jesteśmy te same drzewa, ale korony nasze sięgają wyżej. Każdy cios obrabujący gałąź odczuwam we własnym pniu. Mam współudział w radościach i troskach wszechświata, cierpię z cierpiącymi, śmieję się ze szczęśliwymi. Lepiej niżli w życiu przez książki czuję braterstwo łączące ludzkość całą, wszystkich noszących łachmany i korony, albowiem z jednych i drugich nie pozostanie nic prócz popiołu i płomienia, który, sycony samą treścią dusz naszych, jedną a wieloraką, wzlata ku niebu, głosząc niezliczonymi krwawymi językami chwałę Wszechmocnego.

Długo tak marzyłem samotny na strychu. Jesienny wicher ustał, ściemniło się jeszcze bardziej, śnieg zaczął muskać szyby końcami swych skrzydeł. Cienie rozeszły kobierce od ściany do ściany. Coraz mniej widzę. Pochyliam się nad kartkami, chwytam opowieść, co czmycha przede mną, kędyś ku mrokom dążąc. Dotykam nosem papieru, niby pies idący tropem. Daremnie. Nadchodzi noc. Zwierzyna pierzchła, przepadła.

Zatrzymuję się pośród boru i nasłuchuję, a serce mi bije mocno. Pogłosy giną, topią się w dali. Zamykam oczy, by widzieć lepiej, i marzę nieruchomy, wyciągnięty na łóżku. Nie śpiam, wolę przetrwać swe myśli, delektować się obrazami, dumam... Spoglądam nieraz przez pół nocy w niebo pocięte prostokątami szyb. Wyciągam ramiona, dotykam wklęsłej hebanowej kopuły nieba i myślę o tym, gdzie jest teraz gwiazda Cezara. Może to jego krwią rosi się niebo?

Świta, ja ciągle marzę...

Jawi się dzień niedzielny, dzwony grają, a ja upajam się tą muzyką wypełniającą dom od piwnic do mego strychu.

I znowu wraca wizja. Niby opar wzbija się z kart książki. (Kart pokrytych moimi dopiskami. O, biedny Paillard!) Słyszę tętniące wozy, łomot nóg zbrojnych kohort³¹⁶, brzmia fanfary, huczą rogi, rżą konie! Drżą szyby, dzwoni mi w uszach, bije młotem serce i już mam zawołać: *Ave, Caesar Imperator!*³¹⁷

Książka, Kondycja ludzka,
Drzewo

Noc, Gwiazda

³¹¹*nereida* (mit. gr.) — jedna z kilkudziesięciu nimf morskich, córek Nereusa. [przypis edytorski]

³¹²*łódź pozłocistą, co wiezie Kleopatrę...* — na pierwsze spotkanie z Markiem Antoniuszem, w Tarsie w Azji Mniejszej. [przypis edytorski]

³¹³*Antoniusza, okrytego krwią, konającego, spętanego liną i ciągniętego z całej mocy przez kochankę...* — Marek Antoniusz na fałszywą wiadomość o śmierci Kleopatry przebił się mieczem i konający został na linach wciągnięty do grobowca, w którym się ukrywała. [przypis edytorski]

³¹⁴*familiant* (daw.) — domownik; członek rodziny. [przypis edytorski]

³¹⁵*summa summarum* (łac.) — podsumowując wszystko; wzięwszy wszystko pod uwagę. [przypis edytorski]

³¹⁶*kohorta* — jednostka taktyczna w wojsku starożytnego Rzymu, dziesiąta część legionu. [przypis edytorski]

³¹⁷*Ave, Caesar Imperator!* (łac.) — bądź pozdrowiony, Cezarze, zwycięski wodzu! [przypis edytorski]

Nagle wchodzi mój zięć Florymond, woła mnie, pyta, jak spałem, potem zbliża się do okna, ziewa głośno i oświadcza:

— Diabeł dziś hula po polach, zadymka straszna! Psa kulawego nie było od rana na gościńcu!

XIV KRÓL SIĘ BAWI

Św. Marcina (11 listopada)

Ciepło się zrobiło na świecie. Powietrze muskało człowieka tak rozkosznie, jakbyś przemknął po pulchnym liczku dziewczęcym.

Po prostu świat ocierał się o ciebie jak rozpieszczona kotka. Płynął od okna nektar prześwieciany słońcem. Rozwarły się powieki chmur i niebiosy poglądały szarobłękitną żrenicą, na dachu złocił się wesoły promień słońca.

Dziwnie się czułem. Trochę jak zwierzątko, trochę jak marzyciel, a nade wszystko jak zwyczajny smarkacz. (Postanowiłem sobie nie starzeć się. Na złość cofam się w latach, tak że niebawem trzeba będzie postarać się o pieluszki). Serce wezbrało tęsknym oczekiwaniem, gapilo się na świat, rzecz można, jak imć Pan Roger na boską Alcynę³¹⁸. Patrzyłem na wszystko z jakimś wewnętrznym rozczuleniem. Niezdolny byłbym dzisiaj zrobić krzywdy musze.

Myślałem, że jestem sam. Nagle spostrzegłem, że w kącie siedzi Martynka. Nie zauważyłem jej dotąd wcale. Nie rzekła ani słowa, co stało w sprzeczności z jej usposobieniem, siadła tylko, zajęła się jakąś robótką ręczną i nie patrzyła wcale na mnie. Uczulem potrzebę podzielenia się z nią szczęśliwością, która mnie ogarnęła, spytałem tedy na chybił trafił, by rozpocząć rozmowę:

— Z jakiegoż to powodu dzwoniło dzisiaj rano u świętego Marcina?

Wzruszyła ramionami i odparła:

— Dziś właśnie mamy świętego Marcina.

Spadłem z wyżyn uniesienia na ziemię. W marzeniach swych zapomniałem całkiem o wielkim patronie rodzinnego miasta.

— Jak to? — zawołałem zdumiony.

Wśród tłumu mych przyjaciół-bohaterów z Plutarcha ujrzałem w tej chwili starego a równego im zaprawdę męża tnącego mieczem swój płaszcz, by się nim podzielić z biedakiem.

— Marcinku, przyjacielu drogi! — zawołałem. — Jakże mogłem zapomnieć o tobie!

— Dziwisz się? — zauważyła Martynka. — No to dobrze! Czas najwyższy, byś, ojcze, odzyskał zmysły! Zapominasz o Panu Bogu, o rodzinie, szatanie i wszystkich świętych, Marcinie i Martynce. Nie istnieje dla ciebie nic prócz tej przeklętej książki.

Roześmiałem się. Zauważyłem już od dawna złe spojrzenie rzucane w mą stronę, gdy przychodziła rano i widziała, że śpię ze swoim umiłowanym Plutarchem. Kobieta nie jest zdolna pokochać książki miłością bezinteresowną. Widzi w niej rywalkę lub kochanka. Czytając, kobieta czy dziewczyna oddaje się bohaterowi, oszukując mężczyznę. Dlatego widząc, że mężczyzna czyta, sądzi, że ją zdradza.

— To wina świętego Marcina! — odparłem. — Nie pokazuje się. Zabrał do nieba swoją połowę płaszcza i poszedł. Córkę moja, zapamiętaj, że nie należy dać zapominać o sobie. Kto znika, o tym świat zapomina.

— Nie potrzebuję tej nauczki. Gdziekolwiek jestem, wszyscy o mnie wiedzą dobrze!

— Racja! Wszędzie cię widać, a jeszcze bardziej słyszać. Dziwię się, że nie zwymyślałaś mnie dzisiaj. Czuję brak besztaniny! Ano, zaczynaj!

Odwróciła głowę.

— Na nic się nie przyda! — odburknęła.

Żał mi się jej zrobiło, więc powiedziałem:

— Chodźże, pocałuj mnie! Zapomniałem o Marcinie. Dziś twoje imieniny, mam dla ciebie podarek. Chodź, weź go sobie.

Jesień

Książka, Kobieta, Zdrada

Pamięć

Żart, Dar

³¹⁸Roger (*Rugier*) i Alcyna — postacie z poematu epickiego *Orland szalony* włoskiego poety Ludovika Ariosta (1474–1533): szlachetny rycerz i piękna czarodziejka, która go oczarowała. [przypis edytorski]

Zmarszczyła brwi.
 — Kiepskie żarciki! — rzekła cierpko.
 — Nie żartuję! — odparłem. — Chodź, a przekonasz się!
 — Nie mam ochoty!
 — Wyrodna córko! — zawołałem. — Nie masz ochoty pocałować chorego ojca?
 Wstała i podeszła z wahaniem.
 — Cóż to znowu za psi figiel, hę? — spytała.
 Wyciągnąłem ramiona.
 — Pocałuj mnie!
 — A podarek?
 — Masz go w ramionach, to ja sam!
 — Ładny prezent! Nie ma co mówić...
 — Ładny czy nieładny, ale daję wszystko, co mam, bez zastrzeżeń, zdając się na łaskę i niełaskę. Zrób ze mną, co ci się podoba!
 — Więc godzisz się zamieszkać na dole?
 — Jestem twym niewolnikiem...
 — I przyrzekasz słuchać mnie, godzisz się, byśmy ci okazywali przywiązanie, zezwalasz, bym tobą kierowała, pielęgnowała cię, burczała?
 — Wyrzekam się własnej woli...
 — To doskonale! Teraz poznasz mą zemstę! Drogi ojczaszku, kochany staruszk, jakże jesteś dobry, jakże cię kocham! Nie masz pojęcia, ile się przez ciebie nacierpiałam!
 Ucałowała mnie serdecznie, wyściskała w objęciach, wygłaskała jak małego pędraka i zaraz zabrała się do roboty. Nie chciała czekać ani godziny. Zawinięto mnie, Florymond wraz z piekarczykami w białych myckach znieśli mnie wąskimi schodami na dół, wprost do wielkiego łóżka, a Martynka i Glodzia usiadły bliźniutko i powtarzały po sto razy w kółko:
 — Mamy cię, włóczęgo! Wpadłeś nareszcie w sidła!
 Bardzo mi było słodko!
 Od czasu niewoli odrzuciłem precz pychę, poddałem się pokornie Martynce, ale zdaje mi się — nie wiem, czy to prawda — że od tej pory właśnie ja zacząłem rządzić wszystkim w całym domu.

*

Martynka siaduje teraz często przy mnie i rozmawiamy sobie. Wspominamy także posiedzenia i pogawędki z dawnych czasów. Ale wtedy ona była przywiązana do łóżka, albowiem zwichnęła sobie nogę, wyskakując pewnej nocy oknem, by biec do kochanka. Mimo że była już ukarana przez Opatrzność, nie pożałowałem od siebie nauczki i sprąłem ją na kwaśne jabłko. Śmieje się teraz z przygody i powiada, że trzeba było jeszcze mocniej bić. Wówczas jednak miałem z nią krzyż pański. Nie pomagały wały³¹⁹, zniką jak kamfora, ledwo się obróciłem plecami. Trafiła kosa na kamień, córka przechytrzyła zawsze ojca. Ale ostatecznie nic się złego nie stało. Martynka miała dosyć zdrowego sensu, by nie stracić przynajmniej głowy, i właśnie kochanek wpadł, nie ona, gdyż został potem jej mężem.

Śmieje się dziś ze swych szaleństw i powiada, że nie co dzień jest świętego Mikołaja. Życie jest życiem i trzeba się doń zastosować. Rozmawiamy o jej mężu. Ponieważ jest kobietą rozsądną, chwali go jako uczciwego małżonka i nie spodziewa się po nim zbyt wiele. Nie jest co prawda zabawny, ale nie daje również powodu do skarg. Wszak małżeństwa nie kojarzą się dla zabawy.

— Każdy to wie, ale nie wszyscy wyciągają praktyczne wnioski! — mawiała. — Trzeba mieć rozsądek. Szukać miłości u męża to takie samo głupstwo jak chcieć czerpać wodę przetakiem. Nie jestem głupia, przeto nie pożądam rzeczy, które są niemożliwe do osiągnięcia. Zadowolam się tym, co posiadam, nie żałuję niczego. Mimo to widzę teraz, jak daleko od tego, co się osiągnąć da, do tego, co by się chciało, i od marzeń młodości — do tego, co się osiąga w starości lub w czasie, gdy się ona zbliża. Ale człowiek czuje się

Żona

Małżeństwo

Mąż, Miłość

Marzenie

³¹⁹wały (pot.) — bicie, lanie, cięgi. [przypis edytorski]

zadowolony z tego, że ma w ogóle coś. Nie wiem doprawdy, czy jest to bardziej bolesne, czy śmieszne? Ileż nadziei, rozpaczy, namiętności i tęsknot, ileż precudnych marzeń, ileż pięknego płomienia zużywa się na to, by wreszcie zagrzać przy tym wszystkim saganek i ugotować trochę pożywienia. Dobrze jest to jadło, ani słowa, starczy dla nas i niewarciśmy niczego więcej... Ale gdybym to była wiedziała dawniej... Zresztą na wszelki wypadek pozostaje nam w odwodzie wesołość, będąca tak doskonałą przyprawą, że można strawić nawet kamienie. Bogactwo to niezmierne i nie zabraknie nigdy zapasów ani mnie, ani tobie, bo nawykliśmy oboje śmiać się z głupstw własnych, gdy się przekonamy, żeśmy je popełnili.

Śmiech

Nie bronimy sobie również śmiać się z bliźnich naszych. Czasem milczymy, marzymy, dumamy, ja siedzę z nosem wsadzonym w książkę, ona w robotę, ale nie przeszkadza to językom, które po cichu pracują dalej w sposób podobny do podziemnych strumieni, co wyblyskują nagle na światło. Martynka wybucha po długim milczeniu śmiechem, a języki zaczynają taniec na nowo.

Tak sobie rozmawiamy, a ja czasem próbuję włączyć mego kochanego Plutarcha do towarzystwa. Razu pewnego koniecznie zapragnąłem dać poznać Martynce wielkie piękno tych opowieści bohaterskich. Ale nie odniosłem sukcesu. Jabłko lub ryba obchodzą ją znacznie więcej od owych Greków i Rzymian. Starła się przez grzeczność słuchać z uwagą, lecz po dwu zdaniach uczułem, że myśl jej była daleko w polu albo wędrowała po całym domu od piwnic do strychu.

W miejscu najciekawszym, kiedy starałem się jak najlepiej przygotować efekt końcowy, kiedy zniżyłem głos do szeptu, by zagrzmieć potężnie finałem, uprzedzała mnie niespodzianie, wołając to Głodzie, to Florymonda, tak że słychać było na końcu podwórza.

Czułem urazę i dałem spokój. Nie można żądać od kobiety, by podzielała nasze marzenia. Kobieta to połowica mężczyzny. Tak, ale która połowa? Górna czy może dolna? To tylko pewne, że nie można się z nią porozumiewać mózgiem. Każda z połówek ma własną szkatułkę z szaleństwami. Z babą można się porozumieć jeno sercem.

Kobieta, Serce, Marzenie

Bardzo mi to łatwo przychodzi. Zresztą choć jestem stary brodacz-siwiec i kaleka, lubię kobiety i dokazałem tego, że codziennie otacza mnie przyboczna gwardia młodych, ponętnych kumoszek z całego miasta. Obsiadują moje łóżko jak turkawki i gruchają. Przybiega każda pod pozorem, że ma jakiś interes albo ważną nowinę, wreszcie, niby to chcąc pożyczyć naczynia. Każdy pretekst jest dobry, byle o nim zapomnieć po przekroczeniu progu.

Gdy raz się zbiegną, siadają niby na jarmarku wokół cielęcia nakrytego pierzyną, to jest mnie. Bywa wesoła Wilhelmina, Huquette o pięknym nosku, Jacquotte, która wie wszystko, Marqueron, Alizon, Gilette i Macette. Oblegają mnie te ślicznotki i gdaczą niby kurki, ćwierkają niby wróbelki, gęgają niby gąski. Gadamy, śmiejemy się, a że chociaż kaleka i staruch, mam pełen worek anegdotek, łaskotliwych przypowieści i kalamburów, dotyczących rzeczy, których pono tykać nie wolno, przeto lubią mnie.

Śmiech słychać aż na ulicy, a Florymond czuje zazdrość i pyta o tajemnicę powodzenia.

— Tajemnica moja? Cha, cha! Całą tajemnicą jest młodość moja! Tak, drogi staruszkule!

— Ej nie! — odparł. — Nie! Stary kobieciarz ma zawsze szczęście do bab. Latają za nim jak opętane.

— I słusznie! — zawołałem. — Czyż wysłużonemu żołnierzowi nie należy się uznanie? Wszyscy tłoczą się dokoła niego, mówiąc: „On wraca z pola chwały!”. Podobnie kobiety mówią sobie: „Colas odbył tyle kampanii w krainie miłości. Zna on kobiety i orientuje się, jak z nimi walczyć. Zresztą ktoś wie, może zacznie jeszcze wojować na nowo?”.

— Stary rozpustniku! — zawołała Martynka. — Czyż śmiesz twierdzić, że ci teraz miłość w głowie?

— Czemuż by nie? Właśnie nad tym rozmyślałem, czyby się nie ożenić powtórnie? A co, wściekłaś się ze złości?

— Żeń się, mój chłopcze, żeń się, niech ci się szczęści! — powiedziała. — To prawda, młodość musi się wyszumieć.

Św. Mikołaja (6 grudnia)

Na św. Mikołaja³²⁰ wstałem z łóżka i przytoczono mnie do okna w wielkim fotelu. Pod nogami miałem ogrzewaczkę, przed sobą pulpit drewniany z dziurą na świecę. Około dziesiątej przed południem przedelfowała przed domem naszym konfraternia³²¹ marynarzy i robotników rzecznych z muzyką na czele, z godłem cechu wysoko wzniesionym w górę. Obchodzili miasto przed udaniem się do kościoła. Ujrawszy mnie, przystanęli i wydali okrzyk powitalny. Podniosłem się i oddałem hołd patronowi, potem otwarłszy okno, uściśkałem prawicę każdego z nich, a wreszcie wlałem w każde gardło kropelkę napoju. Zaiste, była to kropelka w otchłani morza.

Około południa zjawili się moi syneczkwie i złożyli mi powinszowanie. Chociaż są w rodzinie nieporozumienia, raz do roku trzeba się dogadać, a imieniny ojca to u nas rzecz święta, to oś, dokoła której obraca się instytucja rodziny. Trzymam się tego i nie popuszczę do śmierci.

Tego dnia więc cała rodzina zebrała się razem. Nie bardzo uradowane mieli miny chłopcy moi. Zdaje mi się, że mimo wszystko ja jestem jedynym pomiędzy nimi łącznikiem.

W czasach naszych rozluźnia się wszystko, co stanowiło łącznik pomiędzy ludźmi, a więc dom, rodzina i religia, każdemu wydaje się, że on sam jeno ma rację, i każdy żyje z osobna. Nie chcę odgrywać niewdzięcznej roli starca, który oburza się na wszystko, dąsa i sądzi, iż świat się wraz z nim skończy. Jakoś sobie poradzi bez niego, a wiem, że młodzi znają lepiej od starych własne potrzeby. Świat zmienia się wkoło nas, a kto się wraz z nim nie zmienia, dla tego miejsca nie ma. Nie jestem tego co inni starcy zdania. Siedzę w swoim fotelu, zostanę w nim, i basta. A jeśli trzeba zmienić zapatrywanie, by ocalić fotel... zgoda, zdobędę się i na to i tak zrobię, że nie przestając być tym, czym byłem, zmienię się nie do poznania. Na razie z fotela mego przyglądam się zmianom na świecie i słucham sporów młodych ludzi. Podziwiam ich, przytakuję, a w cichości czekam sposobnego momentu, by ich tam zawieść, gdzie mi się podoba.

Czterej synowie moi siedzieli tedy przy stole. Po prawicy tkwił Jan Franciszek, bigot katolik, po lewicy Antoni, hugenot z Lyonu³²². Nie patrzyli na siebie wcale, szyje ich oprawione były w sztywne kołnierze, plecy obciążone suknem, a kuparki z dystynkcją zadarte. Jan Franciszek był rumiany, świeży, miał uśmiech na twarzy, a oczy surowe. Mówił ciągle o swych interesach, zasobach pieniężnych, powodzeniach, wychwalając sukno i Pana Boga, który popierał jego handel.

Antoni, wygolony, z długą bródką, strzyżoną niemiecką czy angielską modą, blady, zimny, sztywny, ponury, mówił jakby do siebie o swych obrotach księgarskich, podróżyach do Genewy³²³ i także wychwalał Boga, ale dawał do poznania, że to całkiem inna osobistość. Mówili na przemian, ale nie zwracali uwagi na słowa poprzednika, podejmując ciągle swoją własną piosenkę.

Na koniec obaj przeszli na kwestie religijne. Franciszek słał potęgę prawdziwej wiary, Antoni rozpowiadał o postępach wiary prawdziwej w świecie. Przy tym ciągle udawali, że się nie widzą, i nie zwracali wzajemnie uwagi na swe słowa. Tylko w intonacji głosów przebiegała głęboka pogarda, jaką każdy czuł dla Boga swego przeciwnika.

Trzeci synalek, Michał, sierżant pułku sacernońskiego (niezły to chłopak), chodził po izbie jak wilk po klatce, gwizdał, bębnił po szybach, nucił urywki piosenek, patrzył na obu gadających braci, mieszał się do rozmowy, wtrącał dowcipy, śmiał się im w nos albo wreszcie przerywał im brutalnie i oznajmiał, że są dwa barany, a bez względu na to, który z nich naznaczony jest krzyżem czerwonym, a który białym, obaj utuczyl się, jak należy, tedy mięso mają smaczne, co się przy okazji pokaże... Jadało się już rozmaite baranki.

Na koniec czwarty, Anisse, siedział z głębą szeroko otwartą. Nie wiem, czym nie zapomniał powiedzieć, że to nie on wynalazł proch. Lubiał jeno ziewać i nudzić się po całych

Przemiana, Przemijanie,
Starość

³²⁰Mikołaj — po francusku: Nicolas, zdrobniale: Colas. [przypis edytorski]

³²¹konfraternia (z łac.) — bractwo. [przypis edytorski]

³²²Lyon — miasto we wsch. Francji. [przypis edytorski]

³²³Genewa — miasto w Szwajcarii; w XVI–XVIII w. republika protestancka, europejski ośrodek intelektualny i religijny. [przypis edytorski]

dnia. Dyskusja go niepokoiła. Uważał politykę i religię za wymysł szatana, który dręczy umysł ludzi zaniwlowanych w drzemce. Był zdania, że świat to materac, w którym każdy ma swój wyleżany dołek. Leżał w swoim dołku i nie lubił, by trzepano materac. Mimo to trzepanie odbywało się, acz wbrew jego woli. Wówczas, oburzony, potrafiłby wysłać bez wahania na szafot każdego, co ośmielił się zakłócić jego spokój. Tymczasem słuchał swych braci z oglupiałą miną, a kiedy tylko ton mowy się podniósł, kurczył się i wciskał głowę w ramiona.

Ja słuchałem i zabawiałem się doskonale śledzeniem, co ze mnie przeszło w mych synów. Nie ma bowiem wątpliwości, że są to moi rodzeni synowie. Ale daleko padły jabłka od jabłoni. Jakim cudem udało mi się spłodzić takich gagatków? Co ma ze mnie ów kaznodzieja albo ów obłudnik, albo ten rozwścieczony baran? (Awanturnik już najmniej mnie dziwi). O zdradziecka naturo! Więc to mój plód własny? A jednak rozpoznaję w nich siebie: tu gest jakiś, tam sposób mówienia, nawet myśli moje. Odnajduję w nich własne cechy, choć dobrze ukryte. Pozory mnie zdumiewają, ale wewnątrz kryje się ten sam człowiek. Ten sam, choć zwielokrotniony. Każdy z nas nosi w sobie dwudziestu różnych ludzi: jeden lubi się śmiać, drugi płakać, trzeci obojętnie jak pień znosi zarówno pogodę, jak i sotę; znajdziesz tam wilka, psa i jagnię, a obok nicponia zacności człowieka. Ale jeden przewodzi tej całej bandzie i decyduje o wszystkim, zmuszając do milczenia innych. Nawiewają więc co tchu, skoro tylko dojrzą uchyloną furtkę. Tak nawiali i moi synowie. Biedaczyska! *Mea culpa!* Pozornie dalecy, są przecież ode mnie o krok. Toż to moje potomstwo. Kiedy plotą głupstwa, mam ochotę prosić ich o przebaczenie, iż stworzyłem ich tak głupimi. Na szczęście, są z siebie zadowoleni i mają o własnych osobach jak najlepsze wyobrażenie! Niechże tam, mnie to nie przeszkadza; ale nie mogę znieść, by wydziwiali nad podobnymi im bliźnimi. Tak poznawałem ziarno, chwytalem gesty, zwroty, nawet ślady myśli.

Rozmowa się zaostrzała. Podrywali się na krzesłach, grozili sobie oczyma, rękami, coraz więcej przypominając koguty gotujące się do walki! Michał wmieszał się do rozmowy, a nawet wielbiciel materaca, zdenerwowany i troszkę już pijany, pokrzykiwał to i owo, choć całkiem bez związku.

Patrzyłem pobłażliwie czas jakiś, potem zawołałem:

— Cicho, sza! Cieszę się, żeście takie zuchy, to moja krew, a głos matki! Ale dość tego, hola! Teraz ja gadam!

Nic słuchali jednak. Padło jakieś słowo. Jan Franciszek pochwycił krzesło, Michał dobył szpady, Antoni noża, a Anisse zaczął beczeć głosem cielęcia: „Gwałtu, gwałtu! Gore!³²⁴ Wody!”. Byłem pewny, że lada moment rzucą się na siebie, chwyciłem przeto pierwszy lepszy ciężki przedmiot (dziwnym trafem był to właśnie słynny dzban Florymonda, który doprowadzał mnie zawsze do wściekłości) i strzaskalem go o stół. Jednocześnie nadbiegła Martynka z garnkiem kipiącej wody i zagroziła, że im wyleje ukrop na głowy.

Wrzeszczeli jeszcze jak gęsi, ale podali tył i rozstąpili się. Wówczas powiedziałem:

— Umilknijcie! Jestem tu panem i taką jest moja wola. Czyście oszaleli? Czyż po to zebraliśmy się, by toczyć spory o credo nicejskie³²⁵? Lubię dyskusję, ale może byśmy obrali bardziej zajmujący temat, bo ten już mi bokiem wylazi. Czemuż nie roztrząsacie zalet wina burgundzkiego i salcesonu, słowem, czemu nie mówicie o rzeczach konkretnych, które można jeść i pić. Zjemy i popijemy, by osądzić, kto z was ma rację. Wprost nie wypada przy stole rozprawiać o Bogu, Duchu Świętym, gdy się w dodatku nie ma wcale rozumu. Nie mówię źle o tych, co wierzą. Ja wierzę, wierzymy, wierzycie i tak dalej, wierzymy sobie, w co chcemy. Ale mówić należy o czym innym. Czyż mało rzeczy na świecie? Każdy z was pewny jest raj. Doskonale, cieszy mnie to niewymownie. Czeka was tam, w górze, miejsce zarezerwowane dla każdego z wybranych. Reszta, oczywiście, zostanie pod bramą. Pozwólcież Bogu, by lokował swych gości wedle własnej woli. To jego prawo, a wy nie odważajcie się go pilnować. Każdy ma królestwo swoje: Bóg nie-

Ojciec, Syn

Wiara, Bóg, Raj, Obraz
świata, Praca

³²⁴*gore!* (daw.) — pali się! [przypis edytorski]

³²⁵*credo nicejskie* — wyznanie wiary chrześcijańskiej uchwalone na pierwszym powszechnym soborze w Nicei w 325 w odpowiedzi na kontrowersję ariańską, ustalające główne zasady wiary; jego sformułowania oraz ich interpretacja stały się przyczyną sporów i rozłamów w chrześcijaństwie już w czasach starożytnych; dawniej *credo* nicejskim nazywano zmodyfikowane *credo* nicejsko-konstantynopolańskie, przyjęte na soborze w Konstantynopolu w 381. [przypis edytorski]

bo, my ziemię. Nasza rzecz uczynić ją wygodniejszą do zamieszkania. Dosyć będziemy mieli z tym roboty, ale muszą się wziąć wszyscy, bo brak każdego stanie się dotkliwy. Wszyscy czterej potrzebniście krajowi. Zarówno potrzebna jest twoja wiara, Franciszku, w stosunku do tego, co było, jak twoja, Antoni, w stosunku do tego, co stać by się powinno, a także twoje awanturnicze usposobienie, Michale, jak i twa nieruchomość, drogi Anisse. Stanowicie cztery filary! Gdy się ugną, cały budynek runąć może i wszystko przemieni się w bezpożyteczną ruinę. Wszakże to nie jest celem waszym? Cóż byście powiedzieli o czterech marynarzach, którzy by czasu burzy na pełnym morzu dyskutowali zamiast manewrować, jak należy? Przypominam sobie, że opowiadano mi swego czasu rozmowę króla Henryka z księciem niwernejkim. Obaj narzekali na manię zacieklego niszczenia się wzajem, która ogarnęła Francuzów. Król rzekł: „Do kroćset starych chodaków! Mam ochotę dla uspokojenia pozaszywać w worki parami zacierzwionych mnichów i głosicieli nowej ewangelii i powrzucać do Loary, jak się to robić zwykło z pomiotem kocim!”. Na to rzekł, śmiejąc się, Niwernejczyk: „Ja poprzestałem na wysłaniu ich całymi ładunkami okrętowymi na jedną z owych wysp, gdzie, jak powiadają radni bearnieńscy, osadzają kłótliwych i niemogących się zgodzić małżonków. W miesiąc po deportacji, gdy okręt wraca po nich, zastaje pono stadła gruchające miłośnicie niby pary turkawek!”. Wam by się przydała taka właśnie kuracja. Boczycie się na siebie, smarkacze? Obracacie się do siebie tyłem? Ejże, spojrzycie jeno po sobie. Wydaje wam się, że każdy z innego ulepiony ciała, że każdy lepszy od brata? Tymczasem wszyscyście z jednej mąki, *eiusdem farinae*, wszyscyście Breugnony zatracone i Burgundy setne! Popatrzcie tylko na swoje nosy bezczelne, krzywe, sterczące na gębę, na usta rozcięte od ucha do ucha po to, by łać było w co trunek, na te oczy otoczone krzaczasto, co usiłują patrzeć koso, a śmieją się wbrew woli. Naznaczeniście i nie ma na to rady. Czyż nie widzicie, że szkodząc sobie, niszczyacie się wzajem? Czyż nie lepiej by było podać sobie dłonie? Macie różne poglądy! Doskonale, wyśmienicie. Niedobrze jest, gdy wszyscy uprawiają jedno pole. Im więcej pola i myśli posiadzie rodzina, tym będzie silniejsza i szczęśliwsza. Zawrzyjcie zgodę, pomnażajcie wszystko i ogarniajcie, ile się jeno da ogarnąć, pola i myśli. Każdy niech działa, jak może (hej, pocałować mi się zaraz!), z tym celem, by wielki nos Breugnonów rzucił jak najszerszy cień po świecie i wdychał w nozdrza piękny aromat świata.

Kłótnia

Zamilkli, spuścili głowy i widać było, że mają ochotę roześmiać się. Pierwszy huknął śmiechem Michałek, podał rękę Franciszkowi i powiedział:

— Jechał sęk, pocałujmy się!

Uściskali się.

— Martynko! Nasze zdrowie! — zawołałem.

Wypiliśmy.

W tej chwili spostrzegłem, że tłukąc dzban, skaleczyłem sobie dłoń. Kilka kropel krwi spadło na obrus. Antoni, zawsze uroczysty, wziął mnie za rękę, otarł krew brzegiem szklanki i powiedział z emfazą:

— Dla przypieczętowania zgody wypijmy wszyscy czterej razem tę szklankę wina.

— Antosiu, nie psuj wina! — zawołałem. — Robisz obrzydliwości. Nie pij tego świństwa...

Popiliśmy tego raz, drugi i trzeci i nie było swarów na temat wina. Gdy odeszli, Martynka obwiązała mi dłoń, mówiąc:

— Stary grzeszniku! Tym razem postawiłeś na swoim!

— O czym mówisz? — spytałem. — Może o tym, żem ich przywiódł do zgody?

— Nie, myślę o czymś innym.

— No, cóż takiego?

Wskazała szczątki dzbana na stole.

— Nie udawaj... Wiesz dobrze, o czym mówię... Przyznaj się... Powiedz mi do ucha... Zapewniam cię, że on się nigdy nie dowie...

Bronilem się, przeczyłem, udawałem głupiego, ale śmiech mnie rozpierał.

A ona powtarzała:

— Grzeszniku, zbrodniarzu, rozbójniku!

Powiedziałem wreszcie:

— Był tak szkaradny. Nie mogłem wytrzymać. Jeden z nas musiał zniknąć!

— Ten, który został, także nie jest bardzo piękny!

— Zapewne — odpowiedziałem — zapewne, ale widzisz, tego drugiego nie widzę, nie muszę nań ciągle patrzeć.

*

Wigilia Bożego Narodzenia

Rok posuwa się cichutko, nieznacznie. Drzwi otwierają się i zamykają. Niby fałdy jakiejś miękkiej materii, dni ścielą się w głęboki kufer nocy. Kurczą się, a potem zaczynają wychodzić, wydłużać się, tak że na Nowy Rok przybędzie na zajęczy skok. Przez szczelinę widzę już ten rok nowy.

Siedzę sam pod okapem wielkiego komina i patrzę, jak z głębi studni, w gwieździste wigilijne niebo, mrugające tysiącem oczu i drżące tysiącem serduszek; słyszę dzwonienie dzwonów, które niesie się po czystej przestrzeni, wzywając na pasterkę. Jak pięknie, że Dzieciątko urodziło się właśnie o nocnej i ciemnej godzinie, kiedy świat, zdawałoby się, bliski jest końca, i wysławia go cieniem głosu: „Radość wszelkiego stworzenia”. Wówczas nadzieja rozpościera nad grudniową nocą swoje miękkie skrzydło i osłania świat od zimowego chłodu.

Jestem sam w domu, dzieci poszły do kościoła, i siedzę sobie z psem Cytrynkiem i kotem Pantoponem. Marzymy, patrzymy w ogień płonący na kominku. Przeżywam wspomnienia wieczoru. Przed godziną miałem koło siebie córkę i wnuczkę. Opowiadałem Głodzi, wytrzeszczającej oczęta, bajki o wieszczkach, kaczeni, którą diabeł kusi, Jasiu-dyrnasiu, o chłopczyku z kogutkiem, który dorobił się wielkiego majątku, prorokując pogodę oraczom... Bawiliśmy się doskonale. Starzy i młodzi słuchali opowiadania, a każdy dorzucał coś od siebie. Milkliśmy potem, słuchali, jak woda kipi w garnku, patrzyli, jak mróz maluje cudne wzory na szybach, lub znów nastawiali ucha na świergot świerszcza w ścianie. O, jakże cudna jest noc zimowa, jakże przytulnie i ciepło pośród swoich, jak przyjemnie błędzić myślą w dali, wiedząc, że się wróci do domu...

Siedzę i robię bilans za rok ubiegły. Stwierdzam, że w ciągu sześciu miesięcy straciłem wszystko: żonę, dom, pieniądze i wreszcie nogę. Ale najdziwniejsze jest to, iż mimo strat posiadam wszystko, co dawniej posiadałem. Jestem lżejszy niż zwykle. Nigdy nie czułem się tak świeży i wolny. Nigdy fantazja moja nie była tak swobodna. Nie uwierzyłbym przed rokiem, że zniosę wszystkie nieszczęścia tak łatwo. Czyż nie przysięgałem sobie niedawno jeszcze, iż do samej śmierci będę panem na własnych śmieciach, że zachowam niezależność, prawo dbania o utrzymanie własne i prawo do własnych wybryków? Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Wszystko poszło inaczej, niż chciałem, i właśnie dobrze się stało! Człowiek to pocziwe bydlątko, zastosuje się do wszystkiego, nawyknę do szczęścia i cierpienia, do obfitości i głodu. Daj mu cztery nogi albo zabierz mu dwie, uczyni go głuchym, ślepy, niemową, zawsze sobie jakoś poradzi, będzie mówił, słyszał i widział.

Jest niby wosk w ręku ducha, który zeń lepi formę potrzebną w danej chwili. O, jakże miło czuć tę podatność w sobie, jakże przyjemnie wiedzieć, że się może być rybą w wodzie, ptakiem w powietrzu, salamandrą³²⁶ w ogniu, a na ziemi człowiekiem, który walczy z wszystkimi przeciwnościami. Im mniej się posiada, tym się jest bogatszym, bo duch włada wówczas swobodnie gliną i tworzy to, czego mu potrzeba. Drzewo gęste lepiej rośnie w wyż, gdy mu się przerzedzi gałęzie.

Cicho, bije północ...

W żłobie leży, któż pobieży...

Śpiewam kolędę, jedną, drugą, potem nachodzi mnie senność...

Im mniej się posiada, tym się jest bogat...

³²⁶salamandra — salamandra plamista to przypominający jaszczurkę płaz z ognistymi plamami na skórze; dawniej wierzono, że salamandry potrafią przeżyć w ogniu, a nawet, że się w ogniu rodzą; później stopniowo wyodrębniono mityczne salamandry żyjące w ogniu jako odrębne istoty (tzw. żywiołaki ognia) o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

Zima, Czas

Noc, Gwiazda

Zima, Święto, Nadzieja

Zima

Los, Kondycja ludzka

Bogactwo, Bieda, Drzewo

Jestem sobie figlarz nie lada. Im mniej posiadam, tym jestem bogatszy. Zauważyłem to już w noc wigilijną, a teraz wiem na pewno, że tak jest. A czemu? Oto stałem się pasażerem, umiem żyć szczęściem innych ludzi. Mam bogactwa bez żadnych kosztów. Drwię sobie z owych ojców, którzy, wyzbywszy się wszystkiego dla dzieci, są pomiataną zawadą w domu. Ci ojcowie to ludzie zgoła niezdolni i ograniczeni. Nigdy nie kochała mnie moja rodzina bardziej, nigdy nie troszczyła się o mnie tak jak wówczas, kiedy zubożałem zupełnie. Aha! A wiecie dlaczego? Oto dlatego, iż nie byłem tak głupi i nie dałem sobie wydrzeć wszystkiego do ostatka. Straciłem mienie, to prawda, ale zachowałem skarb wesołości, ów skarb ogromny, gromadzony mozolnie, grosz do grosza, czasu mych dalekich wędrówek i spacerów wzdłuż i wszerz życia, poprzez rozłogi pogody, radości i sceptycyzmu, poprzez roztocze pełnej głębi mądrości szaleńca i szalu mędrca uwielbiającego być cały. Nagromadziłem zapasy nieprzebrane, których zużyć nie sposób. Niechże czerpią wszyscy do woli, starczy na lata całe. Biorę to i owo od mych dzieci, a daję garściami skarby swoje i obie strony są z siebie zadowolone.

Bogactwo, Szczęście

Kto chce widzieć króla bez królestwa, „Jana bez Ziemi”³²⁷, szczęśliwego człeka, niech spojrzy na mnie teraz oto, gdy siedzę na tronie, przewodnicząc bankietowi. Dziś mamy Trzech Króli³²⁸. Po południu zjawił się w naszej ulicy orszak trzech magów. Jechali na wspaniałym wozie ciągnionym przez sześciu pastuszków i sześć pasterek biało ubranych. Wszyscy śpiewali, a psy z całej okolicy wtórowały im szczekaniem.

Bogactwo, Szczęście

Jest teraz wieczór, siedzę przy stole, a wokół mnie wszystkie moje dzieci i wnuki. Razem ze mną trzydzieści sztuk, a wszyscy krzyczą:

— Król się bawi!

Król to ja. Mam na głowie koronę: formę blaszaną do pasztetu. Moją królową jest Martynka. Podobnie jak się to czyta w świętych pismach, poślubiłem własną córkę³²⁹. Ile razy podnoszę do ust szklankę, wszyscy klaskają w ręce, a ja śmieję się i łykam. Trochę może krzywo trzymam szklankę, ale to nic, bo nie uroniłem dotąd ani jednej kropelki.

Królowa pije także, a równocześnie poi swe rumianiutkie bobo, które chciwie chwytają różową sutkę jej piersi, puszcza ją, wrzeszczy, ssie ponownie, gada coś i kręci zadeczekiem. Pies pod stołem warczy i naszczekuje, a kot, najeżony, z wygiętym grzbietem, ucieka, unosząc w zębach smaczną kość.

Myślę głośno (nie lubię myśleć po cichu): „Życie to dobra rzecz, o tak! Drodzy przyjaciele, cała jego wada to to, że trwa za krótko. Człowiek nie wychodzi na swoje. Powie ktoś: »Nie narzekaj! Bądź kontent z tej porcji, którą przed tobą postawiono!«. Zgoda, nie przeczę. Ale proszę o drugą porcję, byle wielką! No, i któż wie? Jeśli nie będę krzychał zbyt głośno i zachowam się przyzwoicie, może dostanę drugi kawałek ciasta. Ha, ha... Jakże jednak smutno! Gdzież się podziało tylu dzielnych ludzi, gdzież nasz Henryczek kochany, gdzie książkę Ludwik...”

Kondycja ludzka

Wszedłszy raz na ścieżkę wspomnień, gadam, gadam, gadam, co krok schylając się po jakiś liść spadły z drzewa życia. Opowiadam nieskończone historie, a oni słuchają pocziwie. Czasem nawet, kiedy braknie mi słowa albo się pomylę, podszeptują. Naonczas budzę się jakby ze snu i podchwytyję złośliwe uśmieszki.

— Tak, tak, ojczaśku! — powiada ten lub ów. — Dobrze to było, kiedy się miało lat dwadzieścia. Piękniejsze były kobiety i krągłejsze i bielsze miały szyjki, a mężczyźni mieli serca w piersiach, a i resztę, gdzie trzeba. Było widzieć naszego kochanego Henryczka i drogiego Ludwiczkę...

³²⁷ *Jan bez Ziemi* (1167–1216) — król Anglii, brat m.in. Ryszarda Lwie Serce; w odróżnieniu od starszych braci nie odziedziczył żadnych posiadłości ziemskich. [przypis edytorski]

³²⁸ *dzień Trzech Króli* — potoczna nazwa katolickiego święta obchodzonego 6 stycznia, w związku z opowieścią z *Ewangelii wg Mateusza*, wg której magowie, czyli uczeni kapłani ze Wschodu (w późniejszej tradycji: królowie) przybyli do Betlejem, aby złożyć hołd i przekazać dary nowo narodzonemu Jezusowi; oficjalnie: święto Objawienia Pańskiego. [przypis edytorski]

³²⁹ *Podobnie jak się to czyta w świętych pismach, poślubiłem własną córkę* — zapewne odniesienie do postaci króla perskiego Artakserksesa, który wg Plutarcha (*Żywot Artakserksesa* 23, 2–5) zakochał się w jednej ze swych córek, Atossie, poślubił ją i ogłosił prawowitą żoną. [przypis edytorski]

— Hola! — wołam. — Kpicie sobie, widzę, z waszego króla, moi drodzy wasale! Nie twierdzą wcale, że świat nie miał swego „ale”, wówczas gdy liczyłem sobie lat dwadzieścia. Nie powiadam też, że dziś nie ma u nas komu siać, sadzić, okopywać i zbierać! Wiem, że przybywa ludzi, że drzewo, z którego dziś fabrykują Burgundów, jest twarde, proste i zdrowe. Mówię jeno, że przyszły czasy inne i inni ludzie. Twierdzą śmiało, że nie ma już Henryków i Ludwików, a kochałem ich szczerze. Ale, Colasie, nie rozczulaj się. Bacz, byś nie nudził kompanii. Nie wolno przeżuwać wiecznie jednego siana, stary byku. Dziś inne wino, powiadasz? To prawda, ale wino to jest dobre! Przeto pijmy. Zdrowie króla-opoja, zdrowie twoje, ludu mój pijacki! Powiem wam jeszcze jedno słowo. Dobra to rzecz król, ale nie masz lepszego nade mnie króla. Bądźmy wolni! Dzierżmy silnie prawa nasze, a królów pošlijmy na zieloną trawkę. Starczy nam za wszystkich wielmożów ziemia nasza, najpotężniejsza pani. Cóż po królach ziemskich i niebieskich? Każdemu przystoi miejsce pod słońcem, każdy ma prawo do własnego cienia. Kawaleczek ziemi do pracy i zdrowe ręce — oto wszystko, czego nam trzeba. Gdyby przybył do mnie król w odwiedzin, rzekłbym mu: „Siadaj! Witam cię i piję zdrowie twoje, drogi kuzynie. Król jest królowi równy, zwłaszcza w święto Trzech Króli, a ponadto wiedz, iż każdy Francuz jest królem na własnych śmieciach!”.

Wolność, Król, Lud

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rolland-colas-breugnon/>

Tekst opracowany na podstawie: Romain Roland, Colas Breugnon, przeł. Franciszek Mirandola, wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja wydana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Karolina Seliga, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-8287-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).